CZAS

Dodatek miesięczny.

ROK DRUGI.

Tom VI — Zeszyt 16.

Kwiecień.



KRAKÓW.

CZCIONKAMI I NAKŁADEM DRUKARNI „CZASU“.

Kwiecień — 1857.

IGNACEGO DOMEJKI

CZTEROMIESIĘCZNA PODRÓŻ

z Paryża do Chili w roku 1838.

Część Druga.

PODRÓŻ LĄDOWA.

(Pampa i Kordyliery).

I.

Pampa.

29 kwietnia. — Zima nadchodziła; lada dzień kordyliery mogły się zamknąć na długo; mówiono przy tem o wojnie przeciw Boliwianom, i wkroczeniu wojsk Sta Cruza do prowincyi Salta i Tukumanu, mówiono o malkontentach rządu skorych do rewolucyi, i lękano się napadu Indyan, którzy zazwyczaj, korzystając z wojen i rewolucyi, rzucają się na wsi i rozbijają po drogach.

1*

Dla tych przyczyn nie było czasu popasywać w Buenos-Ayres i po dwódniowym odpoczynku w dalszą ruszyliśmy podróż.

Trzysta mil stepowéj pustyni mieliśmy przed sobą, a nie było innej rady jak ruszać konno, pocztą, w galop sposobem kuryerów. Tego wymagał czas i bespieczeństwo: poczty albowiem rządowe z Buenos-Ayres do Mendoza urządzone są bardziej dla konnych, niżli dla podróżujących powozami i wszelkie powozy drogie są a dla złych drog i napadu Indian wcale niebespieczne.

Nie wiele nam zabrało czasu przygotowanie do podróży: potrzeba było kupić siodła i cały porządek na konie, przyjąć służącego i wziąść pasport pocztowy bez którego nie danoby nam koni na pocztach. Żadnego nie mieliśmy ambarasu z pasportami, i pomimo prawa podobnego owym portowym urządzeniom Brezylijskim, nie odmieniono nam pasportów, dodano tylko wizę bezpłatnie. Wzięliśmy pozwolenie na 5 koni: to jest dwa dla mnie i dla Pana L., jeden dla służącego, 1 pod pocztyliona, 1 pod rzeczy (carga). Pozwolenie to kosztowało 35 piastrów papierowych [1]; siodła, musztuki i cały porządek na konie kosztowały każdego z nas 122 piastrów pap. służącemu zaś za czas podróży do Mendozy dano 22 piastr. srebr.

29 kwietnia. O ósméj godzinie rano ruszyliśmy w drogę, i zaraz z miejsca galopem. Prędko z przed oczu znikły nam ogrody i uprawne ziemie wysokiemi kaktusami w koło miasta opasane. O parę mil odsłoniła się równina okiem nieprzejrzana, zielona, jako stepy południowe nasze. Na jej widok zadrżałoby serce nie jednemu ukraińcy; — nie dobry jeździeć, mieszkaniec

---

[1]) Papierowe pieniądze w Buenos-Ayres były na tenczas bardzo nisko: 1 piastr papierowy ważył tyle co 1 real. sr. — to jest za 1 piastr. sr. dawano 8 piastr. pap.

wzgórz i gajów patrzyłem na nią z zadumieniem: i zdało mi się jakoby ten niezmierny ocean, na który przez trzy miesiące patrzyłem, nagle przemienił się w pastwisko i tylko niebo te same zachował.

Konie biegły przeciw silnemu Pampero. Jeszcze jedną wieś z kościołkiem minęliśmi jakby na pożegnanie ze wsiami i miastami. Była to niedziela, lud ubrał się na nabożeństwo i przy kościołku stały konie osiodłane: tak właśnie, jak widzimy po naszych parafiach.

W krótce zaokrąglił się horyzont i ani jednego mieszkania ni drzewa nie było widać; powierzchnia stepu jakby nieco wydęta, horyzont nie wielki; błękitne, czyste niebo jakby bliższe ziemi niżeli na nierównych polach.

Tęskno na sercu: cała przyjemność w biegu konia i stępowym szumie wiatru i nieprędko spostrzeżesz chałupę wychodzącą z za horyzontu jakby z za góry: — naprzód widać jej wierzchołek, potem się podnosi na brzeg widnokręgu, w półgodziny dobiegasz do niej, w drugie półgodziny niknie za tobą i znowu przestrzeń, równina niczem nieprzerwana, wźrok buja na próżno do koła; — liczne tylko trzody bydła i koni rozrzucone po stepach pasą się bez dozoru, rzekłbyś bez właściciela.

Częstokroć czerni się coś z daleka podobnego do gajów naszych, cieszy się imaginacya i pilnie wpatruje się oko: — tymczasem te kupy drzew i ów las mniemany ruszać się poczynają, zbliżają się, i wkrótce spostrzegasz, że to karawany stepowe, któremi się prowadzi handel skórami, zbożem, tłustością między środkowemi prowincyami a Buenos-Ayres. Są to ogromne, dwókołowe wozy, każdy o czterech wołach, z długą tyczyną na wierzchu, dostającą aż do przedniej pary wołów, którą to tyczyną siedzący wewnątrz woźnica pogania woły. Karawany te żółwim krokiem idą, i cza-

sem daleko rozciągają się na dobre ćwierć mili, a w razie napadu Indian tworzą czworobok z za którego ludzie bronią się od dziczy.

Przy braku drzew, prędko się też spostrzega brak płynącéj wody. Napróżno piękna zieloność pola radaby nadstarczyć tej ułomności: małe nie wielkie ruczaje, błotne, leniwe zaledwo gdzie napotkasz o kilkanaście mil jedne od drugich. Nieraz w pogodny dzień gorący widziałem jakby jakie wielkie jezioro przy horyzoncie, mile wabiące ku sobie drżącem, falistem światłem. — Biegliśmy ku niemu, a jezioro nikło przed nami i było tylko złudzeniem, zwanem od francuskich fizyków *mirage*. Późna już była jesień; przeszłoroczna wegietacya w posechłych leżała badylach, z pod których młoda trawa koniczyny i osetu wyrastała. W tym czasie najgładszą jest równina, po której trawa rośnie przez całą zimę i najpiękniejszą ma bydź na wiosnę.

Na téj równinie od czasu do czasu widać w cwał przelatujących jeźdźców; ich ubiór jaskrawy pięknie odbija od zielonego pola. Gaucza w galopie siedzi jako struna wyprężony i nieco naprzód pochylony, zdaje się jedno ciało tworzyć z koniem. Jego twarz nie jest dzika, ni surowa, spokojna, poważna; w uściech jakaś łagodność, w oczach tylko coś niedowierzającego, podstępnego. Nie wesoły to lud, cichy, milczący a wychodowany w swobodzie. W nim się przebija miejscowy typ, indyjski, kastylijską rasą uszlachetniony — kolor ciała jaśniejszy od prawdziwych Indyan, włos gruby, czarny, oczy czarne, nos krótki, cera bladawa; przytém nie są atletycznéj budowy ale kształtni i zręczni. Lubią śpiew i muzykę a ich pieśni smutne są, melancholiczne, miłosne: przytém nie dbają ni o bogactwo, ni o mieszkania, które tu są w stanie dziczyzny prawie, ani o żadne inne wygody. Ale mieć konia rześkiego i dobrze się ubrać, oto ich główna namiętność.

Ten ubiór dziwnie malowniczy nie dla pieszego jest i nie do miasta; przypatrzyć się mu trzeba wśród stepu, na jeździcach. — Płaszcz z jednéj sztuki, z otworem na głowę, zwany *ponczo*, bez rękawów, spada poniżéj kolan i tylko boki odsłania dając widzieć kurtkę, pas i za pasem *cuchillo* (nóż). Od pasa po wierzchu rajtuzów idzie spodnia suknia zwana *czylipali*, z jednéj sztuki cienkiego sukna wykrojona, którą sobie nogi i biodra zabarmaszyście okręca jeździec, i która na nim nakształt tureckich szarawarów wygląda. Obuwie noszą z surowéj skóry, ostrogi długie, kolczaste, kapelusz słomiany lub téż czarny, a głowa najczęściéj obwiązana chustką, która osłania część twarzy i gardło od szkodliwego wiatru Pampero. Przytem u każdego jeźdzca przy siodle widać skręcony arkan zwany *laso* do łowienia koni, bydła i nieprzyjaciół, i drugi oręż niemniéj straszny zwany *bolas:* są to trzy kule ołowiane czy kamienne na trzech sznurkach, z których jeden nieco krótszy a dwa drugie jednostajnéj długości (na 2 do 3 łokci). Sznurki te rzemienne związane są końcami; gaucza bierze jedną kulę w rękę i wywijając dwiema drugiemi w powietrzu, ciska je razem na sarnę, na tygrysa, czy też na nieprzyjaciela; kule te rozchodzą się w powietrzu, rozciągają sznur i wiją się jedna w koło drugiéj świszcząc, a trafione do celu pętają zwierze lub człowieka, jeśli go od razu nie zabiją.

Nie łatwo jest odmalować tych stepowych ludzi, jak oni pięknie ożywiają pustynię, jaka rozmaitość w ich ubraniu, postawie i ruchu i ile życia i swobody. Nawet kolory na nich nie od trafu zdają się być dobrane: — raz widać gauczę w całéj powadze, w powolnym, równym galopie, płaszcz na nim biały w błękitne pasy, pąsowe szarawary, biały koń i czarny kapelusz; na innym jeźdzcu, jeszcze poważniejszym, ciemne granatowe *ponczo* pąsowém podszyte, karmazynowe *czylipali*, biały

kapelusz i żółte obówie; tuż na błoniu widać między trzodami uganiającego na pięknym skarogniadym koniu, w białéj kurtce i błękitnym płaszczu, który się mu odrywa od lewego ramienia, i pochwycony od wiatru szumi po nad koniem i jeźdzcem; owdzie daleko od zielonego tła odbija czarny koń z pąsowym gauczą przelatującym bez drogi.

Ludzie ci nie są rolnicy, nie są handlarze, ni fabrykanci, są to pasterze, lud wcale nowy. Ich konie piękniejsze od ukraińskich, chociaż nie większe i może mniéj wytrzymałe; mają głowy piękne, nogi gładkie, nie grube, i piękne szyje. Woły o dużych rozłożystych rogach, mniejsze od podolskich; owce podłego gatunku.

29. — Pierwszego dnia podróży nocowaliśmy w Canada de Rocha o 20 mil od stolicy [2]). Dnia tego widzieliśmy jednę porządną wieś Luxan z obszernym rynkiem i kościołem o 17 mil od Buenos Ayres położoną, nad niewielkim ruczajem. Wieś ta i rzeczka Luxan zachowały nazwisko jednego z najdawniejszych rycerzy poległego tu w bitwie przeciw Indyanom pokolenia Querandi, za czasu pierwszych założycieli miasta, w owéj wyprawie Piotra Mendozy do któréj 2500 hiszpanów, 150 niemców, wiele szlachty i komandorów należało.

Przybyliśmy na nocleg o zachodzie słońca i daléj nie można było jechać z przyczyny, że stado pasło się daleko od poczty.

Inaczéj tu bowiem niż u nas urządzone są poczty. Tu niemasz stajen, a wszystkie konie ciągle pasą się na stepach; że zaś pastwiska są bardzo rozległe, mają zwyczaj pocztarze utrzymywać stado w dzień niedaleko poczty, a wieczorem stado odbiega na kilka mil od domu i zaledwo o wschodzie słońca przyciąga. Dla tego

---

[2]) Mila tutejsza odpowiada pół mili naszéj.

też niepodobna tu podróżować w nocy i kuryery rządowi zmuszeni są nocować po pocztach.

Skoro się dojeżdża do pocztowego domu, a jeszcze stado nie odbiegło na noc, widać jako natychmiast wylatuje z poczty chłopak na dzielnym koniu, bieży w cwał i niknie na równinie, a w pół godziny kilkaset koni przybiega jako mogą wyskoczyć i za niemi tenże sam chłopak świszcząc *bolasami*, konie wbiegają w przepłoty a z nich czém prędzéj wybiera pocztarz potrzebną liczbę koni dla podróżnych i natychmiast stado odbiega. We trzy kwadranse a częstokroć mniéj niż w pół godziny podróżny ma przemienione, osiodłane konie i daléj jedzie. Najwięcéj czasu zabiera przyrządzenie *kargi* czyli ładunku na konia; a dziwnie dobrze umieją tu ujuczać konia, tak że ów ładunek ani go psuje ani się rozrzuca w pędzie. W podróży, na przedzie leci pocztarz i ciągnie na lejcu konia ujuczonego, za którym bieży i popędza tego konia sługa, tak nazwany pion (peon) a za nim galopują podróżni. Daleko się prędzéj podróżuje bez ładunku; inaczéj, trudno jest więcéj nad 3 do 4ch mil na godzinę ubiegać.

Liche bardzo i ubogie są domy pocztowe, z surowéj cegły lub z ziemi lepione, przykryte trzciną. Krokiewki są bambusowe, oparte w górze o jednę sztukę drzewa idącą po za grzbiecie strzechy, która to sztuka z jakiegoś gatunku palmy wyrąbana przychodzi tu z daleka, z nad brzegów jak mi mówiono, rzeki Parana. Drzwi ze skóry końskiéj czy wołowéj niewyprawnéj, łóżka i nieliczne krzesła też skórami powleczone; domy bez okien i bez żadnych prawie sprzętów.

Wszędzie jednak znaleść można co do jedzenia. Zwyczajnie na wieczerzę przyrządzają tu kobiety zupę zwaną *casnela* podobną do rosołu, z kory czy ze świeżego mięsa wołowego: potrawa to dobra, zdrowa; rzuca się do niéj wiele cebuli, harbuz pokrajany i wiele czerwo-

nego pieprzu *(aji)*. Oprócz tego, mają zwyczaj tutejsi mieszkańcy pić i drugich częstować napojem który się zowie *mate*. Jest to ziółko uprawiane w Paraguay dosyć aromatyczne, i które się zalewa gorącą wodą w małych okręgławych naczyńkach. Te naczyńka służą razem za imbryczek i za filiżankę i dla tego zamiast łyżeczki, używa się rurka blaszana, zakończona kulką podziurawioną (bombilla) przez którą przechodzi woda, a ziele (yerba) zostaje. W każdym domie wewnątrz izby widać na ziemi ognisko, przy którém grzeje się woda w blaszaném naczyniu (tacho); do koła siedzą kobiety, i dzieci na ziemi, i zazwyczaj, widać kawał drewna lub parę niskich stołków dla gości i podróżnych. Zaledwo człowiek zsiądzie z konia, gospodyni rzuca do małego kubka szczyptę ziela, zalewa to zielę gorącą wodą, kładnie *bombillę* i podaje tak przyrządzoną *mate* przychodniowi, poważny gaucza siada nie mówiąc słowa, i ze spuszczoną głową ciągnie z długiej rurki ów ulubiony napój, a nikt mu niewczesnemi zapytaniami nie przerywa spokojności; potém, oddaje kubek, który zazwyczaj służy dla całéj kompanii, zapala swoje cygaro i poczyna się rozmowa.

Rzecz prawie do nieuwierzenia jak mało ci ludzie mają sprzętów i naczynia w domu, przy całym zbytku jaki czynią w mate, cygarach i ubraniu. Zdarzało mi się widzieć, że w obszernéj chacie, gdzie kobiety miały na sobie merynosowe chustki, perkalowe suknie, zausznice i duże grzebienie, i gdzie bezustannie palono cygara i pito w kolej mate, nie było więcéj nad jednę misę, jeden garnek i parę łyżek na całą liczną familią a w izbie, jeden stolik, gitara, ułamek od starego źwierciadła, szabla i stary kufer z niewyprawionéj skóry.

Nie braknie za to mięsa świeżego, i po wielu miejscach można dostać wódki kminowéj, wina krajowego z Mendozy i owoców suchych; rzadko zaś gdzie znale-

źliśmy mleka pomimo tysięcy krów które się rozkosznie pasą w koło domów. Mieszkańce bowiem tutejsi, pasterze, tak są mięsożerni, że nawet mlekiem pogardzają, i kobiety nie zadają sobie pracy doić: dla tego téż wielce mylą się poeci wyobrażając sobie lud i wiek pasterski jako rozmiłowany w mleku.

Ptastwo stepowe jest tak żarłoczne jako i ludzie tutejsi, i w dobréj z nimi żyje zgodzie, tuż pod ich chałupami, potrzebne im jest nawet do oczyszczania ziemi od trzewów i niepotrzebnych ogrysków, które tuż za domem wyrzucają. W istocie, po téj równinie drapieżne tylko i żarłoczne ptastwo napotykamy: rozmaitéj wielkości i rozmaitego gatunku jastrzębie, krogulce, i król między tutejszemi ptakami, niewielki ale silny i piękny orzeł czubaty, *toros* czy jak go nazywają *Taru:* czub jego czarny, dziób zakrzywiony jako u zwyczajnych orłów, nogi żółte, pióra od skrzydeł czarne, a sam siwy o czarnych i czerwonawych plamach. Mówiono mi że na równinie w koło Buenos Ayres wiele jest kuropatw, a co mi się bardzo podobało, to widzieć piérwszego dnia białe wysokie ptaki jako bociany nasze pasące się po parze po zieloném pastwisku. Daléj nienapotkałem tych ptaków i nie miałem czasu przypatrzyć się czy rzeczywiście były to bociany lub jaki gatunek czapel czy żórawi.

30.—Drugiego dnia podróży ubiegliśmy mil 28, (pięć stacyi pocztowych) i dosyć wcześnie stanęliśmy na noclegu w Lima. Równina ciągle żyzna, zielona, miejscami uprawiają kukurudzę, pszenicę, harbuzy, kawony; przy niektórych domach widać nie wielkie ogrody owocowe i niemało topoli włoskich. Nie braknie też studziennéj wody; w Carballo piliśmy dobrą wodę ze studni na dwadzieścia kilka stóp głębokiéj, która w czas nawet suchy, ilekroć ją do samego dna wypróżnią, napełnia się we dwa dni wodą aż po zwyczajny poziom,

który się w téj studni utrzymuje o 20 stóp od powierzchni ziemi. Małe i nieliczne strumienie w téj części kraju, płyną korytem płytkiém i błotném; dojeżdżając do Lima przeprawiliśmy się wpław przez rzekę Arecife nieco większą, w któréj było po pas koniowi wody. Brzegi téj rzeki nie wysokie, nieco piaszczyste, a tuż za rzeką znalazłem pokłady marglu dosyć rozległe, prawie na saméj powierzchni ziemi; margiel ten zamyka w sobie wiele piasku, twardy jest i tworzy jakby jakie *konkrecye* o krzywych powierzchniach *(marnes concrecionnes)*.

Z tego już poznać możemy, jaka zachodzi różnica między utworem i naturą téj równiny a naszemi ukraińskiemi stepami. Tam jak wiemy, strumienie i rzeki płyną jarami, brzegi ich są granitowe a granit jest podstawą wierzchniéj ziemi która z jego rozkładu pochodzi; na stepach zaś bliższych Czarnego morza, pokłady są wapienne, morskiego utworu, niemasz źródeł ni studziennéj wody, a ludność nad nielicznemi tylko żyje rzekami. Tu cała płaszczyzna zda się być napływową; wspomniany margiel należy do utworu wód słodkich; i mnie się zdaje, cały kraj z czasem, może się zamienić na rolniczy i zaludnić podobnie jako są okolice miasta Buenos Ayres.

Największą przeszkodą do zaludnienia zdaje się być dotąd szarańcza i Indyanie. Słyszeliśmy już w Buenos Ayres o świéżem napadzie Indyan na domy i folwarki położone blisko wielkiego traktu do Mendozy. Wiedzieć potrzeba, że z Buenos Ayres do tego miasta, są trzy główne gościńce: jeden idzie prawie po za samą rzeką Parana, ten sam co prowadzi do Sta Fe, drugi od południa, przerzyna najnieludniejszą część pustyni Pampas i przechodzi tuż między osady dzikich; trzeci nakoniec idzie środkiem między dwoma poprzedniemi i łączy się z pierwszym na granicy prowincyi Sta Fe (o mil 70 od Buenos Ayres) a z drugim niedaleko Sn Luis. Ten o-

statni najkrótszy jest, ale niebezpieczny i niemasz na nim poczt do przemiany koni: rzadko się kto odważy jechać tym gościńcem chyba karawaną, gromadnie i w czas zupełnego pokoju. Najbardziéj uczęszczany trakt jest pośredni, i dla tego woleliśmy nim jechać, chociaż daleko dłuższy.

Pierwszego dnia podróży mało jeszcze nam mówiono o Indyanach, ale drugiego, wszędzie znaleźliśmy ludzi potrwożonych, którzy o niczém nie wypytywali się tylko co słychać o Indyanach. Ostrzegli nas dwaj ludzie jadący od Rio Cuarto, że na południu tuż przy drodze dzicy ludzie napadli na mieszkańców i zabrali wiele trzód i koni. W Chacras de Ayala cała familia uciekła była poprzedniéj nocy spodziewając się napadu; kobiety szczególnie były przestraszone.

Powodem do tego strachu było, że w istocie, na kilka dni przed naszém wylądowaniem, Indyanie z okolicy zwanéj Federacion zbuntowali się i rozpoczęli swoje napady przeciw prowincyi Buenos Ayres. Długo ci ludzie byli w zgodzie i przymierzu z chrześcianami. Rząd tutejszy dla ułagodzenia i przyswojenia tych Indyan, dawał im co rok pewną liczbę klacz w dani: albowiem ci ludzie lubią końskie mięso i mają być bardzo łakomi na klacze, jako na największy przysmak. Naczelnik ich, (kacyk), był wierny rządowi i spokojny, i całe pokolenie przezwane zostało *Indios de la Federacion*. Ale się ta spokojność sprzykrzyła dzikim; napadli na własnego kacyka, zabili go i w liczbie jakoby do półtora tysiąca wyszli ze swoich siedlisk. Parę dni temu posunęli się ku Rocha i napadli na mieszkańców o 3 mile od Pergamino; zabrali wiele koni, bydła i zaprowadzili w niewolą wiele chrześcian.

Powszechne znaleźliśmy mniemanie u potrwożonych gauczów, że ci niegodziwi Indyanie byli w zmowie z Francuzami i agentami Sta Cruza z Boliwii. Może być, że

rządowi posłańce prezydenta Rosas dali powód do podobnych domysłów: może być że ta dzicz ośmieliła się zbuntować dowiedziawszy się od szpiegów swoich, że rząd tutejszy zostaje zagrożonym z jednéj strony od jakiegoś potężnego państwa na morzu, a z drugiéj w wojnie z Boliwianami. Jakkolwiek bądź, tutejsi mieszkańcy w jednéj kategoryi mieścili Indyan, Francuzów i Sta Cruza, a że niebezpieczeństwo obecne silniéj zawsze działa od dalekiego, lękali się bardziéj Indyan niż Francuzów. Pocztarze liczyli wiele na Anglików, mówiąc że Francya zawsze jest w niezgodzie z Anglią, i że *Anglik* niezaśpi pory do korzystania z ambarasu w jakim zostaje dziś Francya od strony Federacyi, która przez to na pomoc Anglika liczyć powinna.

Pod wieczór tego dnia, widzieliśmy wielkie trzody owiec pasące się bez żadnego dozoru, i polowanie orłów. Właśnie przebywaliśmy rzeczkę niedaleko Chacras, trzoda pasła się o parę staj od wody, a zręczny orzeł odpędził małe jagnię od kupy i przyparł je do brzegu. Jagnie beczało już zmordowane a *taru* chodził na straży. Nieco daléj troje takich orłów odpędziło od trzody starą owcę, strasząc ją skrzydłami i zachodząc od strony w któréj była trzoda. Mówił mi pocztylion, że tym sposobem długo te ptaki mordują owcę, aż w końcu na zmordowaną i prawie bez duchu włażą i wydzierają oczy, w których szczególne mają upodobanie: niezła lekcya dla naszych orłów daleko większych od tutejszego.

1. Maja. Na piérwszéj poczcie o trzy mile od noclegu przyłączyli się do nas trzéj żołnierze prowadzący do sądu jakiegoś młodego chłopca za zabójstwo. Chłopak ten był miedzianego koloru, niewielkich oczu, nieco dzikiego wejrzenia, ale niebyło na nim znaczno ni obawy kary, ni żalu, ni złości; wiedział dobrze że go za kilka dni rozstrzelają, a był tak obojętny, spokojny, jako żołnierze którzy go pilnowali. Nie miał na sobie łańcucha ni naj-

mniejszych więzów; owszem, jechał na tęgim koniu, odbiegał częstokroć od straży i popędzał konie luźne, które niewiedzieć na co prowadzono. Żołnierze niczém nie różnili się od pospolitych Gauczów, prócz, że u każdego brzęczała długa szabla przy boku.

W Arozuello de Ramalle znaleźliśmy na poczcie gromadę kobiét, które się tu schroniły w wielkim strachu od napadu Indyan. Córki pocztarza tak ciekawe i gadatliwe jak u nas ludzie po pocztowych domach; umiały przy tém nieźle geografią, wiedziały o zawojowaniu Polski i bardzo lubiły mówić o polityce.

Przybyliśmy na nocleg do Arozuello de en medio wcześnie przed zachodem słońca. Kraj żyzny, ziemia czerniawa, tłusta, rozsypująca się na bardzo delikatny pył w czas suchy. Mieszkańce skarżyli się że tego roku szarańcza pojadła im ogrodowiznę i drzewa. Jakoż niewielki ogród przy poczcie, wyglądał jako nasze ogrody w grudniu; drzewa zupełnie były ogołocone z liści, wyjąwszy parę drzew rajskich (arbre de paradis) z których się to biorą ziarna do różańca. Mówiono nam, że szarańcza nigdy nie siada na tych drzewach: co powinnoby zachęcić mieszkańców do ich upowszechnienia.

Woda utrzymuje się tu o 30 stóp paryskich od powierzchni ziemi i studnie nigdy niewysychają.

Uprzejmy i bardzo rozsądny gospodarz na téj poczcie opowiadał nam z wieczora o zagonach Indyan, o ich obyczajach i zaciętości przeciw Chrześcianom. Zaciętość ta, mówił, coraz wzrasta, nabierają odwagi, hardości, a nam coraz trudniéj od nich się obronić. Jakiż sposób na nich, zapytałem — „Nie masz sposobu, odpowiedział, „prócz wojny; czy téż — dodał po chwili, był jeden spo„sób, dawniéj; — byli to męże, nazywali się Jezuici! oni „podbijali ich *por amor y par* (miłością i pokojem), na„wracali na wiarę i przymuszali do pracy — byli to bar„dzo uczeni ludzie, *sabios* — Mówią że dzisiejszy rząd

„sprowadził niedawno do Buenos Ayres kilku Jezuitów „z Europy; ale któż wié (quien sabe!) czy tacy sami „jacy byli przed laty.“

2. Maja. Biegły już nasze konie o świcie; ranek był piękny ciepły, pogoda zupełna. Wkroczyliśmy do prowincyi Sta Fe która tu się poczyna od Arroyo de Pavon. Prowincya ta udzielna ma osobnego prezesa, rząd, wojsko i osobną administracyą; należy do argientyńskiego związku i ma być bardzo uległą woli Restauradora Rosas.

W Cerillo znaleźliśmy młyn deptak o jednym koniu i dosyć porządną kramę zaopatrzoną w wino, wódkę etc.

Pod Orqueto Spotykamy karetę pełną dzieci i kobiet uciekających do Buenos Ayres przed Indyanami, którzy jak nam powiadali ludzie eskortujący tę karetę, pokazali się już w okolicach Frayle Muerto i całą prowincyą Cordovę zatrwożyli.

Ubiegliśmy dnia tego więcéj 30 mil a na wieczerzę w Desmochados mieliśmy wyborną pieczeń z Armadillo (dasipus . . .); mięso podobne nieco ze smaku do prosięciny ale delikatniejsze i tłustsze — kupa swawolnych dzieci bawiła się przed izbą, a każde miało ostry nóż (cuchillo) jako najmilszą zabawkę, którą im rodzice dają jako rzecz wcale niewinną. Niektóre z nich miały niewielkie bolas, któremi zręcznie ciskały na ptastwo i na psy; mały sześcioletni chłopak spętał koguta w biegu o kilkanaście kroków.

W nocy obudziło mię straszliwe wycie psów: było ich jakoby kilkadziesiąt wyjących wkoło domu, a inne odzywały się daléj. Dowiedziałem się nazajutrz, że na tych stepach wiele jest zdziczałych psów, które się gromadami zbierają, podchodzą pod mieszkania, napadają na trzody, i nocami przychodzą jakby wywabiać domowe psy do wolnego i niepodległego życia.

3. Maja. Już byłem wielce zmęczony od prędkiéj i ciągłéj podróży; wzrok mój mordował się jednostajnością widoków. Wyjechaliśmy przed wschodem słońca, rosa była obfita, a niedaleko od drogi pasło się stado sarn między trzodami bydła i koni.

Ziemia tu zdaje się nieco odmiennéj być natury; wczora już niedaleko Cerillo spostrzegłem lekkie nierówności, i jakby wzgórza jakie przypłaszczone na powierzchni. Tu zamiast osetu i gęstéj koniczyny widać dziką, poschłą trawę, grunt miejscami błotny, miejscami lekki, piaszczysty. Dojeżdżając do Esquina de la Guardia widać ziemię jakby śniegiem przypruszoną od wielkiéj ilości soli która się na tym na pozór chudym nieurodzajnym gruncie tworzy; miejsce to nieco wklęsłe, wilgotne, jest zapewne dnem rozległego jeziora które się tu tworzy za nadejściem deszczów.

W Esquina de la Guardia znaleźliśmy załogę wojskową i komendanta, któremu obowiązani byliśmy pokazać nasze paszporta. Komendant tłusty, bosy, w granatowéj szamerowanéj sznurkami kurtce i takichże szarawarach, amarantową *ponczą* przepasany, był razem pocztarzem i dał nam niegodziwe konie.

Wyjechawszy ze wsi, spotkaliśmy po raz piérwszy stado papug zielonych z długiemi ogonami i żółtém podbrzuszem: wrzaskliwe to i szybko latające ptastwo odpowiada nieco, z roli jaką gra między powietrznem stworzeniem, z ruchawości i innych przymiotów: naszym szczebiotliwym srokom. — Daléj, w Cabera del Tigre widzieliśmy przyswojone strusie i dwa piękne guanaki: jakoż poczyna się tu już ojczyzna strusiów.

Po całéj drodze wszędzie pełno wieści, strachu i bajek o Indyanach; wszędzie też widziałem ślady świeżych i dawnych zagonów. Domy tu powiększéj części opasane rowami i murem dla odporu dziczy, mają wejrzenie małych zameczków. Nieraz tu mi na myśl przychodziło

czém były nasze południowe prowincye za czasu tatarskich zagonów, kiedy po kilkadziesiąt tysięcy téj dziczy plądrowało po naszym stepie piękniejszym i żyzniejszym od tutejszych. Tu Indyanie nigdy się niepokazują liczni; w kilkadziesiąt a rzadko bardzo we dwieście czy we trzysta koni wpadają nocą na bezbronne wsi i domy, zabijają mężczyzn, biorą w niewolą dzieci i kobiety, porywają wszelki dobytek, palą domy i uciekają. Lud tutejszy dzielny, bitny, zręczny do piki do arkanu i do bolas, ale rozsypany po niezmiernéj przestrzeni, ani się od nich bronić ani na długo spokojnym być może.

Przybyliśmy o zmroku do Rio Saladillo wsi dosyć ludnéj jak na ten kraj, liczącéj do sta domów i położonéj nad rzéką tegoż nazwiska płytką i széroką wyjąwszy Lujan o którém wspomnieliśmy piérwszego dnia podróży, piérwsza to wieś nieco znamienitsza na drodze z Buenos Ayres; piérwsza téż rzéka znaczniejsza w tym kraju, (niewiększa od naszéj Wilenki pod Wilnem) na więcéj niż stu milach przestrzeni. Rzéka ta wpada do Rio Carcarana i z nią do Paraná.

Budowano tu a raczéj lepiono z ziemi forteczkę od Indyan i oddział kawaleryi należącéj do prowincyi Cordova był na posterunku dla bezpieczeństwa. Jesteśmy już bowiem w nowém udzielném państwie Cordova należącem do Argientyńskiego związku, a jak z opowiadania mieszkańców wnoszę, prowincya ta lepiéj od innych urządzona jest i administrowana. W jéj stolicy Cordowie była niegdyś przeważna akademia, do któréj ze wszystkich części Ameryki południowéj hiszpańskiéj posyłano młodzież dla uczenia się teologii, łaciny i prawa; były przy tém porządne szkoły i kolegium, w których pobiérała nauki większa część ludzi rządzących dziś tak w Buenos Ayres jako i po innych prowincyach. Za czasów hiszpańskich, jedynie Lima mogła się poszczycić zakładami naukowemi które nieustępowały Cor-

dowie; dziś podupadły w obu tych miastach wyższe szkoły i akademie, a Cordowa wiele straciła z dawnéj swojéj świetności i powagi.

Ledwośmy zesiedli z koni, zaprowadzono nas do naczelnika kawaleryi dla pokazania pasportów — Po całym rynku obszernym, uwijali się na koniach i uganiali w zawód jedni za drugimi podchmieleni żołnierze; hałasu było i trąbienia jakby od stutysięcznego wojska, a każdy żołnierz był jako pospolity gaucza, każdy po swojemu ubrany i brzęczący szablą; po szynkach słychać było gitary, śpiewano i hukano, tak że niejeden huzar z wymusztrowanego wojska pozazdrościłby tutejszéj wolności, równości i swobodzie — Główna kwatera była w jednym z celniejszych domów na rynku. U wejścja niebyło warty ni szyldwacha, ale gromada małych dzieci bawiła się. Weszliśmy do obszernéj izby bez podłogi ni stolowania; długi stół był na środku, a na nim paliła się licha świeca, słabe rzucająca światło na ubogą strzechę ze trzciny. U końcu stoła trzéj oficerowie grali w karty; a przy nich stały kobiety i nieco daléj z tyłu, gaucze przypatrujący się grze. Na piérwszem miejscu siedział komendant, człowiek barczysty i wysoki, w granatowéj gęsto naszytéj błyszczącemi guzikami kurtce, bez płaszcza; przy nim drugi, cały utopiony w kartach, chudy i schylony, pąsową pończą ociągnięty; z drugiéj strony niski, o zapadłych, ognistych oczach, z długiemi wąsami i rozciętą wargą Hiszpan, we francuzkiéj furażerce i czarny[m] okrągłym płaszczu.

Powstali wszyscy, a gaucze i kobiety do drugié[j] ucie-kli izby, wyjąwszy jednéj, która przy komenda[...]ncie zo-stała. Grzecznie i uczciwie nas przywitał k[...]omendant i zaraz jął się do czytania pasportów, co [...]mu niemało czasu zabrało: bo jeden pasport był po por[t]ugalsku z Rio Janeiro a drugi francuski z Paryża. Tym[cz]asem Hiszpan począł dyskurs o polityce i wojnie, i prędko przebiegł

wszystkie napoleońskie kampanije, wiele późniejszych rewolucyj, wiele batalij nowszych i dawniejszych: tak, że nie trudno było poznać, iż ten człowiek bił się przeciw wszystkich cywilizowanym ludom, pierwéj nim tu zabłądził polować na dzikich — Komendant jeszcze czytał, kiwał głową i w końcu oddał pasporta i kazał podać szklankę. Do tej szklanki wlał Hiszpan ze dzbana anyżówki, i przepił do mego kolegi; potém podano mi téż samą szklankę i kiedym ją postawił na stole, komendant podniósł ją podał kobiecie przy nim siedzącéj, a resztę sam wypił. Ma tu być zwyczaj pić z jednéj szklanki bez dolewania; a gorzałka nader mocna i odurzająca.

Wróciwszy od komendanta znaleźliśmy w pocztowym domie kobietę która po długiéj niewoli u Indyan wróciła do męża i wiele nam o barbarzyństwie tych dzikich mówiła. Porwaną była lat temu dziewięć w czasie napadu Indyan na Rio Saladillo i zaprowadzono ją daleko na stepy z małym siedmioletnim synem. Syna tego Indyanie zabili za to, że jednego razu kiedy pasł trzodę odbiegła mu i niewiedzieć jakim przypadkiem zaginęła jedna krowa. Wiemy z rozmaitych wojażów że u tych dzikich amerykanów wielożeństwo dotąd zachowane: ale nam mówiła owa kobieta że w ogólności Indyanie pogardzają nie swojego rodu kobietami, żyją tylko ze swojemi a niewolnice do służby tylko i do ciężkich robót używają.

Wiedzieć też potrzeba, że i tutejsi ludzie częstokroć po barbarzyńsku obchodzą się z Indyanami. Niemała liczba tych ostatnich przez długi czas żyła niedaleko téj wsi w najlepszéj zgodzie z Chrześcianami. Jednego dnia, bez żadnéj przyczyny, pod pozorem jakiejś zemsty czy bezpieczeństwa napadli na tych Indyan mieszkańcy Rio Saladillo, wycięli starszych a dzieci zabrali w niewolą. Z tych dzieci był jeden chłopak wychodowany na pocz-

cie, któremu się miałem czas przypatrzyć: bo dano go nam nazajutrz za pocztyliona.

Chłopak ten w istocie był jak nam malują dzikich amerykanów: kolor ciała ciemniejszy od miedzianego, włos czarny, gruby, sterczący, czoło niskie, nos krótki ostry, nozdrza szerokie, oczy nie wielkie, nie zupełnie czarne, ale w nich coś takiego, że nie miło jest w nie wpatrywać się, chociaż w nich nic okrótnego ni złośliwego nie widać; przytém nogi i ręce nie wielkie i cała budowa kształtna, chłopak zręczny, lekki, a na pozór spokojny i bardzo łagodnego charakteru. Zadziwiło mię, że ten prawdziwy typ Indianina nie był tak uderzającym, tak różnym od mieszkańców hiszpańskiego szczepu w tym kraju, jak sobie nawykliśmy wyobrażać. Wpatrując się lepiej w twarze ludzi, których napotykałem, znalazłem wszystkie te rysy indyjskiego typu mniéj więcéj ułagodzone, i przejścia tak nieznaczne, że nie raz wcale niepodobna odgadnąć do którego rodu człowiek należy, do miejscowego czy do przybylców. Patrząc na niemoc i prawie niedołęstwo dzisiejszych rzeczy pospolitych w poskromieniu ostatków dziczy którą przełamać było udziałem pierwszych rycerzy hiszpańskich, widać jakiej siły, jakiego ducha i rozumu byli ci rycerze, żeby uciszyć i natychmiast przyswoić sobie część wielką miejscowej ludności a swoją wiarę język i obyczaje zaszczepić na ogromnej przestrzeni nowego świata. Wielkich zasług i łaski przed Bogiem musiał być naród którego posłannictwo było tak szlachetne i wielkie.

4 maja. Chory byłem dnia tego od zmordowania. W Zanjon o 4 mile od Frayle-Muerto nikogośmy nieznaleźli, prócz jednego pocztyliona i sześć niedobrych koni, mieszkańce zaś byli uciekli od Indian i trzody daleko na północ odpędzono. Pomimo niebespieczeństwa i bólu, potrzeba było jechać dalej, i zaledwo o po-

łudniu dobiliśmy do Frayle-Muerto, gdzie przez pół dnia odpocząłem.

Wieś ta jedna z najdawniejszych w tym kraju niema równej sobie na całéj przestrzeni od Buenos-Ayres aż do Rio-Cuarto. Jest tu mały kościołek, pleban, szkółka i znaleźliśmy dosyć cywilizowanego pocztmistrza. Kraj nieco milszy, z przyczyny, że widać tu i owdzie małe gaiki i zarośle, po których stada pięknych papug świegocą i wiele ma być strusi, sarn i rozmaitej źwierzyny. Wieczorem przybył tu kuryer rządowy, powracający z listami z S. Jago do Buenos-Ayres. Od niego nie dobrą otrzymaliśmy nowinę, że w Cordylierach wielkie już śniegi wypadły, i radził nam śpieszyć czem prędzéj bo lada dzień góry się zamkną i on sam już przymuszony był przez dwa dni iść piechotą bez drogi z wielkiem niebespieczeństwem.

5 maj. Nie było więc czasu długo popasywać i choć nie zdrów, wsiadłem na konia i 20 mil dnia tego ubiegliśmy krajem zupełnie bezludnym. Trakt idzie po za rzekę Rio-Tercero aż do Esquina a Medrano i wszędzie po za tą doliną widać niewielkie zarośle, jako też gdzie niegdzie drzewa zwane algarobo (mimosa). — Z Esquina de Medrano droga na prost poszła do Cordowy a myśmy się wzięli w lewo i natychmiast znikły nam z przed oczu drzewa i zarośle, które jak widać nie odchodzą daleko od doliny rzeki.

Wybiegliśmy więc na stepy jeszcze doskonalsze niż te jakie dotąd widziałem, a trawy znaku nie było od suszy i szarańczy, która tego roku straszne tu poczyniła szkody. Żadnych nie widać było domów, a jedyny ślad żyjących stworzeń były to nory stepowych królików (biscacha?) niemiłe i niebezpieczne dla galopujących. Niewiedzieć bowiem dla czego te źwierzęta jakby na przekor podróżnym ryją ziemię tuż przy drodze i pod samą drogą. Kupy wyrzuconéj ziemi posypane

białemi kościami ostrzegają z daleka, gdzie są nory; konie zbaczają od nich i bardzo się ich lękają; ale częstokroć nory te są ukryte w głębokich kolejkach, które nie od kół, ale od kopyt końskich wydeptane pokazują którędy idzie droga. Rzecz dziwna, że po tych stepach drogi są bardziej kręte, niżeli w krajach dobrze zaludnionych i nieraz musieliśmy daleko zbaczać dla ukrócenia drogi, i dla uniknienia tych kolei po których częstokroć konie zapadają i kaleczą się.

Wspomniane króliki dają się widzieć po całéj drodze z Buenos-Ayres do S. Luis, a nieco są większe od zajęcy i żyją w dobréj zgodzie z małemi sowami, które się po tychże samych norach kryją. Pod wieczór, o zachodzie słońca króliki wyłażą z nór i dają się zbliska podejść, w dzień zaś chowają się, a na ich miejscu siedzą jakoby na straży ich towarzyszki sowy. Nie wiadomo czy te ostatnie wdzierają się do posiadłości królików prawem gościnności, czy też wspólną pracą i duchem assocyacyi pracują z niemi na rospostrzenienie podziemnych pałaców.

W pośród pustyni, na posechłej równinie obaczyliśmy pocztowy domek Arroyo S. Jose. Była to uboga chata przy niej jedno algarobo i tuż mały ruczaj. Tylko co zabito krowę; szmaty mięsa wisiały na gałęziach pod cieniem liści, a dwaj ludzie powalani we krwi krajali jeszcze resztę kadłubu. Domowe ptastwo zebrało się na drzewo i dziubało mięso, a dzikie torosy, krogulce i niewiedzieć jakie ptaki przechadzały się w koło i czekały na trzewy i obrzynki. Parę koni osiodłanych stało przy chacie i na jednym z nich poleciał chłopak po stado. „Patrz Pan, rzecze mój kolega, człowiek bywały po świecie i uczony, jacy to zbójcy i łotry ci ludzie całe życie we krwi, samem mięsem żyją i z równą obojętnością zarzneliby człowieka jak zarzynają wołu, — jakie rozbójnicze twarze“. Kiedy to mówił, wyszła z cha-

ty jakaś staruszka i zaprosiła nas do izby. Widząc mię chorego, przysunęła, *tacho* (kociołek) do ognia w pośrodku izby tlejącego i niemówiąc mi słowa wrzuciła szczyptę ziela *yerba buena,* w którego dobre skutki bardzo wierzą. Na ścianie był krucyfix, gitara; w kącie zwalone leżały harbuzy, a na lichym stole, jedynym w tej chałupie sprzęcie, leżała hiszpańska książka do nabożeństwa. Zajrzałem do tej książki; była dobrze pisana, bardzo budująca i do pojęcia prostego ludu. Kiedym ją czytał, wbiegła do izby młoda dziewczyna, córka staruszki, porwała mi z rąk książkę i prędko odbiegła. Na zapytanie moje co to znaczyło, odpowiedziała mi kobieta, że jej córka poniosła książkę do umierającego o podal nad ruczajem człowieka, przy którym jej córki modlą się i ostatnią oddają posługę. Weszli potem dwaj młodzi, miedzianej twarzy ludzie smutni, ze łzami w oczach i donieśli staruszce, że niemasz nadziei ratunku i człowiek już konający. Młodzi ci przyjechali odwiedzić chorego i zdaje się byli jego powinowaci. Staruszka uklękła i poczęła modlić się, młodzi ludzie milczący stali u progu, a nam podano osiadłane konie.

Na pół drogi z Arroyo S. Jose do Cannada de Lucas spostrzegliśmy w północno-zachodniej stronie łańcuch gór kordoweńskich o których nie zdarzyło mi się czytać w geografiach. Góry te wydały mi się jako wał jaki, o gładkim grzbiecie, bez igieł i zębów. Na równinie grunt nieco lżejszy, piaskowaty, suchy, gdzie niegdzie małe gaiki, schronienie dla papug.

Słońce zachodziło kiedyśmy spotkali Gauczów polujących na sarnę niedaleko Cannada de Lucas. Trzech było jeźdzców i dwoje psów; — sarna uciekała prosto na nas, wyprzedzało ją dwóch jeźdźców, psy tuż za nią, a trzeci jeździec za psami. W kilka minut, dwaj pierwsi zawrócili sarnę ku psom, które ją natychmiast schwyciły.

W godzinę potém, wyborny czomber sarni kręcił się na ogniu na żelaznym rożnie w Cannada de Lucas. gdzieśmy się zatrzymali na nocleg. Rożen był nie kuchenny, ale sporządzony na piętnowanie bydła i koni stepowych, i z tego rożna, jedliśmy wespół z myśliwymi sarninę, krając każdy swoim podróżnym *cuchillo*. Dwie hoże kobiety z ogromnemi czarnemi warkoczami, miedzianéj twarzy i wielkich czarnych oczu, zabawiały nas swojemi powieściami; do których się mieszały żarty gauczów w koło ogniska siedzących pod rozłożystem algarobo. Tu się dowiedziałem, że wyraz *gaucza* nie miły jest dla kobiet i obrażający, mianowicie w tej prowincyi, i kiedy się stosuje do dziewczyny znaczy prawie to samo co kobieta rozpustna.

6 maja. — Dnia tego dobiegliśmy aż do Rio-Cuarto, jedynego miasta na całéj tej przestrzeni między Buenos Ayres a S. Luis. Nie wesoło nam dzień zeszedł, od noclegu aż do Cucul 20 mil drogi było krajem zupełnie pustym, że ani trzód ni dzikiego zwierza ni ptastwa żadnego nie widać. Trawa poschła, miejscami umyślnie wypalona; mówiono nam jednak, że ziemia tu bardzo urodzajna, ale się kraj niezaludnia z przyczyny ciągłych napadów Indian: Jakoż nieliczne tu i daleko od siebie położone domy, wszystkie okopane i opasane murem, i rzecz dziwna, mówiono nam, że Indianie tak nawykli wojować konno, i tak się lękają zsiadać z koni, że częstokroć nie wysoki mur i rów dostateczne są do zatrzymania ich i do odporu.

W Cucul nie małe jezioro, którego brzegi pokryte solą, tuż i ruczaj iakby po śniegu płynący. Łańcuch gór Kordoweńskich coraz się wydatniej malował. Mieszkańce po niektórych miejscach uprawiają tu wiele dyń, kukurudzy, fasoli etc.

7 maja. — Miasto Rio-Cuarto położone nad rzeką tegoż nazwania liczy jak nam mówiono do czterech ty-

sięcy mieszkańców. Domy z ziemi bitej- niektóre dosyć porządne, bez okien. Na rynku jeden kościół duży na pół rozwalony, w drugim niewielkim była msza z rana i pełno ludzi. Miasto to utrzymuje się z handlu i rolnictwa, ciągłe karawany przechodzą tędy z S. Luis, Mendoza, i z S. Juan.

Właściciel poczty był razem jakimś urzędnikiem, gdyż obowiązani byliśmy pokazać mu nasze pasporta. Człowiek ten wydał mi się prawym i dosyć cywilizowanym, mówił nam wiele o Indianach i niepodobieństwie poskromienia ich na długo. „Religia nasza, mówił, niepozwala nam dopuszczać się okrucieństw i wycinać tych dzikich ludzi, którym jedynie miłości i wyższego światła braknie. Na próżno starano się między nimi zaprowadzić obyczaje nasze i przyciągać ich handlem rolnictwem i rzemiosłami. Religia tylko mogłaby ich ułagodzić. Nieboszczyk biskup z Cordowy wiele poświęcił pracy i pieniędzy na oświecenie tej dziczy; stawiał im domy, rozdawał podarunki, posyłał światłych i odważnych ludzi. Po jego śmierci, znowu do swego wrócili i teraz nam niedają pokoju i niemamy dosyć wojska do zabespieczenia miasta.

Dawny gościniec pocztowy do Mendozy nie przechodził przez Rio-Cuarto, ale szedł prostszą drogą na Santa Barbara y Baraucas. Od niejakiego czasu poniszczono domy na dawnym trakcie, a podróżni muszą zbaczać do Rio-Cuarto, i ztąd brać się na północ do Rio-Tambo, czyniąc do dziesięciu mil nakładu.

Rio-Cuarto leży prawie na saméj granicy step otwartych. Zaraz za miastem od strony gór poczynają się gaje z algarobo i espinas, [3]) nie wysokich, kolczastych drzew, które jednak miłą są rozrywką dla oczu utrudzonych jednostajnością stepu.

---

[3]) Jakiś gatunek mimozy.

Zaraz za temi gajami wyjechaliśmy na wzgórza, które są niejako pierwszym szczeblem do pasma gór tuż z parę mil położonych. Wzgórza te są jeszcze gruntem nasypowym, a na nich znaleźliśmy nieprzyjaciela tej ziemi, gęstą szarańczę, która się zerwawszy zaćmiła niebo i z nieprzyjemnym szelestem przeleciała.

Na poczcie w Rio-Tambo, chata pusta; mieszkańce dawno uciekli, a ledwo w pół godziny pokazał się nam jakiś człowiek, któremu nie dobrze z oczu patrzyło, a miał przy boku szablę i u siodła *laso* i *bolas*. Był to pocztarz; on nam przypędził konie i służył za przewodnika. — W chacie nie było żadnych sprzętów; walały się tylko ułamki staréj broni, szabla zardzewiała i dzida Indyjska. Tu przed rokiem, po drugiej stronie ruczaju była batalia między dzikimi a wojskiem regularnem, w któréj nie mało ludzi z obu stron poległo.

Jechaliśmy bez drogi po nierównych polach a z daleka widzieliśmy poniszczone chaty i kraj zupełnie wyludniony od świeżych napadów. Nikogośmy nie napotkali; w stronie tylko stepowéj, o dobre pół mili od nas widzieliśmy dwóch konnych w pędzie, jak mogły konie wyskoczyć. Przewodnik nasz miał podejrzenie że to byli Indyanie; a może to byli ludzie którzy nas wzięli za dzikich i od nas uciekali.

O cztery mile od Achiras poczęły się góry i skały; i wypadałoby tu wyjąć młot z tłumoka i uczynić geologiczną exkursyą. Ale nie była pora ni kraj po temu; kolega mój spieszył, naglił i mało co zaobserwować mogłem.—Stepowa ziemia i na niéj osady solne dochodzą tu aż pod same prawie góry. Niedaléj może jak o milę od granitowych skał poczyna się napływowa glina i w niéj runione kamienie. Widać też było przy granicie, marglowe poziome pokłady warstwujące się z ławicami rozmaitych kolorów piasku i gliny. Przejechaliśmy przez jednę odnogę tych gór i mającą kierunek od północy

na południe, zniżającą się tu, rozpłaszczającą i widzieliśmy jako te góry powoli schodzą na równinę i nikną. Góry te złożone są z gneisu o rozmaitéj grubości warstwach, a kierunek warstw i pochylenie, jakkolwiek zmienne i nieregularne odpowiadają kierunkowi i pochyleniu samychże gór. W żyłach które przerzynają gneis widziałem wiele czerwonego felspatu, fioletowego kwarcu i białéj o szerokich blaszkach miki; miejscami też pokazuje się granit grubo ziarnisty. Żadnych innych skał nie napotkałem.

Przenocowaliśmy w Achiras, wiosce okopanéj i omurowanéj od Indyan. Na rynku nocowały liczne trzody kóz, owiec i bydła a konie pasły się daleko na górach.

8 maja. — Słońce już było wysoko kiedyśmy wyjechali z Achiras, a mieliśmy 13 mil do najbliższéj stacyi, krajem zupełnie pustym. Kraj ten pod wielu względami wart zastanowienia; droga idzie po za samém prawie pograniczu, na przejściu od gór do stepu, od gór odrywających się ze środkowéj wyniosłości lądu, do niezmiernych równin które całe południowe Pampa i Patagonią zajmują. Góry te nie mają wyraźnego, pojedynczego grzbietu; trzy oddzielne ogniwa gneisowych i granitowych łańcuchów przejechaliśmy w poprzek dnia tego; każdy z nich przychodził z północno wschodniéj strony, a rozpadał się na niewielkie, przypłaszczone wzgórza ku południowi i żaden prawie nie dochodził do horyzontu, na którego równém, doskonałém kole najmniejszéj szczerby nie było. Góry te nie należą ani do głównego pasma Cordylierów, ani do utworu wschodnich pasm Brezylijskich i zapewne są dalekiemi odnogami środkowego podniesienia południowéj Ameryki. Pokład ich jest granitowy, *pierwotny,* jeżeli jaki pokład na powierzchni ziemi *pierwotnym* może być nazwany. Rzecz dziwna, że między tym pierwotnym, a najnowszą napły-

wową płaszczyzną żadnych pośrednich nie widać pokładów.

Tu na téj granicy, na tém przejściu od najdawniejszéj do najnowszéj ziemi, na téj geograficznej linii między górzystym a stepowym krajem, najzaciętsza téż zdaje się być wojna między dzikimi a chrześciaństwem, najuporczywszy bój. Dotąd ta miedza do nikogo nienależy; opuszczone miejscami chałupy bez strzech i drzwi, porozwalane zagrody i osmalone drzewa, świadczą, że niedługo tu goszczą ludzie pracowici a spokojni, i teraz gorzéj jeszcze niż było przed laty.

Kiedyśmy przybyli do pocztowego domu w Morros było już za późno posyłać po stado, umyśliliśmy zatrzymać się na noc, a przyrzeczono nam dać konie zaraz po północy. Przyrządzono tymczasem *kasuelę* i że nie było chleba upiekła nam kobieta placek z mąki rozczynionéj w wodzie, ciężkie i niezdrowe ciasto zwane *tortilla.*

9 maja. — O pierwszéj w nocy byliśmy już na koniach, a dano nam piękne konie, nóg pewnych, silne i lekko galopujące. Noc była ciepła, pogodna, księżyc jasny. O świcie przeprawiliśmy się wpław przez Rio Quinto, rzekę szeroką o wysokich gliniastych brzegach, bystrą, nie głęboką, i na brzegu tej rzeki piliśmy mleko przy ogniu, pod chatą pastuszą a do koła były trzody bydła, kóz, owiec i koni.

O mil 6 ztąd są kopalnie złota w Carolina, o których nam ludzie tutejsi jako o wielkich skarbach mówili. Stacye pocztowe są tu bardzo długie: pierwsza z Morros do Rio Quinto miała 12 mil, druga z Rio Quinto do S. Luis liczyła też 12 mil drogi. Przybyliśmy do tego ostatniego miasta o południu.

S. Luis stolica udzielnéj prowincyi tego nazwania leży na pięknéj równinie, dobrze uprawionéj, przy górze zwanéj la Punta de S. Luis. Miasto z daleka nie

źle się wydaje od wielkiéj ilości topoli włoskich, bardzo wysokich które jeszcze liściem znaleźliśmy okryte, ale żółkniejące już od nadchodzącéj zimy. Miasto rozległe, wewnątrz smutne, bardzo regularnie założone, i całe jednopiętrowe. Domy z surowéj cegły, daleko jedne od drugich, połączone murami z ziemi bitéj; ulice szerokie, puste, rynek rozległy, pusty i na nim jeden kościół duży, na pół rozwalony, a koło naprawy drugiego pracowano.

W ogólności, to miasto ma wejrzenie jakoby nie dawno było po pożarze, a liczne ogrodzenia z ziemi niepobielanéj, podobne są do brzegów rzek téj krainy pionowo zapadających a nie wysokich. Jedyną ozdobą, ożywiającą to miasto, są liczne ogrody pełne drzew z których najwyższe są topole włoskie a najrozłożystsze, figowe drzewa ogromnéj wielkości.

Niemiłe na mnie wrażenie czynią domy bez okien, z zamkniętemi od ulicy dziedzińcami, jak gdyby w nich ludzie skryci i niegościnni mieszkali. Zastanowił mię jeden dom nieco porządniejszy z wielkim oknem, opatrzonym w żelazną kratę. Zdjęty ciekawością zapytałem przechodzącéj kobiety do kogo należał. „Dom ten odpowiedziała, jest dawnego prezydenta Ortiz, którego w rewolucyi ostatniej zabito, razem z generałem Quirogą“ (jednym z naczelników partyi).

Niełaska to Boża, pomyśliłem sobie, że to ubogie miasto, zaledwo jeszcze z błota ulepione, i nie mające czém kościołów swych utrzymać, miało już swoje rewolucye i patrzyło na zabójstwo królów swoich, których samo dla siebie obiera.

Oberżysta u któregośmy na gospodzie stanęli był człowiek polityk i z *opozycyjnéj partyi;* ostrzegł nas że dla własnego bezpieczeństwa, powinniśmy natychmiast jawić się w policyi dla wizy paszportów. Zaprowadzono nas do szefa departamentu policyi, przedającego płótno i per-

kale w swoim narożnym kramie. Żadnéj stolicy policmajster nie był tak pożytecznie i uczciwie zajętym jako ten prefekt policyi udzielnego państwa S. Luis. Trzymał w ręku łokieć i liczył coś w myśli, i nie ochoczo wziął się do pióra, którem jak było widać niezbyt umiejętnie władał. Nie miał czasu czytać pasportów; wziął jeden i wielkiemi literami napisał Viva la Federacion; potém chciał to przekreślić, i znowu się namyślał, aż w końcu położył datę i swoje nazwisko, oddał czém prędzéj oba pasporta i wrócił do swego. Prosiliśmy o zawizowanie drugiego pasportu; na to nam odpowiedział, że „u nas w prowincyi S. Luis, dosyć mieć jeden pasport na dwóch", i ledwo na usilne przełożenia dał się namówić do powtórzenia powyższéj wizy na drugim pasporcie. Potem weszliśmy w rozmowę i znalazłem, że był to człowiek grzeczny, szczéry, uprzejmy, całém niebem różny od całéj europejskiéj policyi.

Pod wieczór wbiegło do miasta liczne żołnierstwo konne, trąbiąc i hukając, było to posiłkowe wojsko *auxiliares*, które tu od dawnego czasu przysłał Rosas, jakoby na zabezpieczenie prowincyi od wszelkich obcych wpływów i napadu nieprzyjaciół. Prowincya ta bowiem nieludna, nie bogata, a należąca do argientyńskiego związku, nie zdaje się mieć dosyć siły ni sposobu do utrzymania mniemanéj niepodległości. Protektor tego związku Rosas, łatwiéj tu rozciąga swą protekcyą niżeli do Mendozy czy do Cordowy. Pod pozorem, że z przyczyny wojny przeciw Bolivianom i napadu na północne prowincye Salta i Tukuman, potrzebne są rezerwy wojska we środkowych częściach związku, utrzymuje tu porządną załogę, która nie bez wpływu i niejakiéj konsyderacyi zostaje między *wolnemi* obywatelami tego kraju. Że zaś z przyczyny oblężenia portu skarb Protektora ucierpiał bardzo, wojsko to (liczące do 300 koni) nieplatne już od pięciu miesięcy zaradza samo sobie i szumi

o koszcie mieszkańców. Żołnierze ci dobrze ubrani, mają granatowe kurtki, ponczo takież pąsowem podszyte, białe rajtuzy i furażerki granatowe z czerwoną wypustką.

Prowincya ta zajmuje część gór któreśmy po drodze widzieli i część równiny stepowéj; dla tego ma być sposobną do wszelkiéj kultury i do rozmaitych gatunków rolnictwa. Największym jéj nieprzyjacielem są Indyanie i własna domowa niezgoda. Dotąd, mało bardzo produktów z niéj wychodzi, ale przechodzi przez nią cały handel ze dwóch zachodnich prowincyj, to jest z Mendozy i S. Juan. —Pytałem u jednego z tutejszych obywateli czy téż są jakie kopalnie w górach od strony Cordowy; ach czemużby się nie znalazły, odpowiedział, *gdyby był lepszy rząd;* a był to człowiek z opozycyjnéj partyi i praktykujący polityczne życie.

Ma być ztąd prosta droga do S. Juan którędy bliżéj nam było jechać do Coquimbo niżeli na Mendozę; ale na nieszczęście, nie masz poczt na téj drodze, nie znaleźliśmy na prędce człowieka coby nam najął konie do S. Juan a Cordyliery nie pozwalały długo czekać; ruszyliśmy więc daléj pocztą do Mendozy.

10 maja. — Wybiegamy znowu na równinę, ale na równinę odmiennéj natury i zupełnie różnego wejrzenia od stepowych równin, po których od Buenos Ayres jechaliśmy. Cała tu płaszczyzna pokryta niską, ubogą wegetacyą, krzewami i karłowatem drzewem; grunt suchy, piaskowaty. Jakkolwiek rośliny te do zupełnie innych rzędów i familii należą co nasze, ogólne jednak ich wejrzenie, ich fizyognomia, przypominała mi owe karłowate zarośle, które na suchych i miernych gruntach u nas napotykamy. Jakkolwiek obfita w formy i sposoby natura, ma jednak zawsze pewien właściwy sobie wyraz odpowiedni położeniu i wewnętrznéj dobroci ziemi, odpowiadający bezwątpienia, jakimś wyższym,

niepojętym widokom. Rozmaite niskie iglaste krzewy, z koloru i kształtu zastępują tu miejsce naszego jałowcu; nad niemi podnoszą się krzywe, suche, kolcowate drzewa, odpowiadające jakoby podłym gatunkom karłowatych sosen, między któremi z rzadka rosną gdzieniegdzie wyższe nieco drzewa nakształt bladawéj osiny, grabu, lub téż dzikich grusz naszych. Mało ziół na ziemi, gdzieniegdzie *pigment* czerwony rośnie zamiast jagód, a na spieczonym piasku widać po wielu miejscach ślady wężowe. Tu nam przez drogę przebiegł struś czarniawy, ciężki na pozór ale szybko między krzaki śmigający; daléj, o paręset kroków od gościńca przechadzały się guanaki, żółte, z wyniosłemi szyjami, wielbłądziéj głowy i składu. Pięknie też połyskiwały na słońcu małe zielone papugi świegocące po drzewach, i inne większe, szarawe, o żółtych i czerwonych piórach. Ma tu być ojczyzna tygrysów; ale nie mieliśmy szczęścia ich widzieć ni słyszeć.

Na cztery mile od Desaguadero spostrzegliśmy na zachodzie długi nieruchomy obłok od którego ku nam spuszczała się wielka zielona równina. Obłok ten przy zachodzącém słońcu wykroił się na niebie w długi ostremi zębami nastrzępiony łańcuch gór który się w końcu błękitnym kolorem pociągnął na purpurowém świetle. Były to Kordyliery. Ostry cypel Tugungato stał prawie na środku, przy nim inny Pano del Portillo, a dalej ku północy większy od dwóch poprzednich, zaokrąglony, na którym widać było jako czarny punkt, wierzchnią część góry Cerro de la Plata.

Ważna to była epoka w podróży, pierwszy widok Kordylierów, owego grzbietu czy pacierzowéj kości dwuameryk, największego pasma gór na świecie, które od lodów do lodów, przenoszą z sobą wieczny śnieg przez najgorętszą strefę, a wewnątrz, żywią tyle wulkanów trzęsących ziemią! Zastanowiło mię to zjawisko nowe,

jako obraz kraju, za który rzadko czyja ambicya najnierozmyślniejszych nawet podróżników naszéj ziemi zabiegła. Obejrzałem się na wschód, a jeszcze widać było koniec gór kordoweńskich któreśmy przy San Luis zostawili. Góry te jakem powiedział nie mają pojedyńczego grzbietu, ale się odrywają od środkowego podniesienia południowéj Ameryki, i rozpadając w wielokrotne ogniwa zniżają się pod równiny Pampas. Widać tu, jak między tę gromadę nizkich, granitowych gór na wschodzie owe olbrzymie pasmo Kordylierów zachodzi i na północ ciągnie ta szczególna równina ubogą krzewiną porosła, po któréj jedziemy i która niedaleko ztąd w otwarty step przemienia się. Tu właśnie jest miejsce dla geografa, z którego obejrzeć może względne położenie téj równiny, jako się ona spuszcza po za pasmem Kordylierów i oddziela je od środkowych gór, i jako się zlewa z niezmierną południową płaszczyzną która aż w Patagonią przechodzi. U samego ujścia téj leśnéj równiny i zlania się jéj z płaszczyzną Pampas, leży w zachodniej stronie u stóp Kordylierów Mendoza, a z drugiéj od wschodu, u końca gór *środkowych*, San Luis de la Punta, dwie stolice prowincyi związku argientyńskiego.

Podzieliwszy całą Amerykę południową na trzy główne *łożyska* (bassin) to jest Orenoku, rzeki Amazońskiéj, i la Plata, mamy dziś na pierwszem usadowione nowe rzeczypospolite pochodzące z rozerwania się Kolombii, na drugiém leży Brezylijskie państwo, na trzeciem utworzył się argientyński związek. Trzy te łożyska poczynają się we środkowéj części Ameryki u stóp Kordylierów, na środkowéj wyniosłości (plateau) od któréj ku wschodowi rozchodzą się rozmaite pasma granitowych gór (sierra de Parime, Brezylijskie andy etc.) oddzielone od pasma Kordylierów równinami których położenie odpowiada zapewne fizycznemu położeniu téj równiny

na któréj jesteśmy. Z jednego tylko węzła, na linii rozdziału wód między drugiem a trzeciém łożyskiem, oddziela się od Kordylierów pasmo gór Cochabamba y Santa Cruz i do nich zapewne dotykają ogniwa które przez prowincyą Tucumanu, i Kordowy dochodzą aż do Rio Tambo, Rio Quinto i San Luis.

Uważałem też, że natura gruntu na całéj téj płaszczyznie którą przebiegliśmy w związku zostaje z naturą gór do których ta płaszczyzna przytyka. Najdelikatniejsze okruchy, ziemia żyzna, w pył rozsypująca się, zdaje się być na stepach bliższych Buenos Ayres, gdzieśmy zieloność świeżą, młody oset i koniczynę a w ruczajach sam muł i bardzo drobny piasek widzieli. Daléj chudszą coraz wydała mi się ziemia i ledwośmy minęli Frajle Muerto, spostrzegłem grubszy żwir miejscami i okruchy granitu w ruczajach. Rio Quinto, Rio Tambo i inne rzeki aż do San Luis toczą w korytach swoich ułamki granitu z którego się składają owe góry od Kordowy idące. Tu wjechaliśmy na inną równinę, odmiennego wejrzenia, na pozór suchszą od poprzednich, a w korytach rzek znajdujemy runione porfiry i szmaty wulkanicznych skał które do składu głównego pasma Kordylierów należą, a którym podobnych nie napotkałem ani w tem kordoweńskim pasie gór któreśmy przebyli ani w rzekach które z tego pasa spadają.

11 maja. — O świcie przeprawiliśmy się przez Desaguadero rzekę nie szerszą od naszego Bugu w Brześciu. Konie nasze przeszły wpław a nas przeprawiono promem nie wielkim podobnie urządzonym jako nasze. Od czasu jakem przebył Niemen w Bielicy nie widziałem promu, aż oto w kraju do którego natenczas nie myśliłem był zajechać.

Na pierwszéj zaraz poczcie w Corocorto obaczyliśmy piękne ogrody, winograd, wiele jabłoni i topoli włoskich. Była to jesień w maju, liście żółknieć poczynały, i tylko

co było po winobraniu. Ludzie tutejsi nie żyjący z jutrem, wszystko od razu pojedli, resztę przedali i ani winogron ani żadnych owoców nie znaleźliśmy.

Gospodyni zaprosiła nas do izby. Spodziewano się plebana z pobliskiej wioski i dla tego izba porządnie przybrana, wymieciona, a po lewej ręce u wejścia przyrządzono ołtarz. Duży obraz Najświętszéj Panny wisiał na ścianie, przed nim krucyfix, dwa anioły z drzewa po bokach i dwie świece palące się. Z resztą zwyczajny sprzęt gitara na ścianie, fuzya, pałasz, dynie i kukurudza w kącie a u belki wisiała ćwierć tłustego mięsa.

Jadąc dalej spotykamy liczne karawany mułów obładowanych winem, rodzynkami, figami i konfiturami z Mendozy. Prowincya ta zamożniejsza od innych i z przyczyny oddalenia od Indian lepiej zagospodarzona ważny prowadzi handel z Buenos-Ayres i mianowicie teraz, kiedy europejskie płody z przyczyny francuskiego blokus podrożały w porcie, obywatele tej prowincyi spieszyli z wyprawą swoich produktów, jak śpieszą u nas gospodarze z transportem zboża kiedy pszenica i żyto podrożeją.

Góry ciągle rosły i mieniły się przed nami; czasem zupełnie nikły we mgle czy jakiejś parze lekkiej, błękitnawej nieznacznie przechodzącéj w niebo, to się potém znowu wynurzały i wierzchy ich połyskiwały śniegiem. Dziwnie rozmaitych i do nieopisania zawiłych były kształtów; a o zachodzie słońca znowu się jednym powlekły tłem, mało co różnem od koloru nieba, jakby przeźroczystem i tylko sam grzbiet i wierzchy ciemniéj nieco i wydatniej odbijały od nieba. Góry te były już dziś dwa razy wyższe od wczorajszych.

W Dormida znaleźliśmy niezłą oberżę na model europejski zbudowaną, pobieloną, i oberżystę nakształt porządnego Niemca. Tuż przy domie bardzo szerokie koryto rzeki, na ten raz prawie bez wody: rzeka ta

wzbiera się nagle za nadejściem deszczów i jak z opowiadania tutejszych mieszkańców wnoszę, należy do spadu wód, które już wpadają do Rio-Colorado; płynie z północo-zachodu ku południo-wschodowi a w jéj korycie znalazłem ułamki trachitowe i duży kawał pumexu. — W tymże samym kierunku płynie i Desaguadero rzeka przez którą przeprawiliśmy się tego rana; ale jak nam powiadał tutejszy gospodarz, człowiek jak widać bywały i rozsądny, rzeka ta wypływa z jezior i niknie między jeziorami w prowincyi San-Luis.

Nocowaliśmy dnia tego w Santa-Rosa, ubiegłszy 32 mile drogi. Na wieczerzę dano nam talerz czarnych winogron tak wielkich i pięknych jako najlepsze winogrona Malaga. Piliśmy też krajowe tutejsze wino, słodkie, mocne, podobne do dobrego miodu.

12 maja. — Jeszcze kilka mil od noclegu ujeżdżamy równiną porosłą krzewami, suchą i monotonną jako cała droga od San-Luis; ale na mil trzy od Retamo pokazują się długie aleje z topoli włoskich, kraj wesoły, uprawne pola, zieloność, pięknie zabudowane folwarki, i mnóstwo strumieni pracą ludzką prowadzonych na polewanie sztucznych łąk i ogrodów.

W Retamo obaczyliśmy duży dom pocztowy, pobielany, z malowanemi drzwiami i przedsieniem. Drzwi nawciąż były otwarte; izba bez okien, ale po europejsku umeblowana: w niej stoliki, kanapy, krzesła i źwierciadła. Daleko ode drzwi przy źwierciadle siedziała młoda pietnastoletnia dziewczyna, biała jak mléko, pusta i ciągle się uśmiechająca do drugiej nieco starszéj, na kanapie siedzącej. Panny były dobrze poubierane i przy nich poważna matka. — W tem przyjechali dwaj kawalerowie na dzielnych koniach; jeden miał pończo żółte czarnym do koła szlakiem obwiedzione, drugi pończo zielone. Z kroju ich płaszczów, daleko krótszych od tych jakie tu noszą, widać było że nie zbliska przy-

byli, ich kapelusze żółte wysokie z cieńkiej słomy uplecione różniły się też od krajowych tutejszych. Przytém mieli czarne szerokie rajtuzy, duże trzewiki z długiemi brzęczącemi ostrogami, bez pończóch. Weszli, i zaraz u progu grzecznie ukłonili się damom. Jeden z nich, widać znajomszy, przybliżył się do panien i zagaił rozmowę o pogodzie i zabawach, drugi o żółtym płaszczu usiadł z daleka, przy ojcu. Rozmowa z tej strony była w dobrańszych wyrazach, o polityce i handlu, nieco przerywana, ale na kanapie przyszło wkrótce do żartów tak wesołych i niewinnych, że się do nich i cała kompania wmieszała. Kawaler o zielonym płaszczu wziął gitarę i bardzo grzecznie prosił panien, żeby zagrały i zaśpiewały. Młodsza wymawiała się chrypką po ostatnich tańcach, starsza jak było widać nie umiała muzyki, uprzejma tedy gospodyni przełożyła, że kawalerowie powinni dać przykład pannom. Na to, ów siedzący przy pannach, nieznacznie zwrócił oczy na towarzysza i uśmiechnął się, tak że dziewczyna od razu poznała co to znaczy i poczęła prosić gościa, żeby zaśpiewał. Po długich wymówkach i ceremoniach wziął gitarę, spuścił oczy i obróciwszy się nieco bokiem na krześle przychylił jedno kolano, drugą nogę wyciągnął i począł od akordów bardzo smutnych, aż trafił na jeden przy którym zaśpiewał jakiś dziwnie piękny romans hiszpański z wielkim gustem i uczuciem, rzucając od czasu do czasu okiem na panny. Bardzo się wszystkim podobała pieśń; klaskano i chwalono, a gospodarz poprosił o drugą. Grzeczny gość, jakby ośmielony tym pierwszym sukcesem, wziął znowu gitarę, ale zmienił twarz, podniósł oczy do góry, wyprostował się i jakimś militarném *tempo* począł pieśń żywszą, weselszą, sztuczniejszą, pełną trelów i modulacyi; a była to pieśń nowa, nieznajoma pannom i jak mnie się zdaje podobała się tylko z nowości, bo w niej ani tyle melodyi,

ani tyle prostoty i uczucia nie było co w poprzedniej. Pytano się co to była za pieśń tak nieznajoma, i odpowiedział śpiewak, że był to hymn patryotyczny chilijski. Jakoż słyszałem w tej pieśni częste *libertad, libertad* przy głośnem brząkaniu, ale w muzyce niebyło sensu. W krótce potem skłonili się ci dwaj panowie i wsiadłszy na konie, w dalszą pojechali drogę, stępo, do Mendozy. Powiedziano nam, że ów kawaler śpiewak w żółtym pończo był z San-Juan i częste odbywał wojaże na drugą stronę Kordylierów do Chili.

Na pół drogi do Rodeo del Medio, przebyliśmy wbród piękną i szeroką rzekę Mendoza, krętą a bystrą i głośno po kamieniach szumiącą. Dolina po którój ta rzeka płynie, porosła jest miejscami wysokiém sitowiem ale zdaleka po stronach widać mnóstwo topoli włoskich i piękne ogrody.

W Rodeo del Medio ostatniej przed Mendozą poczcie częstowano nas wybornemi owocami za które nieprzyjęto zapłaty. Odtąd aż do miasta, ciągły prawie szereg wsi, ziemia uprawna, ogrody, i znać, że się przybliżamy do stolicy.

Tu koniec mordującéj podróży na Pampa; góry tuż były przed nami, u stóp gór Mendoza, a trzysta mil równiny za nami.

Miasto ma wejrzenie szczególne, niepospolite, miłe bardzo utrudzonemu od pustyni oku. Długie przedmieścia *(calle jones)* rozciągają się we wszystkie strony, zajmując obszar nie mniejszy zapewne od Paryża wziętego ze swemi przedmieściami. Nie są to ciągi domów jako po europejskich miastach, ale raczéj gospodarskie zabudowania, z należącemi do nich ogrodami i winnicami, folwarki jednóm słowem, połączone prostemi, pod kąt prosty krzyżującemi się ulicami. Niskie, niewielkie domy chowają się między przepychem drzew i winogradu. Cała prawie wegietacya przyniesiona tu z Europy, wybu-

jała i daleko wyprzedziła rodaków swoich na starym lądzie: pomarańczowe drzewa są tu jako największe jabłonie po staroświeckich sadach naszych; figi téż rozłożyste dochodzą prawie wielkości orzechowych drzew i kasztanowych; prowanckie oliwne drzewa karłami są, jałowcem przy tutejszych, które zdaleka, mają wejrzenie starych wierzb ogromnych, na tłustéj grobli sadzonych. Pięknie jszy niż gdzie indziéj winograd, o szérokim liściu, odrywa się od wysokich kwater, czepia się na drzewa, spada z cyprysu na cyprys z topoli na topole, tworząc girlandy jakby z umysłu uwite. Dziwnie téż urozmaicona była zieloność drzew i wszelkiéj krzewiny; nadchodząca zima porządkowała je wedle krajów i klimatów, z których były przyniesione; i kiedy pomarańczowy liść pysznił się jakby wiosenną jeszcze zielonością, jakiéj ani na Brezylijskich pomarańczach niewidziałem, topole nasze osypywały pożółkłym liściem smutny winograd świéżo z jagód obrany, pełen świegocących papug — W powietrzu cichość była, pogoda i umiarkowane ciepło jesieni; lekka mgła przechadzała się po wysokich górach; zboża i ogrodowizny były zebrane, miejscami tylko świeciły jeszcze na jabłoniach żółte i czerwone jabłka, a domy mieszkańców obwieszone były gronami winnych jagód które suszono na sprzedaż i konserwę.

Takiém jest miasto, a raczéj takiemi są przedmieścia Mendozy; i długo, więcéj godziny jechaliśmy przez te *callechony* aż przybyliśmy do środka, czyli do właściwie nazwanego miasta, gdzie cztery wielkie kościoły, duży rynek i kilkaset porządnych, pobielanych jednopiętrowych domów widać. Trudno było się dopytać jaka jest ludność tego miasta; osoby godne wiary mówiły mi że ludność tu dochodzi do 10,000 mieszkańców, ale wiedzieć potrzeba, że miasto samo tak nieznacznie przechodzi

w wieś, że niewiadoma jest jego granica i niewiadomo jaka część callechonów liczy się do miasta.

Niewidać tu owéj gauczéj posępności i wyrazu pustyni w mieszkańcach: tu coś żywszego, weselszego, a razem złośliwszego w obejściu się. Rzadki wędrownik, rzadki cudzoziemiec zabłądzi w te strony; za to gdy się pokaże, żartuje z niego lud prosty i małe chłopaki, szydzą, prześmiewają, a w istocie niebraknie im na dowcipie i raźności. Kobiéty tutejsze, sławne są ze swoich wdzięków; mieszkańce mają być gościnni. Położenie fizyczne, klima łagodne, oddalenie od portów, od Indyan i rolnicza natura kraju, zdaje się powinnyby utrwalić spokojność i umiarkowane szczęście u tych ludzi. Cóż kiedy na pierwszy porządny dom, nieco z europejska urządzony, o którym pytałem się do kogo należy, powiedziano mi że właściciela w rewolucyi zabito. Uprzejma gospodyni u któréj miłe przyjęcie znaleźliśmy, była wdowa po sekretarzu Ortisa zabitym w domowych zamieszkach. Spodziewano się nowéj rewolucyi, mówiono o partyach, niezgodach, nienawiściach; chociaż w całém tém państwie udzielném zaledwo tyle jest mieszkańców co w naszém jedném Wilnie i kraj wielki, rozległy, że łatwo człowiek ominie człowieka. W kościele, gdziem był nazajutrz na mszy niedzielnéj, znalazłem tylko kobiety i małą liczbę chłopaków, a ani jednego człowieka z cywilizowańszéj klasy — Piękne kościoły, szpitale i szkoła pozostały tu z Hiszpańskich czasów.

Co do wygód do życia, można tu *wegietować* prawie po europejsku. Mięso tanie, tłuste; chleb biały, wino acz podlejsze od Francuzkich, mocne i niedrogie; winogron dwa gatunki: jedne czarne, wielkie, bardzo słodkie, drugie muszkatowe białe, słodsze i lepsze od europejskich. Wiele tu robią konfitur i niemi handel prowadzą nie tylko z Buenos Ayres ale i z krajem zagórnym Chili.

Nie będzie téż od rzeczy przytoczyć tu rozpołożenie poczt, wydatek podróżny i całą naszą marszrutę z Buenos Ayres do Mendoza dla wiadomości tych, którzy jak ja, zechcą kiedy odbyć tęż samą podróż długą i mordującą przez równiny Pampas.

Nazwisko poczty	mile.	płaci się na milę od konia	Wydatek pieniężny na dwóch. pias. pap.	
z Buenos Ayres do				
Puente de Marqueza	7	2 reale papiérowe na mile od konia pod jeźdzca a 4 reale od konia ujuczonego (8. realów czyni 1 piastr = 8 piastrów papiérow. czyniło mniéj więcéj 5 franków = 8 złp. 10 gr.	50	konie najęte niepocztowe i rozmaity przybor na drogę.
Canada de Escobar	6		9	
			4	w Luxan za chleb i wino.
„ „ Rocha	7		10½	*nocleg*
			9	za wieczerzę.
„ „ la Cruz	4		6	
Areco	7		10½	
Carballo	5		2	za butelkę wina
			7½	
Chacras de Ayala	5		7½	
Lima	7		10½	*nocleg*
			5	wieczerza
Arrecife	3		4½	
			9	dwie butelki wina, chleb, rodzynki.
Ximenes czy téż Fontesuelas	5		7½	
Arroyo de Ramallo	6		9	
„ „ en Medio	6		9	*nocleg*
			3½	wieczer. kawon etc.
„ „ Pabon	6			
Mile	74		*Summa piastr. pap.* 183.	

Nazwisko poczty	płaci się na milę od konia	Wydatek pieniężny na dwóch	
74		*piastr. pap.* 183.	
Prowincya Sta Fe.		rea. sr.	
Cerillo del Rosalio . . 7	Odtąd płacimy srebrem po pół reala za konia na milę, a po realu za konia ujuczonego = 8 realów, czyli piastr sreb. czynią 5 fran. = 8 złp. 10 gr.	21	
		8	wino, cukier, etc.
Manatiales, czy Orqueta 5		15	
Candelaria 6		18	
Desmochados 4		12	*nocleg*
		3	wieczerza.
Arequito 5		15	
		1	mléko.
Esquina de la Guardia 4	po ½ reala od konia, po realu od juczonego.	12	pias. sr. 11 r. 5
La Cruz Alta 4		11	
La Cabeza del Tigre . 4		12½	
Prowincya Cordowa			
Esquina de Lobaton . 5	po ½ reala zarówno od konia pod jeźdzca jako też od konia pod tłumoki.	12½	
Rio Saladillo 4		10	*nocleg*
		9	wiecz. śniad. brzoskwinie suszone.
Barraneas 4		10	
Zanjon 4		10	
Frayle Muerto 4		10	*nocleg*
		16	wiecz., wino, chleb, śniad. lekarstwo
Tres Cruces 4		10	
Esquina de Medrano . 4		10	

Mile 142 *reale* 226 = *piastr. sr.* 11 *r.* 5.

Nazwisko poczty	mile	płaci się na mile od konia	Wydatek pieniężny na dwóch	
	142		rea. sr. 226 pias. p. 183	
Arrayo de S. José...	8	po ½ reala od konia, po ½ reala od konia pod jeźdzca a po realu od konia pod tłumoki.	20	
Canada de Lucas...	6		15	wieczerza, sarna.
			4	
Totoral..........	4		10	
Tambito.........	10		25	
			½	mleko.
Chucul..........	7		17½	
			3	obiad.
Rie Cuarto........	5		12½	*nocleg*
			13	wiecz.. chleb, funt cukru, rodzyn. &c.
Rio Tambo.......	7		17½	
Achiras..........	12		30	*nocleg*
			6½	wieczer. mleko.
Morró...........	13		32½	*nocleg*
			8	wiecz. chleb. wino.
Prowincya San Luis				
Rio Quinto.......	12		36	
			2	mleko, śniadanie.
			36	*nocleg*
San Luis........	12		12	obiad, wiecz., śniad.
			10	wino, cukier, chleb na drogę.
Represa.........	7		21	
Desaguadero.....	15		45	*nocleg*
			8	wieczerza.
Corocorto........	12		36	
			2½	śniadanie.
Dormida........	10		30	
			4½	wieczer., wino.
Santa Rosa......	10		30	
			4½	wieczerza, piwo.
Mil	292			

Nazwisko poczty	mile	płaci się na milę od konia	Wydatek pieniężny na dwóch
	292		
Retamo...........	11	33	
		1	mleko.
Rodeo de en Medio..	7	21	
Mendoza..........	5	15	
z Buenos Ayres do Mendozy	315.	383½	—*pias.sr.* 47 *r.* 7.

w ogóle wydatek podróżny „ 98 „ —
redukując 183 pias. pap. na srebro=22 „ 7.

wydatek na dwóch z Buenos Ayres do Mendozy 120 r. 7.
Przybór na konie i do podróży piastr. pap. 304 = piastrów sr. 38, służącemu piastr. sr. 22 = 60 „ —
Podróż z Buenos Ayres do Mendozy kosztowała (na dwóch) . . . . p. 180 „ 7.
Na każdego z nas wypada 90 piastr. 3 i pół real. = co uczyni 453 fran. = 755 złp.

(Dokończenie w następującym zeszycie.)

KILKA DROBNYCH
WIADOMOŚCI DZIEJOWYCH.

W roku 1772 biskupstwo Warmińskie przeszło od Rzeczypospolitéj pod panowanie pruskie, a biskup owoczesny Ignacy Krasicki wkrótce potém obrał sobie dwór berliński za swoje ulubione siedlisko. Z pewnością oznaczyć się nie da, co tego było powodem. Może X. Biskup uważał ten pobyt za korzystny dla biskupstwa, a może też dwór sam zmuszał go do przebywania w Berlinie, rozkochany w znamienitych jego zdolnościach i dowcipie, a ośmielony wzorową zimną krwią i szczególną wyższością nad gminne uczucie skrzywdzonéj godności. Czy te lub inne miał pobudki, niewiadomo, ale to pewna, że Krasicki należał do częstych i miłych gości na dworze Fryderyka Wielkiego, że nareszcie zupełnie w Berlinie zamieszkał, (na Burgstrasse Nro 25) i życia dokonał w marcu r. 1801. W roku 1804 księgozbiór jego poszedł na publiczną

sprzedaż, na któréj królewska biblioteka berlińska nabyła ryczałtem 14,699 portretów znakomitych ludzi z dodatkiem 564 autografów — za złotych polskich 1,200 *) Myliłby się mocno, ktoby sądził z ceny o niewielkiéj wartości tych zabytków. Z katalogu licytacyjnego przekonać się można o wartości portretów (Catalog der Krasicki'schen Buecherauction in Berlin 1804), ale to tutaj nie należy, anibym chciał mówić o tém, czego niewidziałem, bo samych tych rycin nie miałem sposobności przeglądać. Za to nieżałowałem sobie mozołu dostać się do tych autografów, w których, ponieważ były przez Polaka zbierane, spodziewać się należało wiele polskich. Nie omyliłem się bynajmniéj, znalazłem ich nie mało. Sam pociąg ku tego rodzaju świadkom mniéj niepomyślnéj, a chwilowo nawet prawdziwie świetnéj przeszłości naszéj, byłby mi wystarczył do szczegółowego ich przejrzenia, a tém bardziéj historyczna nawet wartość niektórych. Sięgając aż do Kazimierza Jagiellończyka posiada zbiór ten listy wszystkich prawie znakomitości w Polsce aż do ostatnich chwil życia Krasickiego, a szczególnie naturalnie monarchów. Przeważająca część adresów do znakomitych biskupów Warmińskich, jakimi są Mikołaj, Łukasz, Dantyszek, Hozyusz, Kromer it.d. każe się domyślać, że głównem źrodłem dla Krasickiego było archiwum biskupstwa Warmińskiego, którego uporządkowanie jego jest zasługą. On to ułożył korespondencye dawniejszych biskupów Warmińskich w porządne akta, i wtenczas to zapewne swój zbiór kompletował. Być nawet łatwo może, że owe listy wycięte z woluminu zachowanego w archiwum kapituły **) Warmińskiéj wycięte zostały własną ręką Krasickiego a dziś przechowują się w bibliotece berlińskiéj, jeżeli czasem i tam

*) Wilken Gesch. der Königl. Bibl. zu Berlin.

**) Dr. Eichhorn. Leben des St. Hozius. Mainz 1854 str, 18.

zuchwalec jaki nie rzucił się na nie. Są bowiem ślady że i z tego zbioru już nie jedno ubyło. I tak czytamy w tak nazwanym Niesieckim pana Bobrowicza pod artykułem Jakób Uchański uwagę wyjętą z przypisków Krasickiego w jego własnym egzemplarzu Korony Złotéj Wolności, w któréj wspomniane są listy Uchańskiego jego własnością będące, a w berlińskim zbiorze ani jednego nie masz. Nareszcie urzędnik biblioteki, który piérwszy ten nabytek po Krasickim porządkował wspominał mi o bardzo zajmującym i ważnym liście królowéj Anny Jagiellonki do Hozyusza. Zastałem z niego tylko pieczątkę i adres. Jakiś amator nie mógł się widać obronić pokusie. Oprócz tych widocznie z archiwum Warmińskiego pochodzących jest wiele przypadkowo zebranych, część pewna pochodzi z Gniezna; o czém świadczą kondolencye wszystkich dworów po śmierci Augusta III (1764) do Stanów Rzeczypospolitéj na ręce Prymasa Łubieńskiego adresowane. Lecz pomijam dalsze szczegóły o całości, którą dobrze poznać można tylko z całkowitych kopij, a lepiéj jeszcze przypatrzywszy się samemu zbiorowi. Ktokolwiek więc szczegółowo zajmuje się badaniem naszych dziejów, a nawet dla kogo pamiątki naszéj przeszłości mają dostateczny urok, ten niech bawiąc w Berlinie odłoży kilka godzin na przejrzenie tych autografów w bibliotece berlińskiéj, prosząc o przedłożenie mu „der Autographensammlung.“ My zamierzamy tu tylko czytelnikom przedłożyć kilka listów mniéj więcéj z szesnastego wieku zasługujących na interes ogólny, a o ile nam wiadomo drukiem dotąd nie ogłoszonych.

Pierwsze cztéry adresowane do Łukasza Watzelrode biskupa Warmińskiego, a wuja sławnego Kopernika (Barbara Watzelrode matka Kopernika była rodzoną jego siostrą) dają nam wyobrażenie o wielkiém znaczeniu tego cudzoziemca u synów Kazimierza Jagiellończyka.

Nr. 1. pisany jest w miesiąc po klęsce doznanéj w Bukowinie (26 Paźdz.) a zawiera krótki a bardzo łagodny jéj opis z pióra Fryderyka Jagiellończyka Kardynała Prymasa a wtenczas „Gubernatora“ Rzeczypospolitéj. Zajmujący on tak autorem, jak widoczną chęcią wystawienia téj klęski w jak najmniéj niekorzystném świetle. Co to za sprawa między Podkomorzym Andrzejem a Wojewodą Malborskim (naówczas Mikołajem Bażeńskim) nie da się oznaczyć.

Nr. 2 i 3, listy zaopatrzone własnoręcznym podpisem Jana Alberta i drobną pieczątką z orzełkiem takim, jakie widzimy na pieniążkach tego króla. Obadwa świadczą dobitnie jak wysoko cenił Jan Albert zdolności lub zasługi Łukasza, które musiały być znaczne, kiedy mąż ten i u Zygmunta w wielkiem pozostał poszanowaniu, a Jan Łaski, jak to widzimy z numeru czwartego zaraz po powrocie z Węgrzech spieszy się donieść mu szczegółowo o owocach swego poselstwa.

Nr. 4. Zygmunt wkrótce po wstąpieniu na tron wysłał poselstwo do brata swego Władysława króla Węgierskiego i Czeskiego, aby odnowić z nim przymierze. Na czele tego poselstwa stali Jan Łaski i Krzysztof Szydłowiecki. Otóż Łaski natychmiast po powrocie obznajmia biskupa z wynikiem swego działania.

Pominąć nie mogę, że Acta Tomiciana wspominają, że posłowie z Węgier powróciwszy 29 sierpnia królowi sprawę zdali, gdy list niniejszy już 27 z Wilna datowany. Zapewne więc dopiero w kilka dni po przyjeździe do Wilna było owo posłuchanie u Zygmunta. (Acta Tom. T. 1 str. 15 i 18). Co znaczy owo śledztwo u Mistrza Krzyżaków (requisitio Magistri) nie wiadomo.

Nr. 5. Zupełnie innego rodzaju treści. Nie ma tam ważnych historycznych wiadomości, ale jest trochę poglądu na sposób życia Jana Dantyszka biskupa Warmińskiego, poety znakomitego z epoki ustępującej łaci-

ny, a nareszcie najważniejszego dyplomaty z czasów Zygmunta I. Autorem jego Tomasz Kranmer biskup i poseł angielski później Zwinglianin, a wskutek tego męczennik reformacyi pod rządem Henryka VIII. Sądzę, że ciekawe mogą być dla nas podobne korespondencye dwóch biskupów. Nie wiem z resztą, czy w istocie Kranmer był kiedy w Krakowie, ale widać że Dantyszka wszyscy bardzo lubili. Karol V w osobnym liście (1528) żali się, że Zygmunt odwołuje człowieka tak biegłego, którego obecność u niego stała mu się potrzebą. W bibliotece berlińskiej jeden a w bibliotece Tytusa Działyńskiego drugi, znajduje się kodex korespondencyi Dantyszkowych, w archiwum Warmińskiem jest jedna, w Stokolmie i Upsali druga połowa zbioru listów jego i do niego. Wydanie ich byłoby ważnem powiększeniem źródeł dziejowych, ale tylko wydanie całkowite, a nie jednej części z tej lub owéj biblioteki.

Nr. 6. List Gamrata do Dantyszka. Gniewy Bony pochodzą zapewne z sprzeciwienia się jej względem obsadzenia jakiej kanonii człowiekiem, który się Królowej opłacił. Wiadomość, że do protektorów Hozyusza człowieka równie ważnego w naszych dziejach jak Zygmunt III, należał i Gamrat zdaje się ważną dla biografii tego męża. Gamrat z historycznych osobistości w najbliższych stał stósunkach z królową Boną mniej więcéj nielubioną.

Nr. 7. Skąd Krasicki przyszedł do posiadania brewe papieskiego adresowanego do króla Zygmunta Augusta, które powinno było być zachowanem w rządowem archiwum, to zapewne pozostanie zagadką, ale świadczy zawsze tak jak tysiące co chwila okoliczności o niedbalstwie i nieporządku należących niestety do najpowszechniejszych u nas wad. Brewe niniejsze drukowane jest u Raynalda: Annales Ecclesiastici ad annum 1548 Nr. 82 wypisane ex libro breviario Pauli III ad an. XIV.

Pierścień rybacki, annulus Piscatoris używany bywa przez papieży do pieczętowania wszystkich brewe, a przedstawia św. Piotra w czółnie na jeziorze ryby łowiącego.

Nr. 8. Kto zna całą piękność osobistości Samuela Maciejowskiego, a poznawszy należycie ocenić i szanować zdoła, dla tego list ten będzie rodzajem świętości, byłby przynajmniéj w oryginale. Jest to bowiem, jeżeli nie ostatni to przynajmniej jeden z zupełnie ostatnich listów tego czcigodnego męża, jak to widzimy z treści i z daty. Mnie się zdawało, że i w słabych i niepewnych liniach podpisu dostrzegać się dawała niemoc piszącego. Warto tu wspomnieć, że u tegoż samego Raynalda pod wyżéj wymienionym numerem umieszczony jest list Kardynała Farnese do Zygmunta Augusta z którego się pokazuje, że Zygmunt w swoim poprzednim liście wstawiał się u Pawła III o dostojność kardynalską już w roku 1548. Nadzieje robione Zygmuntowi w liście Kardynała, musiały być tylko grzecznością, kiedy dwa lata nie wystarczyły do urzeczywistnienia ich.

Nr. 9. Przypadek nie tylko chodzi po ludziach. Niniejsze brewe znajduje się wraz z dwiema innemi (do Kromera adr.) w bibliotece berlińskiego uniwersytetu, nie pochodzi z zbioru Krasickiego, ale jakiegoś Niemca który wraz z wielu innymi pargaminami zostawił je tej bibliotece w spadku. Nie można go się więc zapytać zkąd do niego się dostało.

Nr. 10. Widok oryginału tego listu byłby w stanie popsuć humor niejednemu zagorzałemu amatorowi tem bogactwem podpisów ludzi mniej więcej znakomitych i ich dziewięciu pieczęci zupełnie dobrze zachowanych. Komu nie z historyi temu z tych podpisów znanemi będą godności podpisanych tu mężów, i ich szczególne znaczenie jak n. p. Piotra Zborowskiego, który z Fir-

lejem stanowił czoło dyssydentów, a szczególnie po śmierci Zygmunta przy każdej sposobności z wzorową ich bronił energią i odwagą. On to powiedział wręcz Henrykowi Walezemu w Paryżu. „Jeżeli nie przysiężesz (zabezpieczenia wolności religijnej) królem nie będziesz“. Jakim kasztelanem był Jan z Sienna a jakim marszałkiem Andrzej Zborowski nie umiem powiedzieć. Prawdopodobnie, że Jan z Sienna Zakroczymskim.

Nr. 11. Czytając to brewe do Kromera przychodzi mimowolnie na myśl J. I. Kraszewski, który w Nowych Studyach Literackich mówiąc o Sępie Szarzyńskim żali się, że król Stefan pod każdym względem zacny i dzielny na te pochwały gorliwego o wiarę katolicką monarchy, jakiemi go Szarzyński obsypuje, nie zasłużył. Więc łatwiej w sprawach wiary zasłużyć na zadowolnienie zupełne stolicy Apostolskiéj, jak dzisiejszych naszych nawet najwykształceńszych pisarzy. Zapewne że lepszy był Zygmunt III z swoją polityką i wszystkiemi jej następstwami.

Niech mi czytelnicy darują, że się rzucam na krytykę wypowiedzianego przez Kraszewskiego zdania, aleź wszakże to tylko jedna odrobina, któréj przemilczeć nie mógłem, bo mi się żal zrobiło poczciwego króla Stefana i żal zrujnowanego systemu wyobrażeń, w którym wyrobiłem sobie zdanie, że prawdziwego zupełnego wykształcenia ważną cechą jest tolerancya. Wolę wątpić o prawdziwości tego zdania, jak o doskonałości wszechstronnéj wykształcenia naszego genialnego pisarza.

K. K.

1.

Reverendissime in Christo pater et domine amice noster dilecte [1]) Zamyślaliśmy wysłać do Was posłańca względem spraw, o których nam mówił Wielmożny Jędrzéj Podkomorzy w imieniu Waszem i Wielm. Wojewody Malborskiego. Ponieważ jednakże król Jegomość już do kraju wrócił, odesłaliśmy całą sprawę do Jego Król. Mści, który zapewne wcześnie zapobieży takiemu postępowaniu. Oprócz tego (donoszę) jak Wam już wiadomo, że Król Jegomość tak potrzebami państwa jak i powszechnej wiary chrześciańskiej wyruszył był na zdobycie owego obozu na Wołoszech, który Turek był zajął. Do tego przedsięwzięcia po kilkakroć wzywał króla Jegomości wojewoda Wołoski. Gdy jednakże wyprawa nastąpiła Wołoch sam wedle przyzwyczajenia swego do zdrady oświadczył, że chce zupełnie stanąć po stronie Turka i jego wspierać. Tak więc Król Jegomość zmuszony został oręż swój na tego niecnego Wołocha zwrócić i mieczem tam dotąd torować sobie drogę, dokąd pierwotnie iść zamierzył.

Gdy się to działo, Jegomść król Węgierski przysyła posłów prosząc, aby wstrzymano kroki nieprzyjacielskie, aż się król Węgierski z naszym Królem Jegomością względem tego nie porozumieją. Gdy więc po ułożeniu warunków rozejmu wojska nasze wracały, z zasadzki Turków i Wołochów wyrządziła się strata w sprzętach i ludziach. Niektórzy bowiem z szlachty dostali się tam w niewolę, co, jak i inne szkody, zdarzyło się szczególnie dla złego zdrowia Króla Jegomości, które natenczas mocno nadwyrężone było. To piszemy Wam, aby-

---

[1]) Listy z tegoczesną pisownią są tłómaczone z łacińskiego. Wstępnych form ogólnie przyjętych niechciałem tłumaczeniem wykrzywić. Listy z niezwykłą pisownią są wiernemi odpisami oryginałów.

ście wiedzieli, jak o tém póżniej obradować. Datum w Zolunach w dzień św. Andrzeja roku pańskiego 1497.

Fredericus miseracione divina
Presbiter Cardinalis etc.

Reverendissimo in Christo Patri Domino Luce dei gratia Episcopo Varmiensi amico nostro dilecto.

2.

JOHANNES ALBERTUS DEI GRATJA
POLONIE etc. REX.

Reverendissime in Christo pater et domine nobis dilecte. Jak nas obecnie napaść Turków i Tatarów dręczy, o tém da Wam wyobrażenie nasz notaryusz. Ku jéj odparciu zbroimy się, gdyż bez naszego zezwolenia nieprzyjaciel w państwie naszem zimować chce, aby zaraz na wiosnę srożéj rozpocząć. Ale przed zawarciem przymierza z Najjaś. Władysławem królem węgierskim bratem naszym, wyprawiliśmy posłów do Najjaś. Króla Rzymskiego i Electorów świętego Cesarstwa do Fryburga, aby wystawili niedolę i niebezpieczeństwo, które nam Węgrom i Polsce, dwom podporom Rzeczypospolitej Chrześciańskiej grożą, aby wezwali pomocy zanim Turek i Tatar siły nasze wycieńczone zupełnie zniweczy. Tenże nasz poseł wespół z posłami Naj. Króla Węgierskiego zrobili korzystny początek dostania pomocy z którego wyniknąć może sposób i warunki wsparcia odpowiednie położeniu. Aby ostatecznie tym dwóm państwom pomódz i śmiałe zamiary tak silnego nieprzyjaciela zniweczyć, wyznaczony jest inny zjazd w Worms na którym posłowie Ojca ś. i wszystkich Królów i książąt zebrać się mają. Na ten zjazd ma także N. Król Węgierski W. Książe Litewski jak i my posłów swych wyprawić, gdyż nasza sprawa toczyć się tam będzie. Dlatego my

Waszą Przewielebność dla Jego rozumu i zupełnej znajomości położenia naszéj Rzeczypospolitéj wyprawić tam dotąd umyśliliśmy, i dodajemy Wam tego samego męża, który niedawno temu tam był, i wszystkiego tak domowych naszych potrzeb, jak spraw tam obradzanych dobrze świadom. Waszą więc Przewielebność zaklinamy, aby się pracy tej dla dobra Rzpltej Chrześciańskiej podjąć i niezwłocznie do Worms wyruszyć zechciała na ów zjazd. Nie mniej w ten sposób bogobojności, a nawet troskliwości o dobro chrześciaństwa pokażecie, jak gdybyście obfitą dawali jałmużnę lub wielkim kosztem klasztory zakładali. Zjazd zaś ten wyznaczony jest na dzień ś. Katarzyny i trwać będzie niejaki czas, tak, że nic nie stracicie przyjeżdzając na Boże Narodzenie. Towarzysz, którego z całą instrukcyą i wszystkiemi listami naprzód wysyłamy, w Lipsku oczekiwać Was będzie. Na koszta podróży wyłożycie Wasze pieniądze, a my wszystko cokolwiek wydacie z......... [2]) w złocie wypłacić każemy. Prosimy nie róbcie inaczej, gdyż całą nadzieję naszą w Was pokładamy, że polecenia tego tak zbawiennego religii chrześciańskiej chętnie się podejmiecie i wykonacie je, a my wszelką łaskę wynagrodzimy i wszystkie koszta chojnie zwrócimy. Datum w Krakowie piątego dnia po św. Marcinie roku Pańskiego 1498. Panowania naszego siódmego.

Johannes Albertus rex
polonie etc. m. p. subscripsit.

Reverendo in christo patri et domino Luce
Episcopo Varmiensi sincere nobis dilecto.

---

[2]) Miasto, które nie do odczytania.

3.

JOHANNES ALBERTUS DEI GRATIA

POLONIE etc. REX.

Reverende in Christo pater et domine sincere nobis dilecte. Nigdy dotąd państwo to nie miało lepszéj sposobności zaradzenia sprawom swoim i sprowadzenia ich z uczciwością na drogę bezpieczeństwa i spokojności, jak teraz kiedy mocarstwa prawie całego chrześciaństwa wzajemnemi niesnaski niepokoją się i prześladują. Otwierają nam się bowiem drogi nie do pogardzenia a wygodne, na których stosunki Prus ustalić i od Turków zabezpieczyć i tak u stolicy Apostolskiéj jak u króla Rzymskiego wielkie odnieść korzyści. Ale dobra narada spiesznie nam potrzebna, aby krótkość czasu sposobności téj nietylko z naszą szkodą ale nawet i hańbą nie zniweczyła, tém bardziéj że każdy niespokojny władzca o sobie myśli i tam uwagę swą zwraca, gdzie największą i najkorzystniejszą dla siebie widzi opiekę. Dla tego prosimy Was zastósować się do obecnéj potrzeby, która, jeżeli jak się należy postąpimy, błogą przyszłość nam obiecuje i przybądźcie tutaj, gdyż i wszyscy inni senatorowie [3]) zwołani przez nas zjadą się, a właśnie tylko o sprawach dobra publicznego dotyczących radzić będziemy. Trzeba nam bowiem pomówić tak o poselstwie Firleja który już powraca przywożąc z sobą znamienitego posła tureckiego, jako téż o tém, co ksiądz Kardynał z Węgier przywiózł. Oprócz tego N. król Węgierski i N. król Rzymski mają się zjechać, a zjazdu ich pominąć nie można przynajmniéj posłów wyprawiając. Otóż więc wzywamy Was i prosimy przybywajcie tutaj jak najprędzéj bez względu na koszta, które zwróconemi być mogą. Będzie nam to bowiem miłem, i

---

[3]) Consiliarii.

wszelką względem Waszej Swiątobliwości łaskę do wynagrodzenia. Datum w Krakowie szóstego dnia ante Epiphaniarum roku pańskiego 1500, panowania naszego 8mego.

Johannes Albertus
rex. manu propria sbscr.

Reverendo in Christo patri domino Luce Episcopo Varmiensi sincere nobis dilecto.

4.

Reverendissime in Christo pater et domine domine colendissime. Wróciłem nareszcie z Węgier z panami towarzyszami memi. Wypiszę zatém w krótkości, co się tam działo w sprawach i rzeczach Panów naszych i państw tych. Odnowionem zostało wiecznie trwać mające przymierze obu państw, tak że wszelkiemi siłami nawzajem wspierać się będą, że wspólnie czy to wojnę czy pokój miewać będą z jakimkolwiek nieprzyjacielem chrześciańskim, schizmatyckim lub pogańskim bez żadnego wyjątku tak zaczepnie jak odpornie. Obadwa państwa, albo téż jedno z dwojga wystąpi czynnie. Królestwo Polskie wspierać będzie przeciw Turkom Węgry; Węgrzy przeciw Turkom, Tatarom, Moskalom, Wołochom i innym skądbykolwiek powstali nieprzyjaciołom, tak radą jak orężem łączyć się będą z Polską, i wspierać ją wszelkiemi siłami. Wołoszczyzna pozostanie tymczasowo pod zwierzchnictwem Węgier, póki w państwach tych panować będą królów tych prawi potomkowie zgodnie wybrani i koronowani; tymczasem zaś mogą inaczéj ku lepszéj dogodności o ziemię tę się ułożyć. Jeżeli innego układu nie zrobią, natenczas prawo państwa Polskiego do ziemi Wołoskiej po wygaśnieniu potomków królewskich będzie zupełném bez żadnego terminu przeda-

wnienia. Jeżeliby Wojewoda wołoski gwałty lub szkody Polsce robił, lub jeżeliby przeciw niéj wojował, lub jeżeliby przeciw Królowi Polskiemu najazdy nakazywał, lub najazdy tureckie albo tatarskie, tedy Węgry Polskę przeciw niemu wesprą, a gdyby wojnę rozpoczął, obadwa państwa przeciw niemu wyruszą. Również jeżeli przeciw Turkom bronić go będzie potrzeba, obadwa państwa bronić go będą. Przez króla Węgierskiego przymuszanym będzie nieść Polsce pomoc przeciw Turkom ile razy tego będzie potrzeba, i Węgry także wspierać będą ile razy Tatarzy albo synowie Carów [4]) nadejdą, a szczególnie jeżeliby Turcy napadli etc. Inne warunki są podrzędne. Przewielebny Ojcze! W mojéj nieobecności zaszła zwłoka względem śledztwa Mistrza. Skoro więc wróciłem oświadczyłem, że trzeba zrobić śledztwo na miejscu zakonu i siedliska Mistrza, ażeby Król Jegomość tak pomału ztąd wyjechał najpierw na termin wyznaczony Mistrzowi, a potem do ziem swoich Pruskich z ową wyprawą, któréj wymaga potrzeba na terminie mistrzowi wyznaczonym. Tak zimę i post przyszły Król Jegomość w ziemiach pruskichby przepędził, a gdyby sprawy Rzpltéj w tym stanie co dziś zostały, może jeszcze i przyszłe lato z Wami być byśmy mogli. Trzeba więc, ażeby na każdy wypadek owo śledztwo nawet i w nieobecności Mistrza miało miejsce. Układ i działania wojny Moskiewskiej szczęśliwie się udają. Spodziewamy się przy łasce Bożéj końca jeszcze szczęśliwszego. Polecam się Waszéj Przewielebnej Świątobliwości. Datum w Wilnie 27 Sierpnia roku Pańskiego 1507.

Reverendissimo in Christo Patri domino Lucae deigratia Episcopo Warmiensi domino colendissimo.

Joannes de Lasco
R.(egis) P.(oloniae) Cancellarius.

---

[4]) Tatarzy Przekopscy. aut filii Cezarum.

5.

Twoja względem mnie i posła francuzkiego ludzkość i łaskawość znakomity Naczelniku sprawiły, iż chociaż często gęsto pracami Sysyfa obarczeni, nigdy tak się ustatkować nie możemy, abyśmy na każdéj schadzce nie wspominali pogadanek i pijatyk naszego Dantyszka, i nie mieli uczcić pucharami nieobecnego wykrzykując owe prawidła biesiadowe przez Ciebie nam przepisane. A pomimo że nikt w wielu rzeczach odemnie mniej dbałym lub opieszałym nie jest, niewiem jednakże, czy pod tym względem ktokolwiek zwyciężyć mnie w stanie. Przecież Bachus ów zwłaszcza otoczony nimfami między wszystkimi bogi najbardziéj obmierzły, ale już w naturze mojéj leży, że muszę przekraczać granice, i naśladować chorego od puharów, którego boginie mdłości porwały. Tak wielką jest moja dla Dantyszka gorliwość. Lecz czemuż przyjaciela nieobecność przy biesiadzie opłakują, a nie przy pracach mozolnych a nieodzownie potrzebnych? Na twoje bowiem barki zlewać zwykliśmy, jaka tylko zdarzała się praca, kłopoty i mozoły. Teraz zaś kogóż wezwiemy? Czy nieznane poczwary, czy bezdenne beczki? O nieszczęsny Twój wyjazd i wezwanie króla Polskiégo, którem nam tak wielkiego naczelnika zabrał. Ja życzyłem mu, żeby mu albo Merkury laską swoją snu był napędził, albo (i to niesprawiedliwość) furye go były zajęły. A przecież przyznać należy, że ty na jego skinienia uważasz, i że od niego zupełnie zależysz. Ale znieść tego nie możemy, że takie przeznaczenie na Ciebie padło. Otóż szanowny naczelniku co nas dręczy, a pomimo naszéj woli nie do naprawienia, gdybyśmy się wkrótce nie spodziewali do Krakowa zawitać, z którego to przyrzeczenia już bylibyśmy się wypłacili, ale śmierć Cesarska nagła a nadspodziewana kazała nam zmienić zamiary. Tymczasem zaś pokrzepia umysły nasze Twój spodziewany powrót do

dworu, którem to dobrodziejstwem chciałbym żeby Jowisz sobie nas zobowiązać chciał, chociaż nam się zdaje, że oprócz spokojności Dantyszkowi odzwyczajonemu już od dworu i towarzystwa wyższego nic nie przypada do gustu. Jeżeli przecież bogowie dobrodziejstwa tego nam pozazdroszczą, będziesz oczekiwał Twego Cranmera z Anglii do swego Dantyszka spieszącego nudziarza dowcipnisia a gorliwego gadułę. Mniemałbym (gdybyś za przyjaciela nie uchodził) żeś jaką Circe sobie zjednał, tak myśli nasze z Tobą w Polsce uwięzłe trzymasz. Pozdrawia Cię poseł francuzki i wszyscy inni przyjaciele. Twój (nie chcę powiedzieć mój) Jerzy przychodzi do siebie z niebezpiecznéj choroby. Wolałbym, żeby sobie w Polsce żywot bez troski spędzał jak z nami w tak mozolnéj pracy; będziemy się starać, żeby mniéj jak drudzy czuł uciążliwość podróży. O sprawy tutejsze wypytaj pacholę. Bywaj zdrów pamiętaj o Twoim Cranmerze.

Z Wiednia 7 października.

Thomas Cranmerus
Orator serenissimi regis Angliae.

6.

Reverendissime in Christo pater et domine, frater et amice carissime et honorande. Zdrowia i wszelkiéj pomyślności. Co do prośby Waszéj abym Wam łaskę Jej Królewskiéj Mości napowrót zjednał, zrobiłem to z największą sumiennością i pilnością i zdaje się, że się złagodziła względem Was i obiecała być łaskawą, jeżeli tylko tę wolę jéj szanować a nie naruszyć zechcecie. Ja, o ile będę mógł, starać się i pracować nad tém będę, aby łaska ta Królowéj względem Was stałą na przyszłość i pewną pozostała. Nawet i tém się zajmę, że-

byście owych donosicieli poznać mogli, aby na przyszłość wiary nie mieli.

Powiedział mi Wielebny Stanisław Hozyusz doktor praw, kantor i kanonik kościoła Waszego Warmińskiego, sekretarz Jego Królewskiéj Mości klient mój i przyjaciel domu [5]), jak wiele starania dołożyliście, aby tenże kantorią ową dostał, i niewypowiedzianą swą względem Was wdzięczność oświadczał. Przysługa Wasza wyrządzona memu klientowi jest mi bardzo miłą, i sam Wam moje składam dzięki za taką względem niego łaskę i dobrodziejstwo, i o to tylko proszę, abyście również go wspierali, żeby go nikt z posady téj nie wysadził, w czém i ja go nie opuszczę, a Wam równą, a jeżeli będzie można i większą przysługą wypłacić się zechcę. Polecam się Waszéj braterskiéj miłości. Datum w Krakowie 5 maja 1539.

Vrae Rmae Donis
ex corde frater
Petrus Episcopus
Cracov.

Rmo in Christo patri domino
Joanni Episcopo Varmiensi.

7.

PAULUS P. P. III.

Kochany w Chrystusie synu nasz, pozdrowienie i apostolskie błogosławieństwo. Zgon sławnéj pamięci Zygmunta króla polskiego a Ojca Twego jest nam wielce bolesny. Była nam bowiem dana taka sumienność, roztropność i królewska dzielność, że jeżeli w innym kiedy czasie, szczególniéj teraz potrzebném by było dla rzpltéj Chrześciańskiéj dłuższe jego życie i zdrowie. Chociaż bowiem Bóg Wszechmogący temu dzielnemu i dobremu

---

[5]) Cliens et familiaris meus.

monarsze życia na długie lata użyczył, tak iż dobrze podeszły je opuścił, przecież wyznać trzeba, że za krótko żył. Zawsze bowiem pamiętny był ńa powszechne sprawy i ciągle wiary katolickiéj przeciw schizmatykom bronił, a do kraju swego zasad heretyckich nie dopuszczał. Dla tego to my na tak ciężkie wystawieni czasy, w których ze wszech stron nieszczęścia nas zastraszają za ojcem Twoim prawdziwie wzdychamy, a pragnęlibyśmy go jeszcze bardziéj, gdybyśmy nie byli przekonani że Ty syn jego nie tylko koronę ale i cnoty jego odziedziczyłeś. Tą tylko pociechą boleść naszą nad zgonem jego śmierzymy. Spodziewamy się bowiem, że Ty latorośl tak dzielnego drzewa najlepsze owoce z prac ojcowskich nam przyniesiesz. Gdyśmy więc spowodowani wielkiemi jego zasługami za życia tak bardzo ojca Twego kochali a całą ku niemu miłość naszą na Ciebie syna jego pełnego nadziei monarchę przelali, posyłamy do Ciebie oddawcę niniejszego pisma ukochanego nam syna Opata Martinengi tajnego podkomorzego naszego i Nuncyusza, ażeby Ci w imieniu naszem oświadczył współczucie nasze nad zgonem Twego ojca a zarazem powinszowanie odziedziczenia korony, a nareszcie obznajmił z wszystkiemi tutejszemi interesami, i z położeniem obecném spraw powszechnego koncilium i czego od Ciebie i kraju Twego żądamy. Różnemi bardzo przeszkodami wstrzymani zostaliśmy od rychlejszego załatwienia spraw tych, któreśmy jeszcze z śp. ojcem Twoim odrobić chcieli, o czém tenże Opat Nuncyusz pełnomocny Twojéj Królewskiéj Mości obszerną zda sprawę. Napominamy Cię jeszcze na Pana Boga abyś w ślady ojcowéj pobożności i niezachwianego dla kościoła świętego rzymskiego poświęcenia wstępując z równą jak on wytrwałością nadal wiarą katolicką się opiekował i powagi stolicy apostolskiéj na chwałę Boga Wszechmogącego i ŚS. Jego Apostołów Piotra i Pawła strzedz chciał, abyś

na chwałę Twoich przodków a mianowicie ojca Twego, który póki żył ciągle tak postępował, a zarazem na Królestwo Niebieskie do którego on zapewne się dostał, zasłużył. Księdzu Nuncyuszowi mężowi znakomitéj szlachetności i nauki daj we wszystkiem, co w imieniu naszém obznajmi zupełną a taką samą wiarę, jakąbyś nam samym dał, gdybyśmy osobiście z Tobą rozmawiali.— Datum w Rzymie u Ś. Marka pod pieczęcią rybackiego pierścienia dnia XXI Czerwca 1548 Najwyższego naszego kapłaństwa roku czternastego.

Blo. el Fulgin

Charissimo in Christo filio nostro Sigismundo Poloniae Regi Illustri.

8.

Reverendissime i Christo pater et domine, frater charissime et observandissime. Salutem pluramque. Sądzę że list ów już was doszedł, w którym Was proszę o formularz testamentu, i nie wątpię że mi w tém usłużycie, gdyż owa myśl i troska, którą od początku téj mojéj choroby pielęgnuję aby sprawy moje tak ułożyć, abym, jeżeli się Bogu tak spodoba, żywota tego nieprzygotowany nie opuszczał z większą trudnością. Postanowiłem już zupełnie wedle przepisów lekarzy żyć, i zdrowie niezwykłemi lekarstwy naprawić: widzę bowiem że owemi lżejszemi sposoby nic nie zyskuję, chociaż i tych mocniejszych kuracyj, do których nie jestem przyzwyczajony, nie mogę nie mieć w podejrzeniu. W Bogu jednakże całą moją nadzieję pokładam i w siłach moich, które prawie nie nadwerężone się zdają, gdybyś odjął bladość i chudość. Proszę, abyście jak najprędzéj przysłali mi ów formularz testamentu, uwolnicie mnie od wielkiéj troski. Chcę bowiem od zrobienia testamentu

być gotowym i swobodnym i z umysłem spokojnym czekać na wyroki boskie.

Wawrzyniec Warmuthowsky wrócił z Rzymu. Odsyłam Wam listy, które dla Was przywiózł. Opowiada on wiele o łaskawości Ojca Ś. na nas i naszego monarchę. Przywiózł także listy od niego, w których napomina, aby Król Jegomość miał gotowych posłów na koncilium, które urządzić obiecuje i to skoro tylko z monarchami chrześciańskimi o miejsce się umówi. Ponieważ zaś Wasza Przewielebność między innymi na to koncilium wedle publicznego postanowienia iść masz, trzeba Wam być gotowymi. Ojciec Ś., jak to w poprzednich listach doniosłem, postanowił tutaj przysłać Przewielebnego Kardynała Aug(sburskiego), który powagą swą znieść miał sprzeczności, jakieby się u nas w sprawach wiary znalazły, ale dowiedziawszy się, że rzecz ta jest większéj wagi, jak się obawiał, przyrzekł przysłać tutaj z zakonu ojców [6]) jakiego uczonego i poważnego męża i dodać mu ludzi znakomitych świętobliwością życia i nauką, którzyby i przykładem i nauką poprawić mogli wszystko cokolwiek u nas nadwerężone. Oczekiwać jednakże będzie pod tym względem zdania Króla Jegomości. Tymczasem Przewielebnemu Kardynałowi Aug(sburskiemu) kazał czekać w pogotowiu na jego rozkazy. Mnie nie zdaje się korzystnem w tym czasie kogo przysyłać, gdyż i Król Jegomość na Litwę dla urządzenia téj prowincyi wyruszyć powinien, i sejmu żadnego nie masz na który mężów tych wprowadzićby wypadało, jeżeli się skutku jakiego spodziewać mamy. Reszty od Cromera się dowiecie, do którego o ile wiem wiele z miasta pisano, i z listów przyjaciół. Mnie dla słabego

---

[6]) **Ex ordine patrum.**

zdrowia dłużéj dyktować nie wolno. Niech Was Bóg zachowuje. Datum w Krakowie 10 Września roku 1550.

Reverendissimo in Christo patri et domino Stanislao Episcopo Culmensi.

V. d. Rmae frater Samuel E.(piscopus) C.(racov.) R.(egis) P.(olon.) Can.(cellarius).

9.

PIUS P. P. IIII.

Kochany synu! Pozdrowienie i apostolskie błogosławieństwo. Książkę Twoją o celibacie kapłańskim co dopiero przez Ciebie wydaną, i nam nadesłaną przyjęliśmy łaskawie. W niéj tak zdolności i naukę Twoją zupełnie pochwalamy, jak bogobojność i gorliwość dla wiary katolickiéj uznajemy. A zalety te tém bardziéj w Tobie chwalemy, im bardziéj w tych czasach czujemy brak takich mężow. Lecz im mniéj tobie podobnych w kraju tym się znajduje, tém większéj pochwały i życzliwości wszystkich dobrze myślących godzien jesteś. Napominamy więc, abyś jak to przedsięwziąłeś, o ile Ci tylko siły pozwalają pismami takiemi dogmatów katolickich i instytucyj kościelnych przeciw heretykom bronił, a zdolności od Pana Boga odebranych ćwiczyć nie przestawał, czem nam także najlepiéj się zasłużysz. Przekonasz przy danéj sposobności, że o zasługach Twoich pamiętamy. Datum w Rzymie u Św. Piotra pod pieczęcią rybackiego pierścienia dnia 8go marca 1565. Najwyższego kapłaństwa naszego roku szóstego.

Ant. Florebellus Lawellinus.

Kochanemu synowi Marcinowi Kromerowi Kanonikowi Krakowskiemu.

10. MOSZCZIWI XIĘŻE.

Zaliecziami przyaczyelskie sluzbi swe lascze W. M. zicząc W. M. miecz wszeliakie pocziechi od pana Boga na czasi dlugie.

Acz mami za tho ze W. M. schęczi i z powinnosczi swey raczi w tamthem kraju wszeliakiem sposobem obmisliacz pokoy i dobre Rzecziposspolitey, wszakosz jednak isz tę sprawę mami ze przesz nyektore ossoby okazuyą szię practiki w ziemiach Pruskich ku oderwanyu ludzi od naszego spolnego postanowienia tak Warszawskiego jako Andrzeyewskiego, proszyemi i braterskie napominami, aby W. M. wszeliakim sposobem i opatrzeniem tamtich miejsc i zamkow iego postrzec raczil zebi tam zadna trudnoscz Rzecziposspolitey nie okazała szie. Za ktore staranie y praczą bedziesz W. M. raczil odniescz podziękowanie y pochwałę tak oth Rzeczipospolitey jako tesz od JE° K. M. Electa naszego, o ktorego richłym do koroni przibicziu wirozumielichmi przesz posla Jego K. M. pana Zmerika a Solyok y przez pana Starzechowskiego Podkomorzego Lwowskiego przed tygodniem, a wczora zasz z listu JE° K. M. przesz pana Orzechowskiego z drogi poslanich. S tym powtore przyacziélskie sluzbi swe lascze W. M. zaliecziami. S Krakowa 10 Marcii 1576.

W. M. ziczliwi przyaczielye y Braczia

Stanisław Carnkowski Biskup Cuiawski ręką swą.
Valentinus Dąbyenski R. P. Cancella.
Andrzej Zborowski Marszal.
Petrus a Zborol pallatinus ac capitaneus generalis cracoviensis.
Maciej Zalinski Casztelan Gdański.
Casp. Zebrzidowski Palatinus Calisiensis.
Joannes Sirak pallat. lanci.
Petrus Dunin Volski Re. P. Vicecancellarius.
Jan s Sienna Cast. Za.

Reverendissimo Domino Martino Cromero Episcopatus Warmiensis Coadiutori Domino Amico observandissimo.

11.

SIXTUS PP. V.

Przewielebnemu bratu pozdrowienie i apostolskie błogosławieństwo. Nie mogliśmy serdecznie nie żałować zgonu króla Stefana, którego religijną gorliwość [7]) a dzielność rządów w tamtym kraju wszyscy dobrze myślący zawsze zalecali. Gdy więc państwo to, które szczególnie ukochaliśmy takiéj podpory pozbawionėm widzimy, z prawa naszéj ojcowskiéj troskliwości oprócz innych, do których listy pisaliśmy i Ciebie napominamy, abyś rozsądkiem, radą i powagą strzegł go od wszelkiéj szkody. Względem elekcyi króla Tobie i wszystkim szczególnie radzimy aby na tego szczególnie miano wzgląd któryby wszystkim dawniejszym, jacy tam niegdyś najlepiéj rządzili, mianowicie zaś świeżo zmarłemu królowi Stefanowi wyrównać mogli w cnocie zawsze się starając dobrze czynić, a nadewszystko bogobojności zadosyć. Ile się w tym względzie po Twojéj wierności, nieskazitelności i mądrości spodziewamy, o tém dokładnie Cię uwiadomi Arcybiskup Neapolitański, którego tam Nuncyuszem posyłamy, a któremu taką jak nam samym dasz wiarę. Datum w Rzymie u Św. Piotra pod pieczęcią rybackiego pierścienia. Dnia X Stycznia 1587. Najwyższego naszego kapłaństwa roku drugiego.

Ant. Buccapadulius.

Venerabili fratri Episcopo Warmiensi.

---

[7]) In religione pietatem.

POSTĘPOWANIE SĄDOWE

W SPORACH

o zwrócenie zeczy wydzierżawionych w Galicyi.

I.

Stosunek dzierżawy jest bardzo ważnym dla kultury ziemi w Galicyi.

Wszystkie dobra rządowe, funduszowe i kommunalne są w Galicyi, w rękach dzierżawców. — Przez wydzierżawianie używają dóbr swoich kobiety, małoletni, wielcy posiadacze, i ci, w Galicyi bardzo liczni, właściciele, którzy nie mają kapitałów, do gospodarstwa potrzebnych. Także pojedyncze kawałki ziemi i inne części posiadłości wiejskich, osobno, puszczane bywają w dzierżawę. — Praw propinacyj, młynów, stawów używają właściciele wyłącznie *tylko* przez wydzierżawianie. W każdej większéj posiadłości wiejskiej mają dzierżawcy swoich poddzierżawców, a często jeszcze i ci ostatni dzierżawne prawa swoje, częściowo, subarendują innym.

Przy tak rozmaitych i licznych stosunkach dzierżawnych niezbędnie jest potrzebnem, aby prawa, z tych stosunków wypływające, mogły być jak najskuteczniej zabezpieczone.

Z natury stosunku dzierżawnego wynika, że prawa dzierżawcy, w ogóle, lepsze znajdują bezpieczeństwo niż prawa puszczającego w dzierżawę.

Przed zawarciem kontraktu dzierżawnego może dzierżawca dokładną powziąść wiadomość o wartości rzeczy, którą bierze w dzierżawę, i o jéj stanie hypotecznym. W czasie dzierżawy ma dzierżawca rzecz wydzierżawioną w swoim ręku, a w razie naruszenia praw swoich do używania tej rzeczy, znajduje on skuteczną w sądach obronę, w drodze *śpiesznego* postępowania prowizorycznego. — Dzierżawca może kontrakt dzierżawny zahypotekować, i tym sposobem, wszelkie swoje prawa na rzeczy zadzierżawionej, zabezpieczyć.

Inaczej rzecz się ma z właścicielem, którego majątek w ręku dzierżawcy się znajduje.

Wielką szkodę wyrządzić może dzierżawca puszczającemu w dzierżawę. Często zbywać będzie właścicielowi na środkach do utrzymania życia, jeżeli dzierżawca czynszu dzierżawnego w umówionym terminie nie złoży. — Wielu dzierżawców nie będzie w stanie dotrzymać obowiązań swoich, jeżeli poddzierżawcy płacenia czynszów odmówią. — W niejednym folwarku gospodarstwo polowe zatamowanem zostanie, jeżeli arendujący propinacyi czynszu nie wypłaci, bo czynsz ten jest, najczęściej, jedynym kapitałem obrotowym jaki właściciel lub główny wsi dzierżawca posiada. — Na zepsucie lub zupełne zniszczenie wystawione są budynki (szczególnie młyny i budowle wodne) i inne do inwentarza dóbr należące rzeczy, jeżeli je dzierżawca źle utrzymuje lub uszkadza. — Siły rodzajne ziemi i jéj produkcya na wiele lat zmniejszoną zostaje, jeżeli dzier-

żawca nie dotrzymuje zaprowadzonego płodozmianu lub pola źle sprawia. — Gdy dzierżawca, w razie wygaśnienia swego prawa dzierżawnego, z dzierżawy ustąpić nie chce, wtedy przeszkadza właścicielowi w zagospodarowaniu i użyciu rzeczy wydzierżawionej i w wypuszczeniu jej innemu dzierżawcy.

Niedotrzymując obowiązków swoich, znajduje dzierżawca zysk oczywisty, i widokiem tego zysku tem częściej uwiedzionym zostaje, ile że od wynagrodzenia szkody właścicielowi wyrządzonéj, zawsze łatwo uchylić się może.

Szkoda, przez nierzetelnego dzierżawcę wyrządzona, w każdym razie, dla produkcyi ziemi jest niepowetowaną, bo czas stracony odzyskać się nie daje, a w gospodarstwie polowem, robota w porze właściwéj zaniedbana, powetowaną być nie może. Szkoda ta najczęściej także i dla właściciela jest niepowetowaną.

Dla zabezpieczenia czynszu dzierżawnego służy wprawdzie właścicielowi prawo zastawu na bydle, na sprzętach gospodarskich i na płodach ziemi, znajdujących się w majątku wydzierżawionym (§ 1101 powsz. ust. cyw.); lecz to prawo, najczęściej jest tylko illuzyą, bo dzierżawca, który ma zamiar uchylić się od zobowiązań swoich, może z łatwością ruchomości swoje z zadzierżawionego majątku naprzód wyprowadzić. Z resztą bardzo liczne są takie stósunki dzierżawne, że dzierżawca w majątku zadzierżawionym, żadnych ruchomości, wartość mających, nie posiada, jak n. p. w dzierżawach propinacyj, młynów, pojedyńczych kawałków ziemi it.d.

Kaucyi, dzierżawcy albo żadnej nie dają alboteż ją składają w summach niedostatecznych, wyrównywających zaledwie czwartej części lub połowie czynszu dzierżawnego. Rzadkie są wypadki, w których kaucya dochodzi wysokości całorocznego czynszu dzierżawnego. Najwyższe nawet kaucye zaledwie mogą pokryć poło-

wę wydatków na *jednoroczne* sprawienie i zasianie pól, a większa część tych wydatków, jakoteż i inne zobowiązania dzierżawcy (do utrzymania budynków, oddania inwentarza i t. d.) zabezpieczenia w kaucyi nie znajdują.— Większej kaucyi od dzierżawcy uzyskać nie podobna, bo dzierżawcy w Galicyi bardzo małe posiadają kapitały, a te kapitały zaledwie im do prowadzenia gospodarstwa wystarczyć mogą. Nawet władze rządowe— (które przy wydzierżawianiu dóbr rządowych i funduszowych starają się o jak największe zabezpieczenie praw właściciela) — muszą przestawać na wspomnionych niedostatecznych kaucyach, inaczéj bowiem nie byłyby w stanie znaleść dzierżawców.

Na innym majątku dzierżawcy wynagrodzenia szkody poszukiwać, jest dla właściciela prawie niemożliwem, bo wyrządzona szkoda bardzo trudno i rzadko w drodze procesu może być dowiedzioną, — bo strata czasu i pieniędzy, przy tak trudnym procesie, zbyt jest wielką, — bo nakoniec, właściciel, chociażby mu sąd jaką cząstkę szkody przysądził, wynagrodzenie za nią bardzo rzadko uzyskać potrafi, gdyż wiarołomny dzierżawca, z swoim ruchomym majątkiem, bardzo łatwo uchylić się może od wykonania sądowego wyroku.

Z tych to przyczyn, właściciele w Galicyi bardzo rzadko występują z procesami przeciw dzierżawcom. W ostatnich właśnie latach częste zdarzały się wypadki, że dzierżawcy porzucali swoje dzierżawy, nie uprawiwszy i nie obsiawszy pola; właściciele jednak nie wytaczali procesów, bo wiedzieli, że proces przyniesie im więcej szkody niż korzyści.

Szkoda, którą nierzetelny dzierżawca w majątku zadzierżawionym wyrządza, staje się tem większą, im on dłużej zostaje w dzierżawie. — Ażeby ochronić produkcyą ziemi i właściciela od większéj, a z każdym niemal dniem wzrastającej szkody, niema innego środka

jak tylko: *najśpieszniejsze* odebranie rzeczy wydzierżawionej od takiego dzierżawcy, który nie dotrzymuje zobowiązań, kontraktem przyjętych.

Taki to środek znajdowali galicyjscy właściciele w praktyce sądowéj, mocą któréj *śpieszne* postępowanie prowizoryczne (possessorium summarissimum) do sporów o zwócenie rzeczy wydzierżawionej zastósowywano, i nierzetelnego dzierżawcę, który albo

a) rzecz zadzierżawioną, po ukończonym czasie dzierżawy, zwrócić się wzbraniał, albo

b) czynszu dzierżawnego w terminie nie wypłacił, — alboteż

c) takiego warunku na którego niewypełnienie utrata prawa dzierżawnego w kontrakcie zawarowaną była — dopełnić zaniedbał, —

w drodze wspomnionego śpiesznego postępowania sądowego z dzierżawy oddalano [1]).

Tej praktyki trzymały się sądy w Galicyi od r. 1812 do r. 1855, zatem przez lat 43, najpierw na podstawie dekretu nadwornego z 5 grudnia 1812 [2]) a w o-

---

[1]) Jak mocno wysoki rząd czuł potrzebę *śpiesznego* postępowania w rzeczonych sporach, dowodzą dostatecznie liczne przepisy, mocą których (w dobrach rządowych i funduszowych) *władze administracyjne* mogły same, bez udawania się do sądów, zmuszać dzierżawców do wypełnienia zobowiązań i do zwrócenia rzeczy wydzierżawionej. (Patent z 31 grudnia 1800 — Dekret kamery nadwornej z 14 kwietnia 1819 do L. 13345. — Dekrety gubernialne z 21 maja 1821 L. 21336 i z 20 maja 1826 L. 29746. — Dekret kamery nadwornej z 19 listop. 1847 L. 19749 i t. d.)

[2]) Dekret ten ogłoszonym został cyrkularzem gubernialnym z 18 grudnia 1812 do L. 44559. — Lecz i przed ogłoszeniem tego dekretu spory, o których mowa, także nie inaczej jak tylko w śpiesznej prowizorycznej drodze rozstrzygane bywały, a wspomniony dekret tę tylko zmianę wprowadził, że ustanawianie prowizoryów, które przedtem także władzom administracyjnym przysłużało, sądom wyłącznie zastrzegł.

statnich latach, na podstawie najwyższego Cesarskiego rozporządzenia z 27 paźdz. 1849.

Dopiero w r. 1855 najwyższy trybunał sprawiedliwości z innem wystąpił zdaniem, i w jednym wypadku, wyroki dwóch niższych sądów, na podstawie prowizorycznego postępowania wydane — mocą których dzierżawca do oddania rzeczy wydzierżawionej, po upływie czasu dzierżawy, zmuszonym został — na rekurs dzierżawcy skasował, dzierżawcę do dzierżawy przywrócić nakazał, i orzekł, że zastósowanie prowizorycznego postępowania do takich sporów jest nieprawnem, i że właściciel praw swoich jedynie tylko w drodze *zwyczajnego* procesu dochodzić może.

Z wiedeńskiej powszechnej gazety sądowéj [3]) dowiedzieliśmy się, że wysokie ministerstwo sprawiedliwości dekretem z 17 marca 1856 do L. 2126, w odpowiedzi na raport c. k. sądu wyższego lwowskiego, zdanie swoje w ten sposób objawiło: „że przepisy cesarskiego „rozporządzenia z 27 paźdz. 1849 [4]) do sporów o zwró„cenie rzeczy wydzierżawionej, zastósowane być nie „mogą“.

Dla prawnej obrony zdania, jakoby spory, o których mowa, w drodze postępowania prowizorycznego załatwiane być nie mogły, przytaczają zwolennicy tego zdania następujące rozumowanie [5]): Mówią oni, że dawniejsza praktyka sądowa w Galicyi, przypuszczająca postępowanie prowizoryczne w rzeczonych sporach, opierała się na dekretach nadwornych z 5 grudnia 1812 i z 24 marca 1825, któreto dekrety dopuszczały zastósowanie postępowania prowizorycznego *także* i na spory w wypadkach *zatrzymanego* (vorenthaltenen) posiadania

[3]) Allgemeine österreichische Gerichtszeitung vom 6. Nov. 1856.

[4]) Przepisy te dotyczą summarycznego prowizorycznego postępowania w sporach o naruszenie posiadania. Reichsgesetzblatt Seite 14.

[5]) Allgem. öster. Gerichtszeitung vom 15 Nov. 1856 Nr. 138.

i nawet o *dzierżawcach* wspominały; — gdy jednak te dekrety cesarskiem rozporządzeniem z 27 paźdz. 1849 zniesione zostały, a to rozporządzenie (stanowiąc nowe przepisy postępowania prowizorycznego w sporach o posiadanie) jedynie tylko o sporach w wypadkach naruszonego i zagrożonego posiadania wspomina, zaś spory o bezprawne *zatrzymanie* posiadania pomija,—przeto postępowanie prowizoryczne, po ogłoszeniu wspomnionego cesarskiego rozporządzenia, do sporów w wypadkach *zatrzymanego* posiadania, zatem też i do sporów o zwrócenie rzeczy wydzierżawionéj, przez dzierżawcę bezprawnie *zatrzymanej,* zastósowanem być *nie może.*

Lecz tu właśnie bardzo ważne zachodzi pytanie, czy wspomnione dekrety nadworne z r. 1812 i 1825 cesarskiém rozporządzeniem z r. 1849 istotnie zniesione zostały? —

Według §. 9 powszechnej ustawy cywilnej „trwają „ustawy w swéj mocy póty, póki ich prawodawca nie „*odmieni* lub *wyraźnie* nieuchyli“. — Wspomnionych dekretów prawodawca wyraźnie *nie* uchylił; odmienione zaś są one, cesarskiem rozporządzeniem z r. 1849, jedynie *tylko* względnie tych przedmiotów, o których to rozporządzenie, nowe, *odmienne* przepisy zawiera. Gdy jednak wspomnione cesarskie rozporządzenie jedynie *tylko* sporów o zagrożone i naruszone posiadanie dotyka, a o sporach w wypadkach zatrzymanego posiadania *nic* nie stanowi, zatem dekrety nadworne z r. 1812 i 1825 — o ile one do sporów w wypadkach *zatrzymanego* posiadania i do stosunków *dzierżawnych* się ściągają — nie są odmienione i *dotąd* mają moc obowiązującą, — przeto też wszelkie spory o *zatrzymanie* posiadania, w ogólności, a w szczególności te, które wypływają z stosunków *dzierżawnych*, w moc rzeczonych dekretów, w drodze postępowania prowizorycznego załatwione być powinny.

Instytucya postępowania prowizorycznego (*possessorium summarissimum*) jest prawdziwem dobrodziejstwem, a w wielu krajach koronnych, którym na téj instytucyi zbywało, wprowadzono ją dopiéro cesarskiém rozporządzeniem z 27 Paździer. 1849. Dla tego téż mniemamy, że przy wydaniu tego rozporządzenia, nie mogło być zamiarem prawodawcy, tę zbawienną (i właśnie wspomnioném rozporządzeniem znakomicie ulepszoną) instytucyę ścieśniać tam, gdzie ona już istniała i od niepamiętnych czasów z najlepszym skutkiem wykonanywaną była—i téj instytucyi odejmować w Galicyi najgłówniejszy jéj przedmiot, to jest: spory o zwrócenie rzeczy wydzierżawionéj.

Praktyka sądowa (zastosowująca postępowanie prowizoryczne do sporów, o których mowa) od niepamiętnych czasów w Galicyi wykonywana, spoiła się tak ściśle z pojęciami o stósunku dzierżawnym, że dziś nikt takiego stósunku dzierżawnego nie pojmuje, w którymby dzierżawca, po utracie prawa dzierżawnego, nie mógł być z dzierżawy, w drodze *łatwego* i *spiesznego* postępowania sądowego oddalonym. — Poddanie się postępowaniu prowizorycznemu wymawiano we wszystkich kontraktach dzierżawnych jako warunek *sine qua non,* a wielu jest takich właścicieli, którzyby bez tęgo warunku kontraktu dzierżawnego nie byli zawarli. — Byłożby to słusznem, aby ten warunek, przez obie strony dobrowolnie przyjęty i dotąd w sądach zawsze jako prawny uznawany, miał swoją ważność, nawet względnie kontraktów dawniéj zawartych, utracić?

Uchylenie dotychczasowéj praktyki sądowéj musi sprowadzić zamieszanie w pojęciach o stósunku dzierżawnym. Przy zawieraniu kontraktów właściciele nie będą wiedzieli jak mają swoje prawa zabezpieczać. — Przy wydarzonych sporach, strony długo jeszcze odwoływać się będą do postępowania prowizorycznego i nie prędko po-

trafią przyswoić sobie inne, przewleklejsze i trudniejsze środki prawne. — U wielu dzierżawców powstaną wyobrażenia, że są uwolnieni od zobowiązań swoich, bo do ich wypełnienia nie łatwo mogą być zmuszeni.

Gdyby postępowanie prowizoryczne do sporów, o których mowa, nie mogło być zastósowaném, to dla tych sporów pozostałaby tylko droga *zwyczajnego* procesu (ordentlicher Rechtsweg), którąto drogę najwyższy trybunał sprawiedliwości, od r. 1855, w dekretach swoich, stronom, spór wiodącym, wskazuje. — W zwyczajnym procesie muszą strony, form prawnych nieświadome, udawać się do adwokatów, których najczęściéj w odległych miastach szukać trzeba. W tym procesie przychodzą akcye, excepcye, repliki, dupliki, dylacye, spory uboczne, rekursa przeciw dekretom w ciągu sporu wydawanym, restytucye, i inne liczne formy prawne, w których każda strona łatwo znaleść może środki do przewlekania procesu. Wykonanie wyroku sądu niższego, w zwyczajnym procesie, zostaje wstrzymaném, jeżeli jedna strona do sądu wyższego się odwołuje. — Wiemy z doświadczenia że lata mijają, zanim wyrok w zwyczajnym procesie, wydanym i wykonanym zostanie.

Takiemu to procesowi podlegać mają spory o zwrócenie rzeczy wydzierżawionéj, w których kilkodniowa zwłoka przynieść może szkody wielkie i niepowetowane. Ten to proces ma zająć miejsce dotychczasowego spiesznego postępowania prowizorycznego, w którém strona bez pomocy adwokatów, krótką skargę, pisemnie lub ustnie, do sądu wnosi, a resztę sędziemu, z urzędu działającemu, pozostawia, — w którém także, wyrok niższego sądu może być natychmiast wykonanym.

Cóż się dziać będzie w czasie długiego procesu?

W niepewności o skutkach procesu, posiadacz rzeczy wydzierżawionéj nie będzie mógł w niéj dobrze gospodarować; będzie on się ociągał z wydatkami, będzie za-

niedbywał roboty polowe i zmniejszy pożytek z rzeczy wydzierżawionéj. — Już wyżéj wspomnieliśmy o szkodach, jakie nierzetelny dzierżawca w rzeczy wydzierżawionéj wyrządzić może. Niebezpieczeństwo téj szkody większem jeszcze się staje w czasie procesu, bo wtedy dzierżawca jedynie tylko o to starać się będzie, aby sobie jak największe przywłaszczył korzyści, a czasem nawet dopuści się umyślnego uszkodzenia rzeczy zadzierżawionéj, która w jego ręku się znajduje. — Deteryoracya téj rzeczy będzie nieodzownym skutkiem długo trwającego procesu.

Doświadczenie uczy nas, że upadek kredytu, po większéj części, przypisanym być musi przewlekłości procedury sądowéj. — Czy téż obawa długiego procesu w sporach o zwrócenie rzeczy wydzierżawionéj nie utrudni stósunków dzierżawnych i nie przyniesie szkody w kulturze ziemi?

Już z saméj możebności długiego procesu, który przez każdego dzierżawcę może być wywołanym, wyniknie dla właściciela niepewność odebrania rzeczy wydzierżawionéj w umówionym terminie, a ta niepewność będzie przeszkodą do zawarcia kontraktu z innym dzierżawcą.

Obawiając się niebezpieczeństwa długiego i kosztownego procesu, będą woleli właściciele poprzestać na gorszém gospodarstwie i mniejszych dochodach, niż dobra swoje wydzierżawiać.— Właściciele kawałków roli, odległych od folwarków, będą woleli kosić lub spasać skąpą trawę, na tych rolach rosnącą, niż puszczać je w dzierżawę. — Że produkcya ziemi na tém ucierpi, nikt wątpić nie może.

Uszczuplenie dochodów, niepewność i trudność uzyskania takowych, stać się musi przyczyną zmniejszenia wartości dóbr i osłabienia kredytu hypotecznego.

Chociaż o zmianie dotychczasowej praktyki sądowéj dotąd urzędownie nic nie ogłoszono, to przecież wiado-

mość o niej rozszerzyła się w kraju naszym, a jej skutki już bardzo czuć się dają. Na wiosnę r. z. rozbiło się kilka umów o dzierżawę, gdy się właściciele dowiedzieli, że im już nie będzie przysłużać postępowanie prowizoryczne, w wypadku sporu o zwrócenie rzeczy wydzierżawionej. — Mamy także wiadomości z wielu okolic Galicyi, że niektórzy dzierżawcy (szczególnie izraeliccy dzierżawcy propinacyj i młynów) w r. 1856, o zaszłej zmianie uwiadomieni, korzystać z niej nie omieszkali, i *właśnie* dla tego, że śpieszne postępowanie sądowe przeciw nim już użytem być nie mogło, odmawiali płacenia czynszów, lub, po utracie prawa dzierżawnego, wzbraniali się ustąpić z dzierżawy, i zmuszali właścicieli do płacenia im odstępnego za oddanie rzeczy wydzierżawionej. Takich wypadków będziemy mieli coraz więcej, i ciągle wzrastać będzie liczba dzierżawców, którzy, przykładem innych uwiedzeni, nie zechcą płacić czynszów i rzecz wydzierżawioną bezprawnie zatrzymywać będą, aby z niej, jak najdłużej, mieć pożytek lub aby wymuszać na właścicielach pewne dla siebie korzyści.

Okazaliśmy dostatecznie, i nikt pewnie o tem wątpić nie zechce, że z zastósowania przewlekłego zwyczajnego procesu do sporów o zwrócenie rzeczy wydzierżawionej złe tylko skutki wyniknąć mogą, a mianowicie: Niepewność praw, — szkody niepowetowane dla właścicieli, — demozalizacya wielu dzierżawców, — zwiększenie liczby sporów, — utrudnienie stósunków dzierżawnych, — pogorszenie gospodarstwa, — umniejszenie dochodów i wartości dóbr, i osłabienie kredytu.

Oprócz zwyczajnego procesu mamy w naszéj sądowéj procedurze, tylko postępowanie prowizoryczne, które daleko jest łatwiejszem i śpieszniejszem, zatem dla sporów, o których mowa, daleko stósowniejszem, niż zwyczajny proces.

Sądzimy przeto, że koniecznie jest potrzebnem, aby praktykę sądową, od niepamiętnych czasów w kraju naszym istniejącą, nadal zachowano, to jest: aby spory o których mowa, w drodze *śpiesznego* postępowania prowizorycznego załatwiano.

II.

Słyszeliśmy, że właśnie teraz powstało pytanie, czy, i jakie potrzebne są *nowe* prawne przepisy, względem procedury w sporach o rozwiązanie kontraktu dzierżawnego i o zwrócenie rzeczy wydzierżawionej.

Co do nas, najmocniej przekonani jesteśmy, że dla Galicyi korzystniej byłoby, wspomnione spory załatwiać, według dotychczasowej sądowej praktyki, w drodze śpiesznego postępowania prowizorycznego, niżeli *nową* zaprowadzać procedurę, bo do wspomnionej praktyki sądowej strony i sądy już przywykły, a obopólne stósunki prawne puszczających w dzierżawę i dzierżawców z tą praktyką tak ściśle się spoiły, że każda w niej zmiana sprowadzić musi zamieszanie w rzeczonych stósunkach. — Z resztą, wątpić o tem trudno, że postępowanie prowizoryczne, (które już przez pół wieku okazało się dobrem i skutecznem) rozporządzeniem cesarskiem z 27 paźdz. 1849 znakomicie ulepszone, *w przyszłości* jeszcze skuteczniejszem się okaże.

Na wypadek jednak, gdyby *nowa* ustawa, z powodów nam nieznanych, potrzebną się zdawała, niech nam wolno będzie, przytoczyć uwagi, oparte na potrzebach kultury ziemi i na stósunkach dzierżawnych, krajowi naszemu właściwych, które przy ułożeniu tej nowej ustawy, uwzględnienie znaleśćby powinny.

1. W tem, cośmy już powiedzieli, dostateczne znajdują się dowody, że nowa ustawa wprowadzić powinna

procedurę jak *najprościejszą* i *najprędszą*, podobną do procedury, przepisanej rozporządzeniem cesarskiem z 27 paźdz. 1849, której praktyczność i skuteczność powszechnie jest uznaną.

2. W szczególności potrzeba, aby, w tej procedurze, dano sędziemu władzę zaprowadzenia, *w ciągu sporu*, tymczasowych urządzeń, potrzebnych do odwrócenia grożącej szkody, — w sposób, w §§. 9 i 10 wspomnionego ces. rozporządzenia przepisany [6]).

3. Zwyczajem jest w Galicyi, że dzierżawcy dóbr wiejskich zadzierżawione dobra lub ich części (n. p. propinacye, młyny, gorzelnie, pojedyncze kawałki gruntów &c. &c.) bez wiedzy właścicieli innym (poddzierżawcom) wypuszczają. — Właściciel rozpoczynając proces o zwrócenie rzeczy wydzierżawionej, nie może, w pozwie swoim, wymieniać poddzierżawców, bo o nich nie wie. — Potrzebnem przeto okazuje się prawne postanowienie, aby wyrok sądowy nakazujący zwrócenie rzeczy wydzierżawionej, przeciw głównemu dzierżawcy wydany, *także* i przeciw poddzierżawcom był prawomocnym i przeciw nim mógł być wykonanym, — inaczej bowiem główny dzierżawca mógłby zawsze jakich rzeczywistych lub zmyślonych, poddzierżawców postawić, i tym sposobem, wstrzymać wykonanie, wydanego przeciw sobie, wyroku póty, pókiby właściciel nie przewiódł nowych procesów przeciw poddzierżawcom.

---

[6]) Mieliśmy wypadki, że dzierżawca, zamierzając porzucić dzierżawę, nie tylko sam pola nie uprawiał i nie obsiewał, ale nawet właścicielowi te roboty uskutecznić nie dozwalał. Takie i tym podobne wypadki wydarzyć się mogą *w czasie* sporu o zwrócenie rzeczy wydzierżawionej, a sędzia grożącej szkodzie inaczej zapobiedz nie może, jak tylko bezzwłocznem zaprowadzeniem tymczasowych urządzeń przedmiotu sporu dotyczących, n. p. oddaleniem dzierżawcy, mianowaniem sekwestru dla zarządu rzeczy wydzierżawionej i t. p.

4. Bardzo często puszczane bywają w dzierżawę rzeczy *ruchome*, do gospodarstwa wiejskiego należące (n.p. krowy do dojenia &c. &c.). Szybka procedura sądowa w sporach o zwrócenie takich rzeczy, jest tém potrzebniejszą, im rzeczy ruchome więcej niż nieruchome na niebezpieczeństwo uszkodzenia lub zupełnego zniszczenia są wystawione.

5. Ponieważ stronom wiele na tem zależy, aby miały pewność, że zwrócenie i odebranie rzeczy wydzierżawionej, po upływie czasu dzierżawy, w oznaczonym terminie nastąpi, zatem byłoby do życzenia, aby każda strona mogła sądowe kroki, *przed* upływem czasu dzierżawy, rozpocząć, i spór, któryby o terminie zwrócenia rzeczy wydzierżawionej powstał, przed tymże terminem zakończyć, tak, aby wyrok, natychmiast po upływie czasu dzierżawy, mógł być wykonany.

6. Stosunki dzierżawne naszego kraju wymagają, aby *śpieszna* procedura w sporach o uchylenie kontraktu dzierżawnego i o zwrócenie rzeczy wydzierżawionej, mogła być użytą nie tylko w wypadku rozwiązania kontraktu z przyczyny upływu peryodu dzierżawy [7]), ale *także we wszystkich innych* (w kontrakcie ustanowionych) wypadkach rozwiązania stósunku dzierżawnego [8]).

---

[7]) Peryod dzierżawy to jest: przeciąg czasu, na który kontrakt dzierżawny zawarty lub przedłużony został.

[8]) Ustawy, dla prowincyj Lombardyi, Wenecyi, i Dalmacyi wydane — przepisujące wyjątkową i śpieszną procedurę dla wypowiadania kontraktów dzierżawnych i dla załatwienia sporów o zwrócenie rzeczy wydzierżawionych — ograniczają zastósowanie tej procedury na jedyny wypadek rozwiązania kontraktu dzierżawnego z przyczyny upływu peryodu dzierżawy. (Patent z 17 czerwca 1837 §. 25 i Patent z 31 paźdz. 1843). — Nie możemy sądzić, czy i o ile takie ograniczenie odpowiada stósunkom dzierżawnym, w rzeczonych prowincyach istniejącym, bo nam te stósunki mało są znane. W Galicyi byłoby to ograniczenie szkodliwem.

U nas bowiem puszczane bywają w dzierżawę wielkie folwarki, a najczęściéj dobra, z kilku folwarków złożone, z propinacyami, młynami, stawami, gorzelniami, często nawet z lasami, — na lat 6 do 12, i to w taki sposób, że dzierżawca swojem bydłem i swojemi narzędziami gospodaruje, własne ma sługi, własnych officyalistów i poddzierżawców, a w zagospodarowaniu i używaniu rzeczy zadzierżawionéj *żadnéj kontroli* ze strony właściciela nie podlega i związanym jest jedynie tylko warunkami, w kontrakcie umówionemi, które ani w kaucyi ani w innym ruchomym majątku dzierżawcy zabezpieczenia nie znajdują. Często także przyjmują właściciele, naprzeciw dzierżawcom swoim, takie zobowiązania, które bardzo są ważne dla trybu gospodarstwa dzierżawcy, np. dostarczanie ściółki z lasów, opału do gorzelń itp.—Przy takich stosunkach dzierżawnych muszą obie strony wymawiać sobie rozwiązanie kontraktu, na czas dłuższy zawartego, w wypadkach niedopełnienia głównych jego warunków. W szczególności zaś dla puszczającego w dzierżawę bardzo ważném jest, aby mógł dzierżawcę, który czynszu nie płaci lub rzecz wydzierżawioną uszkadza i niszczy, w wypadku, w kontrakcie umówionym, nawet przed upływem peryodu dzierżawy, w drodze *spiesznéj* procedury sądowéj, z dzierżawy oddalić. Że ten tylko środek jedynie jest skutecznym, aby prawa właściciela przeciw nierzetelnemu dzierżawcy zabezpieczyć, już wyżéj dowiedliśmy. Możność użycia tego, już sama przez siebie, w wielu razach, dostateczną będzie, aby dzierżawcę nakłonić do wypełnienia warunków kontraktu [9]).

---

[9]) **Nie można się obawiać, aby właściciele nadużywali tego środka ku szkodzie rzetelnych dzierżawców, bo użycie tego środka właścicielom żadnéj korzyści lecz najczęściéj znaczną szkodę przynosi, albowiem oddalenie dzierżawcy, który w Galicyi własnym inwentarzem gospodaruje, sprowadza zamieszanie w gospodarstwie, a**

Zważyć także należy, że ustawa, którąby właściciela, na cały peryod dzierżawny, pozbawiła jedynego skutecznego środka zabezpieczenia praw jego, i możność użycia tego środka ograniczała na jedyny wypadek upływu peryodu dzierżawnego,—że taka ustawa musiałaby doprowadzić właścicieli do tego, iżby kontrakty dzierżawne zawierali na czas *krótki*, może tylko na rok jeden, i potem je, według upodobania od roku do roku przedłużali, — a wtedy, nawet taki dzierżawca, który zobowiązania swoje rzetelnie dotrzymuje, nie miałby pewności zatrzymania dzierżawy przez lat kilka, co nie tylko dla dzierżawców ale i dla kultury ziemi, byłoby szkodliwém, bo dzierżawca, przy krótko trwającéj dzierżawie, nie mógłby ani dostatecznéj ilości bydła do dzierżawy wprowadzać ani takie łożyć koszta, które dopiero po upływie jednego roku lub lat kilku pożytek przynoszą.

Zważyć nakoniec potrzeba, że spory o zwrócenie rzeczy wydzierżawionej, we *wszystkich* wypadkach rozwiązania kontraktu dzierżawnego, załatwiane były w Galicyi, od niepamiętnych czasów, w drodze *spiesznéj* procedury prowizorycznéj,—i że ten zwyczaj odpowiada potrzebom kultury ziemi i stosunkom dzierżawnym, krajowi naszemu właściwym. Trudno zaprzeczyć, że korzystniéj jest, nowe prawne przepisy do takiego zwyczaju zastósować, niż uchylać go i obalać pojęcia, z tym zwyczajem spojone i przez długoletnią praktykę mocno wkorzenione.

---

właściciel, po oddaleniu dzierżawcy, nie jest w stanie nazbierać bydła, narzędzi i zboża w dostatecznéj ilości i tak rychło, aby mógł gospodarstwo, porządnie i bez przerwy, daléj prowadzić.

Wieloletnie doświadczenie uczy nas, że właściciele bardzo rzadko, i tylko w razach nagłéj potrzeby, chwytali się środka oddalenia dzierżawcy w drodze postępowania prowizorycznego, a od rozpoczętych nawet kroków sądowych odstępywali, skoro tylko dzierżawca, chociaż po terminie, obowiązki swoje dopełnił lub dostateczną dał gwarancyą, że je dopełni.

7. Wszystko, cośmy w tem piśmie o dzierżawach powiedzieli, stosuje się także i do takich kontraktów *spółki*, w których rzecz wypuszcza się w używanie pod warunkiem oddawania właścicielowi pewnéj części użytku (§ 1103 powsz. ust. cyw.). Takie kontrakty powinnyby — pod względem procedury w sporach o ich rozwiązanie i o zwrócenie wypuszczonéj w używanie rzeczy—podlegać tym samym przepisom, którym podlegają kontrakty dzierżawne.

KORNEL KRZECZUNOWICZ.

DREZNO

(zbiory sztuk i archeologii w tem mieście).

Jedziesz do Drezna to niby odwiedzić możnego pana co ci krewny po matce, obejrzeć skarby jego, a przypomnieć sobie dom rodzicielski; bo tu nie jedno zobaczysz co zdobiło komnaty ojcowe. Z tą też przychylnością wjeżdżałem do stolicy co za naszych urosła Sasów; ale jakieś zimno owiało mię z owych murów co je chłód protestantyzmu wyziębił. Spojrzawszy na miasto, ujrzysz wspaniałe kopuły, pełne ozdób budynki, zalecone sztuką statuy i posągi; przecież wszystko to nie zawiedzie twej myśli daléj, jak do czasów, gdy chłodne głowy na wzór loczków, peruk, któremi się stroiły i boże przybierały świątynie.

Nie przeczę, prześliczny jest *Zwinger*, ale tak jak z berlińskiego *Sans Souci* wieje zéń duch wolterowskich czasów. Wspaniały jest *kościół katolicki*, ale mimo jego wielkości, mimo wybornych dzieł architektury, rzeźby i malarstwa, takich jak: *Chiaveri, Matiolli, Rafael Mengs, Bernini, Torelli* i *Palko;* przecież nie czuć tutaj trady-

cyj kościoła — w formie nawet i wewnętrznèm urządzeniu niema nic z téj symboliki, co to mówi do ciebie przeszłością gdzieś w podziemiach katakumb poczętą. Niby to świątynia katolicka, a jakoś do twarzy jej, że dopiero w 1806 roku dzwony na wieżę zaciągnęli. I owa wyborna muzyka, na którą co niedziela zbierają się pobożni (których do przyzwoitości Szwajcar zniewala), nie działa tutaj nawet tak uroczyście jak proste organy w której z katedr nadreńskich.

I nie dziw — bo dwór jak oaza na pustyni, siadł na łonie protestanckiego narodu, a więc niema tradycyi, wątku prawdziwego dla dłuta i pęzla kierunku. *Teatr* z wyborną operą jest na swojem miejscu; a co już kościoły to gdzieś w teatralnych budynkach motiwów dla siebie szukały. Toć kościoły: *N. M. Panny (Frauenkirche)* o ciosowéj wspaniałéj kopule, *neustadzki* co na ciężkich słupach wysokie nosi sklepienie, *św. Krzyża* wyglądający na grecką budowlę: wszystkie te świątynie podobne do teatrów wzniesionych ręką jakiegoś protestanta, coby się wychował w dawnej Grecyi, kształcił w Rzymie, podróżował po Francyi, a po stuleciach snu ewangielickich słuchał prelekcyj.

Ośmiel się tylko zimno mówić o tutejszych budowlach drugiej połowy przeszłego stulecia, zaraz cię skarcą surowo mówiąc i pisząc że: kościół katolicki kosztuje dwa miliony talarów, marmurowe w nim ozdoby 23.370 talarów, organy 12.000 tal. etc.; ze wszystkich kościołów summy te dokładnie nawet w *Führerach* są zamieszczone. Żeby zaś tém cenniejszém było oglądanie owych arcydzieł, dodana w przewodnikach taryfa celna, wiele od zwiedzenia której świątyni płacić wypada; np. za obejrzenie kościoła N. M. Panny płaci się 20 Srgr. kościelnemu którego mieszkanie wskazują przewodniki przy ulicy Rampische Gasse Nr. 26. — Wszędzieć to w Niemczech zwiedzanie opłacać się zwykło, ale Drezno celuje

w systematycznem ściąganiu tych niby dobrowolnych podatków.

Mimo tedy galeryi obrazów i tylu arcydzieł zgromadzonych w Dreznie, mimo rozkosznych brzegów Elby, pięknych pałaców i miłych ogrodów; mówiąc szczerze ziąbiło mię owo luterstwo i jakoś smutno mi było w stolicy arystokracyi naszej.

— Wiesz czemuś nie swój? rzekł mi znudzonemu jeden z dawnych kolegów mieszkający w Dreźnie — oto niema tu nic świętego, tu rozum panuje i sam siebie czci w utworach swoich. Tu cudów nie było, ani w nie wierzą, a więc i święci nie położyli się pod sklepieniami tych kościołów; historya nawet nie zapisała się na grobowcach i niema pomników w pustych świątyniach.

Tak tedy rozmawiając o owym uroku jaki obraz cudowny, święte zwłoki i pamięć wielkiej przeszłości rozlewają na miejsca niemi uświetnione; zaszliśmy na *Friedrichs-Strasse* gdzie *cmętarz katolicki.* Choć rzewnie a łzawo, przecież milej tutaj, bośmy między swemi. Cmętarz ten to jedna z ostatnich kartek dziejów naszych; co jeszcze nie dawno na ojczystem świeciło pou, to tu pogasło.....

Jakaż dziwna mozajka tych mogił i grobowców! — jakiegokolwiek jesteś narodu to tutaj masz się czemu pokłonić — toć stoją obok siebie pomniki Anglików, Niemców, Francuzów, Rosyan i nasze. Niby na uzupełnienie tego grobowiska arystokracyi, poeci i artyści przyszli leżeć obok chełmów i tarcz herbowych zdobiących pomniki. A więc cyprysy z mogiły na mogiłę porozpinały gałęzie, niby jedne drugim pamięć i cześć przekazując dla tych, co pod ich ramionami w ciszy tu leżą.

Obok grobowców: Dezyderyi Komorowskiej, Waleryi Bielińskiej i Jakóba Alexandra Lubomirskiego, stanęły

na jednej podstawie dwa prostego rysunku kamienne pomniki [1]: na jednym chełm, miecz brązowy i napis ku pamięci Stanisława Skarbka Wojczyńskiego jenerała dywizyi † 1837 r., na drugim harfa i świeży wieniec z dębowego liścia. To grób Kazimierza Brodzińskiego — jedna z tych mogił co to jak drogoskazy dla pielgrzymów, wytknęły szlaki po szerokim świecie...

Dalej Szwajcarowi z Soloturn Karolowi Falkensteinowi przyszło tutaj w r. 1855 położyć głowę, by znów grobowiec jego inne nawodził wspomnienia...

Słowem, cmętarz ten wytłumaczy ci dlaczego taki urok ma dla nas luterskie Drezno; na nim wyczytasz jakby z wzorów kanwy tło życia miasta cudzoziemców, co się stolicą saską nazwało. Owe smętne cyprysy mówią ci o tém co nasze, a te znów kominy fabryczne zamykające tylny mur cmętarza, to niby symbol tego o czém marzy ów świat co cmętarz otoczył. I zostałbyś tutaj, bo słońce zachodzi; cisza, a dzwonek Anioł Pański głosi — a więc wieczne odpocznienie tym co na obcej legli ziemi, jakby za karę namiętnej dla kraju miłości.

Jest jedna droga którą i protestanci trafiają w to co tchnie tem życiem jakie kościół rozlewa na wszystko, gdzie rękę swą przyłoży; droga to sztuczna, bo wysnuta z badań, nauki, odtwarzania i naśladowania przeszłości. Przecież miłe wrażenie robi *nowa świątynia katolicka na Neustadt.* Śliczny to mały kościołek wzniesiony w stylu przechodnim z romańskiego w gotycki — owa apsis, belkowany strop, naśladowane mozajki al-fresca i piękny portal, wyglądają jak w dawnych kościołach z pierwotnych czasów Chrześciańtstwa. Utwór

---

[1]) Rysunek patrz *Przyj. Ludu* r. 8 nr. 5. W temże piśmie o Dreźnie: r. 4 str. 65, r. 7 str. 334, i w roku 6 bałamutny artykuł pod napisem *Saxonia.*

to lat ostatnich, a jak berliński św. Piotra i nowy kościół na Werderskim rynku (wedle planu Schinkla), świadczą że protestanci zaczynają po długiem błąkaniu trafiać znów na drogi, po których tylko i jedynie doścignąć można wyżyn na których Chrześcianizm sztuki postawił.

Nie dziś, nie jutro zrozumieją oni to, do czego przecie pomału na drodze instynktu i nauki dochodzą: toć długo, długo ze wszech stron przypatrywali się Sasi *Rafaelowskiej Madonnie*, zanim doszli tajemnicy, trafili w myśl obrazu, stawiając dlań ołtarz. I rzeczywiście jeśli *Holbeinowska Madonna* stać może w Galeryi jako obraz, to Rafaelowska tylko w ołtarzu ma znaczenie swoje. Pierwsza, to jeszcze Bogarodzica na ziemi — boskość świeci na jej czole, ale macierzeństwem do ludzi się zniżyła. Otoczyła ją kołem liczna rodzina poczciwego burmistrza Meyera, uklękli z pokorą, ale wyraz boskiej miłości jaśniejący na twarzy N. M. Panny, igranie dzieciątka Jezus ośmieliły pobożnych mieszczan; podnieśli tedy głowy ku świętemu obliczu i skarżą się na nędze swoje, a Boża Matka radzi pocieszonej cudem rodzinie. To Bogarodzica na ziemi między ludźmi, kiedy Rafaelowska w Niebie, nie ciało ale istna abstrakcya boskości i miłości nadziemskiej. Holbein mógł stworzyć swoje arcydzieło modlitwą i sztuką. Rafael zda się niepotrzebował pęzla i farby, ale mistrzostwem swojem niby cudownym panotypem samo natchnienie z Nieba przeniósł na płótno.

Oba te obrazy odosobniono w galeryi od reszty, otaczając je powagą i uszanowaniem. Opatrzność sprowadziła tutaj dwie Madonny, jakby chciała protestantów potęgą sztuki tam pociągnąć, gdzie my wiarą i czcią dla częstochowskiego obrazka wznieść się możemy.

Tu cześć odbiera Bogarodzica w utworach: *Rafaela, Holbeina, A. Veneziana, Giulia Romana, Bognacavalla,*

Corregia, Mazzuolego, Marratta, A. Caraccego, J. van Eycka i *Murilla.*

Mówię cześć, boć trudno podziwiać te arcytwory bez uznania świętości Bogarodzicy, kiedy całe ocenienie ich wartości mierzy się tylko potęgą bóstwa wlanego w twarz i postać niepokalanej Dziewicy. Więc czczą protestanci Madonnę w obrazie Rafaela, jak skoro nawet zdejmują tu czapki a nie stają przed Nią z pęzlem i paletą by naśladować mistrza; czują że modlitwa, miłość, łza i natchnienie, skopijować się nie dadzą, a boskość tylko temi siłami sciągniesz na ziemię, by jaśniała w dziele człowieka.

Żadna z Rafaelowskich Madon niema tak wybitnej cechy natchnienia jak ta dziś drezdeńska a prócz Niej jeszcze 10 przypisują jemu, jak: *la giardiniera,* zwana z *rybą, rodziny Alba, della Sedia, z Foligno, w mincheńskiej pinakotece,* owa *ze szczygłem* w berlińskiem muzeum, *del passegio* oraz z *domu Aldobrandinich* w Londynie, i *col divino amore* w Neapolu.

Oglądając kilka znaczniejszych galeryj, przyszła nam myśl notować które typy N. M. Panny i świętych przyjęły się i upowszechniły w kraju naszym. Ciekawa by to rzecz była zebrać wiadomości o tem co i dla czego stało się u nas z rzeczy sztuki ulubioném, a od obcych wzięte, prawo obywatelstwa zyskało.

Z obrazów w drezdeńskiej galeryi będących najpowszechniej u nas się powtarzają wizerunki N. M. Panny : *Carlo Dolce* (ręce na piersiach), *Sasso Feratto* (z dzieciną Jezus), *Lutti, Murillo* i *Jean de las Roelas,* (w niebowzięcie).

Chociaż tutaj w Drezdeńskiej galeryi spotykasz się z tylu imionami naczelnemi co znakomitszych szkół malarskich, a w Berlinie bez porównania mniej obaczysz świetnych utworów, przecież kto się chce obejrzeć w przebiegu całego rozwoju sztuki, więcej się w galeryi ber-

lińskiej nauczy, bo ją prawdziwie umiejętnie i systematycznie urządzono. Także taki np. katalog jak berliński Dra M. Schaslera lepiej ułatwia obejrzenie od owych drezdeńskich choć uczenie wypracowanych przez J. Hübnera i C. Ernsta. Celem zaś głównym wielkiej galeryi jest jak sądzę, właśnie przejrzenie świata sztuki a łatwe znalezienie się wśród labiryntu tych niby gwiazdek drobnych, co świecą na owém polu, gdzie gieniusze drogi wytykają. W takich zbiorach nie chodzi o badanie szczegółów; każdy bowiem wie, że mu po utwory starokolońskiej szkoły nad Ren, po Dürerów i Wolgemutów do Norymbergi, za pomnikami sztuki bizantyńskiej do Moskwy, Kijowa, Konstantynopola etc. etc. jeździć przyjdzie. A więc po obejrzeniu tych 15—20tu arcydzieł w galeryi drezdeńskiej, chciałbyś ładu, systematu, a tego właśnie Drezno Berlinowi pozazdrościć musi.

Grüne Gewölbe ów arcybogaty sklep jubilerski, i tylu oryginałami słynny *zbiór Antików* daleko lepsze mają katalogi; pierwsze Landsberga, drugie Dra H. Hettnera.

Katalogi systematyczne to rzecz nie błacha, bo one są jakby examenem jak rozumieją i pojmują naukę ci, co zbiory dla niej tworzą. Dlaczegoż z muzeów berlińskich północne (*das Nordische*) niema żadnego katalogu, a egipskie tak dokładny posiada? — oto powiem sekret: bo w Berlinie znają się na starożytnościach Wschodu, a między wykopaliskami słowiańskiemi zamieścili owe postne paski martwiące (kateny), jako zabytki pogańskie!

Kiedy już o starożytnościach mówić nam przyszło; to pomijając zwiedzany powszechnie *zbiór porcelan* z których słyną Sasi; wstąpmy do *muzeum historycznego, biblioteki* i *zbioru ojczystych starożytności* w tak zwanym wielkim ogrodzie (Grosse Garten).

Liczne i dobre katalogi począwszy od owego jeszcze w 1834 roku napisanego uczenie przez Qvandta, obja-

śniają ciekawego o *skarbach historycznego muzeum*. Ileż tutaj między bronią, puharami i zabytkami domowemi naszych pamiątek! Toć dobrze rzeczy te obejrzawszy, więcéjby się znalazło nad ową zbroję, chełm, szablę Jana III i tarczę ze zwycięztwem Leszka Czarnego nad Jadźwingami, co zamieścił p. hr. Przeździecki we Wzorach sztuki średniowiecznéj. Muzeum to w połączeniu ze zbrojowniami wiedeńską i petersburgską, oraz ze zbiorem arcyksięcia Karola w Berlinie, obejrzane szczegółowo przez polskiego archeologa, dostarczyłoby kilkadziesiąt prześlicznych przedmiotów naszéj historyi i starożytności się tyczących.

Trudno zaprzeczyć że my i anglicy ze wszystkich narodów europejskich najliczniéj po świecie dla przyjemności jeździmy — czemuż któremu z możnych a uczonych nie przyjdzie ochota kazać porysować i opisać wszystko co polskie po muzeach i gabinetach znaczniejszych miast Europy. Taki zbiór pamiątek naszych za granicą dochowanych byłby wielce ciekawém dopełnieniem badań w kraju czynionych. Wreszcie umiejętne ocenienie tych przedmiotów przez biegłych konserwatorów i kustoszów dokonane, dla naszych archeologów wskazówką by się stało, lub też do uczonéj zachęciło polemiki.

Wprawdzie w urywkowych studyach rozpoczął już p. hr. Przeździecki spełniać to zadanie; ale smutno przyznać że jego zacne a bezinteresowne usiłowania tak zimno kraj przyjmuje. Kiedy Niemcy i Francuzi wiele już i uczenie o *Wzorach sztuki średniowiecznéj* napisali, po polsku ani jednego nie czytałem o tém dziele artykułu, coby na miano prawdziwie naukowéj, ściśle archeologiczno-artystycznéj recenzyi zasłużył. O panegiryk lub pamflet u nas bardzo łatwo; ale do istotnie umiejętnego ocenienia pracy z pola archeologii, albo niema zdolnych, albo odwagi.

Królewska biblioteka drezdeńska od XVII dopiero wieku datuje istnienie swoje. Dział rękopismów nieproporcyonalnie ubogi w porównaniu do liczby ogólnéj książek. Dzieł bowiem ma biblioteka wyżéj 300,000, między któremi historya najlepiéj reprezentowana; manuskryptów zaś tylko 2,800, gdzie do najcenniejszych policzyć wypada: greckie *rękopisma ewangelij* może z IX i X wieku, pięknie miniaturowany *Koran* pod Wiedniem wzięty, wreszcie *Sachsenspiegel* z XIII stulecia; nadto *zwój papyrusowy* z czasów Ptolomeuszów i *anatomiczne rysunki Dürera*. Do téj także kategoryi należą *rękopisy po Medyceuszach, po księciu Burgundzkim* i *Macieju Korwinie. Inkunabułów* jest wyżéj 1600; między temi *8 druków ksylograficznych, ułamek biblii Gutenbergowskiéj* (42 wiersze) łacińskiéj na pergamenie—daléj takiż *psałterz Fausta* i *Szefera* z r. 1457—w ogóle 70 tomów druków na pergamenie, gdzie *Breviarium romanum* weneckie z r. 1478 i *Boccacio* z drzeworytami są najciekawsze. Z klassyków jest *pierwsze podobno wydanie Homera* z r. 1488. Trudno wreszcie przepomnieć *Nowy testament* z XI stulecia z *Börnerskim kodexem* listów ś. Pawła z IX wieku. W ogóle pomijając meksykańskie i wschodnie rękopisy w próbkach tylko propter raritatem tu będące, za najpiękniejsze miniatury manuskryptowe uważamy *obrazki książąt saskich* i *margrabiów Miśnii*. Przecież miniatury te stoją co do wartości nieco niżéj jak nasze krakowskie kapitulne i akademickie, a daleko im od owych przepięknych pragskich w bibliotece czeskiego muzeum dochowanych. Niema i tu wprawdzie pomników téj wagi jak *Codex aureus* mincheński, paryzka *książka modlitewna Karola łysego* lub rękopis *Wessobruński*; przecież z tego co nam pan Hanka był łaskaw pokazać widać dowodnie, że od XI do połowy XIVgo stulecia w Czechach na bardzo wysokim stopniu stało malowanie miniaturowe rękopiśmienne; dość przytoczyć

takie *mater verborum* r. 1102 przez Mirosława malowane, *biblia pictorata* Sobiesława z r. 1060, biblia *Jaromirza* malowana przez Bohusza 1258 r:, *Passionale ksieni Kunegundy* z r. 1312, *Kodeksy z czasów Karola IV*, między innemi *księgi modlitewne arcybiskupa Ernsta* z r. 1350, *liber viaticus biskupa Jana z Lucemierza*, *missale biskupa Jana z Ołomuńca*, *Stitnego księgi prawdy z r. 1376* itd. Cóż dopiéro gdybyśmy wyliczyli rękopisma skarbca pragskiej katedry, biblioteki uniwersyteckiéj i kancyonały z archiwum ratusza!—w nich to widny zaród czeskiéj szkoły malarstwa co tak zaszczytnie w XIV i XV wieku wystąpiła. Żeśmy już o tém wspomnieli, to i dodamy imię *Zbinka z Trotiny* najsłynniejszego miniaturzysty czeskiego w XIV stuleciu. Chcącym bliżéj poznać tknięty przedmiot, zalecam co do rzeczy czeskich: *Popowa o starobyle ceské malbé* i *Wocela Grundzüge der böhmischen Alterthumskunde;* osobliwości zaś biblioteki drezdeńskiéj dobrze opisał Karol Falkenstein ów co to skreślił żywot Kościuszki a umarł bibliotekarzem w stolicy saskiéj.

Prócz biblioteki królewskiéj publicznéj, ma jeszcze Drezno kilka innych jak: *książęca* (250 rękopisów, 3000 rycin), *Akademii medycznéj* (10,000 tomów), *akademii sztuk, szkoły politechnicznéj*, towarzystw: *gospodarczego, botanicznego, przemysłowo - rzemieślniczego*, wreszcie *archeologicznego.*

Muzeum starożytności ojczystych obfituje najwięcéj w rzeźby z drzewa — jest tu kamień z napisem z XI wieku (?), napisy z dzwonów w kopijach między któremi najstarsze z XV stulecia, kiedy u nas ludzimierski dzwonek już 1229 rok wskazuje;—ornaty zachowano tu z XIII i XIV wieku, a rzeźb najwięcéj z XVI stulecia. Pogańskich starożytności (naturalnie słowiańskich) o wiele mniéj jak w Pradze, choć zbiór czeskiego muzeum nie liczy więcéj nad 1000 sztuk. Jako osobliwsze przed-

mioty ze względu wartości archeologicznéj wymienić wypada: tak zwane *głodowe kobierce*, a raczéj kościelne zasłony *(cortinae)* które był Jakób Gorteler r. 1472 do kościoła ś. Jana w Cittawie *(Zittau)*, na pamiątkę głodu (*Hungertuch* ztąd zwane) zfundował. Kobierce te przedstawiają do stu obrazów biblijnych a należą do zabytków téj w nauce wagi jak owe Quedlinburskie, heiningeńskie i ebsdorfskie. Daléj co ciekawsze: *antepedium* haftem złotym i jedwabnym koronacyą N. M. Panny wyrażające, z wieku XIV, pochodzące z kościoła w Pirny — porównać je można co do wartości z tego rodzaju pomnikami w Norymberdze (apostołowie w kościele ś. Wawrzeńca), Marburgu (historya syna marnotrawnego) i w minstrze berneńskim. Wreszcie tutaj znajduje się *mensa ołtarzowa* wyobrażająca w rzeźbie kamiennéj Chrystusa Pana w grobie — zabytek to z XV stulecia z kościoła drezdeńskiego ś. Bartłomieja pochodzący, do najstarszych w tym rodzaju liczony.

Znowu przy oglądaniu tego zbioru zgorszyło nas protestanckie pojmowanie zadania archeologicznych muzeów Gdybyśmy przypuścili że nam wolno poodzierać kościoły ze starych ołtarzy, obrazów i chrzcielnic; to mniemam że na sto razy liczniejsze stałby nas było muzeum jak to drezdeńskie. Przecież i w innych protestanckich miastach niemieckich w takiéj oto średniowiecznéj Norymberdze kościoły dawniéj katolickie w posiadanie ewangelików przeszły, a zostawili w nich wszystko co do ozdoby i obrządku należało. Pokazują wprawdzie ołtarze i relikwiarze za pieniądze, ale przecież ołtarz został ołtarzem i w kościele a nie w muzeum się mieści. Tu zaś gromadzą ze wszystkich świątyń co się sztuką lub starożytnością zaleca w muzea i galerye.

Jeszcze przypuszczam że wolno zrobić podobną wystawę jak oto ta tegoroczna naczyń kościelnych w pałacu arcybiskupim w Kolonii; ale co już z ołtarzów, or-

natów i chrzcielnic fundować muzea, to mi się wcale niestósownèm wydaje. Przecież ten sposób pomnażania zbiorów coraz bardziéj się upowszechnia. Co jeszcze śmielsza, w muzeum towarzystwa starożytności w *Studgardzie* widziałem trupy z trumnami razem do ubogiego lokalu tego vereinu zwleczone. Pytam się na co archeologom potrzebne w zbiorach czaszki i piszczele? czyż nie dość opisać jak te szczęty znaleziono a umarłym wiecznego pozwolić spoczynku?—Pogańskie wykopaliska to rzecz inna — te przez spalenie ciał i samą już odległość wieków nie rażą cmentarnym widokiem; wreszcie z poganami nie łączy nas ów tkliwy związek należenia do jednéj chrześciańskiéj rodziny. W zbiorze znów starożytności w *Wisbaden* nawet grobowce hrabiów Katzenelenbogen zamieszczono. Toć i cześć przodkom się należy, a tacy Katzenelenbogenowie w XIII stuleciu walczący za ojczyznę swoją, godni by pamięć ich w świątyniach o świetnéj mówiła przeszłości, a nie aby w muzeum jak w gabinecie anatomicznym czaszkami świecili.

Kiedy już protestanccy uczeni i świętych z relikwiarzami w szafkach muzeów mieszczą, to słuszna obawa że się ich zbiory w kostnice cmentarzów zamienią. To oburzenie moje tém snadniéj pojmie każdy, kto się z ołtarzami i monstrancyami, kościelnemi sprzętami dzisiejszego jeszcze użytku i z kośćmi trupów po muzeach spotykał; a sądzę że zbyteczna rozbierać i dowodzić gdzie to jest granica, któréj w takich razach przekraczać jak myślę nie wolno.

Do ciekawszych zbiorów Drezna należy niezawodnie *muzeum* nadbibliotekarza radcy dworu *Dra Gustawa Klemma.*

Pan Klemm jeden z najznakomitszych uczonych saskich, gromadzi przedmioty archeologii i etnografii, jako pomoc i materyał do swoich olbrzymich prac w zawodzie historyi kultury powszechnéj. Potrzeba było téj

nauki jaką szanownemu zbieraczowi całe Niemcy przyznają, przyjaźni jego z nieboszczykiem królem saskim i ogromnych stosunków po całym świecie, aby takie muzeum utworzyć.

Wszystkie ludy odbierają piérwsze ukształcenie z uważania sił i sposobów, jakich natura w działaniach swoich używa; a zatém na téj drodze spotykają się u powszechnego dla wszystkich źródła — daléj pouczają się jedne od drugich, a więc cywilizacyą nieznaną, inną już zbadaną tłumaczyć można. Z téj zasady porównywaniem i zestawieniem właściwości i pomników cywilizacyi wszech narodów, przychodzi pan Klemm do systematu w zbiorze swoim i ciekawych rezultatów w dziele *Allgemeine Culturwissenschaft*, które tomami w Rombergskiéj Lipskiéj drukarni od r. 1855 wydaje. Dotąd zastanawiał się uczony badacz nad pożywieniem, napojem, ogniem i bronią; teraz przejdzie do uważania rozwoju oświaty w ubiorze, sprzętach, mieszkaniach i naczyniach.

Spostrzeżenia jego i metoda którą tu ledwo ogólnikiem wskazaliśmy, szczególnie trafnie przypada do tłumaczenia zabytków przeszłości pogańskiéj. Byłem sam świadkiem zadziwiającéj jego biegłości w wskazaniu celu i sposobu użycia niejednego z narzędzi w mogiłach dobytych. Odkrył się naprzykład jakiś w dziwny kształt ozdobiony krzemień w grobowisku słowiańskiém — pytanie do czego mógł służyć i jak był używanym? — Znajduje mi badacz między narzędziami przywiezionemi dziś od jakichś australskich wyspiarzy tak samo ukształcone kamienne narzędzie, przytwierdzone sztucznie do drzewa lub kości — opowiada co w naturze dało wzór do jego utworzenia, wskazuje jak i do czego służy; słowem przez te trafne analogije przekonanyś dowodnie, że będący przed tobą krzemień takie a nie inne miał użycie. Cóż dopiéro gdy jak mistrz pocznie ci zestawiać w swym zbiorze: ubiory, materye, wzory deseni, narzędzia wyro-

bu etc., wskazując powinowactwo narodów, naśladownictwo lub przyjście różnemi drogami do tychże samych rezultatów. Niepodobna abym tutaj teorye pana Klemma podawał, bo ciekawi z dzieł jego obznajmią się z niemi; ale wyznaję że mię zadziwił biegłością w zestawieniu, znanemi przedmiotami nieznane i zagadkowe z łatwością tłumacząc. Nasze rzeczy traktuje pan Klemm z miłością a bez uprzedzenia, ale zbiór jego w téj kategoryi nader ubogi, jeśli porównamy massę zgromadzonych w nim właściwości innych ludów z słowiańskiemi. Radby zawiązać stósunki z uczonymi polskiemi, a więc adres jego podaję: „*Dresden Königsbrücker Strasse Nr.* 27.“ — Może też wreszcie przyjdzie komu ochota bądź odwiedzić zbieracza, bądź strojem chłopskim ze swéj okolicy, nożykiem, łyżką drewnianą, najprostszém a właściwém jakiej miejscowości narzędziem rolniczém etc. powiększyć muzeum już tak bogate.

Zbiór tak zwany *Preusker'ski* (od imienia zbieracza) mieści się przy gabinecie antyków, liczy do 700 numerów, zawierając wykopaliska po największéj części z mogił słowiańskich w Saxonii i północnych Niemczech dobyte, jak: zabytki krzemienne, brązowe, żelazne, bronie, urny, naczynia gliniane domowe, ofiarne, ozdoby etc. — Opis tego ciekawego zbiorku wyszedł teraz w Lipsku (u H. Fritza). Podobnych publikacyj nie wolno nam zapoznawać; bo co Niemcy piszą o wykopaliskach swoich północnych, to wszystko są rozprawy nad rzeczami słowiańskiemi; a więc ułatwiają nam badania i uzupełniają odkrycia nasze.

Jeszcze wspomnieć mi wypada, iż istnieje w Dreznie *królewskie towarzystwo badaniu i ochranianiu zabytków sztuki i przeszłości poświęcone (Alterthumsverein)*. Towarzystwu temu przewodniczy teraz Jego królewska wysokość książe Jan z pomocą panów Drów Schulca i Engelhardta — liczy ono obecnie do 300 członków i wy-

daje pismo pod nazwą *Mittheilungen* i *Correspondenz-Blatt* które znowu pod redakcyą Dr. M. Löwe jest organem połączonego wydziału badaczy starożytności Niemiec całych.

Jego królewska wysokość książe Jan otwarł 16 Sierp. b. r. pierwsze zebranie wysłańców ze wszystkich towarzystw archeologicznych Niemiec środkowych, w celu obrady nad sposobami centralizacyi rezultatów badań na różnych punktach czynionych. Panowie Quast i Dr. Lisch byli duszą tego zjazdu odbytego w Dreznie. Podobne zgromadzenia niezmiernie wpływają na wrost nauki, bo wzajemném udzieleniem pomnażają skarby na polu badań zdobyte a starciem opinij zdrowe wyrabiają pojęcia, — słyszę że i centralna archeologiczna wiedeńska komissya zamyśla o urządzeniu takiego zjazdu w roku przyszłym.

Kończąc te moje drobne wiadomostki, ktore podczas kilkodniowego pobytu w Dreźnie znotowałem, przemilczeć nie mogę: że w Lipsku wychodzi jedno z najlepszych pism archeologicznych pod napisem: *Zeitschrift für christliche Archäologie und Kunst*, przez panów Quasta i Ottego najbieglejszych z saskich archeologów redagowane. Dziwna że nas protestanci wyręczają pisząc wybornie w przedmiocie archeologii katolickiéj. Kościelna archeologia Ottego jest dziełem doskonałém a autor pastor ewangelicki.

Józef Łepkowski.

TERMOPILE.

Poemat przez Felicyana.

DIDASKALIA

Kserkses przedsięwziąwszy podbić Grecyę (pieśń I), ciągnie na nią chmurą sił niesłychanej liczby. — Działo się to na lat 481 przed Erą prawdziwego Światła. Jeżeli podobna wierzyć Herodotowi (za nim Cantu, Hist. Unis. T. II str, 148, oraz Miller T. I. str. 76), siły te przenosiły 5,000.000 ludności, — samych Galer było do 4,000. Trzy lata przygotowywano wyprawę, gdyż dumny Pers ułożył sobie, krwawo i nieomylnie pomścić hańbę Maratonu. Pięćdziesiąt sześć ludów obcych, nie licząc samych Persów i narodów im podwładnych, wchodziło w skład owej gigantycznej ruchawki. Przewaliła się ona całą swoją mocą z Azyi do Europy sposobem prawie niepodobnym do uwierzenia. Rzucono most na Hellespancie, od strony Abydu (dzisiejsza cieśnina Dardanelska) do Sestos będącego po drugiej stronie, i w ten sposób, suchą nogą, przeciągano przez morze całe dni siedm. Dla pośpieszniejszego zaś przeprowadzenia floty, przekopano znowu w Makedonii międzymorze u przedgórza Atos. Tak to prowadził nieugięty Kserkses swój napływ narodów. Dziwić się należy sile woli tego szaleńca. Kiedy mu burza zerwała most rzucony między Azyą i Europą, kazał morze oćwiczyć rózgami, i nowy most postawić. Zkądinąd znowu pamiętano o złagodzeniu sobie trudów zbyt długiej drogi. Nie zapomniano niczego, co nie tylko do pierwszych potrzeb, ale wygód, a

nawet do zbytków, ściągać się mogło. Nie brakło ani służby, ani kobiet, ani rzezańców, — słowem. podróżowano przyjemnie — choć na wojnę. — Pomyślnym był wstęp do Europy; w Trakii nie znaleziono przeszkód, Makedonia uległa po lekkim oporze, ale potrzeba było walczyć w Tessalii — wkrótce jednak i ona poszła pod jarzmo. Wtedy mnóstwo innych drobnych narodów Greckich pośpieszyło z dobrowolném poddaniem się; niektóre nawet, dla osobistych celów, przystały do zdobywców. — Szedł nawał coraz groźniej, zguba zdawała się być nie unikniona.

W okolicznościach tak trudnych (pieśń II), udano się o poradę do wyroczni Apollona w Delfach. Ale i to pomogło nie wiele. Poradziła wyrocznia: zasłonić się od wrogów murem z drzewa zbudowanym. Im więcej głów do myślenia, tem i rada lepsza. Przywołano wygnańców, pomiędzy któremi znajdował się i Arystydes, mąż ze wszech miar prawy. Na zgromadzeniu Amfiktionów, Temistokles wpadł na wytłumaczenie wyrazów Wyroczni, radząc zbudować flotę, i bronić się na morzu. Ale cnota spartańska oburzyła się na myśl zwłoki. Osądził też Leonidas, że nad mur drewniany potężniejszą jest zaporą mur z piersi mężnych. Z lichą garstką wybranych, przedsięwziął stanąć wrzeciądzem, u jednego wejścia na ziemię Grecką, w wąwozach pod Termopilami. Kiedy szli bohatyrowie na tę śmierć niechybną, wyprawiono im obrzędy pogrzebowe, i do nich przywiązane igrzyska święte.

Dalsze szczegóły wiekopomnego owego całopalenia (pieśń III), znane są wszystkim. Tylko — co do mnie — waham się wierzyć, ażeby ziemia, która podobne serca wydałą, zrodziła też i Efialta, o którym wspominają dzieje, jakoby zdrajca wskazać miał wrogom przejście inne, na zgubę ojczyzny i jej obrońców.

PIEŚŃ PIERWSZA.

K L O T O.

Ciemna Bogini! coś długo i brzmiąco
Z zawiązków Bóstwa tkała nić żywiącą —

Ciemna Bogini! któréj w podział dano
Brzask Chwały ziemskiej i żywota rano —
Rodzico Ducha! z któréj wyszło łona
Poczęcie wieków i ludzkość natchniona —
Duchu przeszłości zamarłej Hellady!
O gdybyś wstała! — gdyby w twoje ślady
Wstał orszak blasków wraz z tobą zamierzchły,
Duchby się ocknął — duch!—a przed nim pierzchły
Cienie — pył szary — co się wieków ima,
Jak rój Pygmeów obuwia olbrzyma...
Gdyby w tę chwilę żyć choć przez sen przecię,
Och! błogo by mi! — Jabym — marzeń dziecię—
Jabym się zerwał, i wzleciał duch rączy,
Jabym wyśpiewał pieśń, co żywot sączy,
Pieśń-Duch!... co zgoła — ni jej nieprzyjazna
Dłoń nie zaszkodzi — ni śmierci nie zazna.

Nieubłaganej Konieczności córo!
Nie ma cię więcej! Jako gdzieś, ponuro
Trawi się gwiazda ogniem własnej głębi,
I coraz gęściej dym ją w mgłę okłębi —
Zapadła przeszłość w mroczne śmierci cienie,
Przeszłość-konieczność, przeszłość przeznaczenie...

To może kiedy, źrzałym wiekom w gości,
Wstaniesz ty jeszcze zagadko przeszłości?...
O! nie wstać tobie! nie wstać już na zawsze!
Dziś... jaśniej duszy — choć światła bladawsze.
Dziś... cieplej sercu — choć nie żar. Dziś, nodze
Nie cofnąć kroku — choćby cierń na drodze.
Bo duch — Myśl Boża — różnie się przemienia—
Twór-Stań się ciepła, światła i natchnienia,
Choć skona zda się, — jednak, w czas daleki,
Żyw z wieków wieków, aż po wieków wieki. —

O Myśli Boża! zstąp Ty na mnie wieszczo —
Brzmiąc przeucieszniе, jakoć skrzydła pleszczą.
Podobam sobie w śnieżnej waszej szacie,
Podobam w locie, którym wy wzlatacie
Tchy nieujęte! Jako orlik młody,
Chcę w lot — chcę w niebo — niedbam o przygody.

Zstąpże Ty na mnie o Roso rzeźwiąca!
Tchem, co tak słodko w struny ducha trąca —
Bo ledwie dotkniesz... już mnie, mimo chęci
Piać, jako ptacy skrzydłem w Niebo wzięci.
I oto w piersi dziwnie coś, i oto
Płaczę radością — jakoby tęschnotą.

O Myśli Boża! Ty promienne tchnienie!
Spraw, niech rozbłysnę, i niech się przemienię.
Bądźże mi słowem! — a ja, próżen pychy,
Pójdę za Tobą posłuszny i cichy,
Boś ty jest wszystka jako Mistrz i Głowa,
I okrom Ciebie, nie ma w duszy Słowa.

O! Myśl — Duch Boży — różnie bo się mieni...
Cicho!.. Szmer słyszę!.. niby gdzieś—w przestrzeni—
Mknie coś łańcuchem — wolno, jasno, brzmiąco—
Snuje się wątek — światła z dźwiękmi mącą,
Bezład przez chwilę — ażci słodka zgoda.
Zaczem pocznijmy — jako nam się poda.

Zerwał się Orzeł — wzbił w lot — i z nadziemu
Pojrzał ciekawie, dziwując się: czemu

Ani mu okiem zgarnąć, ni w przegony
Skrzydł rączych ująć, przestrzeń czerni onej,
Co ćmiąc wbrew słońcu przeogromnym cieniem,
Co szumiąc groźnie, — przestrasznem rojeniem
Roi się w dole. Próżno lot on sili
Wyżéj — nad wyżéj — próżno czołem, prawie
Gwiazd górnych sięga, — nie sprostał ni chwili!
Raz pierwszy pierś mu zadrzała obawie,
Skrzydła, znużenia, — zaczem trwożny, bieżał
Przypaść do gniazda. —

Od strony nieznanej,
Kędy ku morzu ląd się głazem zjeżał:
— Stój! — Co to? — Opór! —
Jako groch od ściany,
Zgęsło i pierzchło.

Dziwna ćma a chmara,
Aż strszno patrzeć! — Zda się, z krańców dali
Spędzona ludność, nim się na świat zwali,
Jedno przez drugie dławi się i para.

Jeden — a zda się sto ludów, — i zasię
Sto ludów znowu jakby jeden zda się.
Sto potęg w jedną szarańczę się zsiada,
I sto języków w jeden okrzyk — biada!
Od kończyn świata zgraja w jedno zwiana:
Med zgięty w pałąk pod jarzmem tyrana,
Niewieście Baktry kosztowne odzieżą,
Brat swego konia Arab ogorzały,
I czarne Maury co ku słońcu leżą.
Tu chciwa łupu, jako drudzy chwały,
Gdzieś z za Kaukazu zgraja czerni dzikiej,
Tam Lyd pracowny, przemyślne Feniki,

Owdzie Etiopy w skórach lwich z zdobyczy,
Lub Ind miedziany w szacie bawełniczej,
Żyjące ścierwem Skyty, ród obrzydły,
I miękki Sabej przesiękły pachnidły.

Sto ludów w jednym! Grają w blask, jak w tęczy,
Rozliczne stroje, barwy lic, — a brzęczy,
Jakoby w ulu brzęczy znakomicie!

Sto ludów zgoła! — to jak gwiazd w błękicie,
Jak piasku w morzu. Jako wśród mrowiska,
Zewsząd się roi, dławi, prze i ściska.

Morzem a lądem ciągnie ciężką zgrają
Wielkiego Kyra państwo, — wielkie srodze
Ciężko się wali!
Przodem, jego wodze,
Możne Satrapy, królewskie paroby,
Szaty na sobie złotogłowe mają.
Włos mdły w dotknięciu, trefnemi sposoby
Z ramion im w kędzior zwity, — gładkie lica,
I dłoń ich miękka, jako dłoń kobiéca.
Lśni z nich bogactwo niesłychane w cenie,
Sute łańcuchy z piersi, z rąk pierścienie,
Od uszu kolce. Z czapraków pod niemi,
Ze złotem dzianym rzędów ćmiących oczy,
Niech tylko rumak bystrszy skok wyskoczy,
Sieją się perły i kapią po ziemi.

Nie widno króla. — Za to, przodem czerni,
Czterej Satrapi, giermkowie powierni,
Stąpają dumnie pyszni z łask szczodroty.
Przez nich, na cugli wiedzion, na przezłotej,
Przebystry źrzebieć z stada Salomona,
Biały aż ćmiąco, (złote ma strzemiona,

Szkarłatny czaprak, pióropusz z kamieni,
Z wzniosłego czoła krociem słońc promieni) —
Rwie się, żar zieje, żuciem plwa zajadłem,
I kędy przeszedł, skopał jakby radłem.
Boska to rosa! — Z niego świat ucisza
Zdobywca ludów ojciec Kyr król króli,—
Lub grzmi, gdy trzeba by go Panem czuli.
Mąż przepotężny — w konania godzinie,
W grób pragnął zabrać cudów towarzysza —
By z nim był zawsze. Ztąd on wiecznie młody,
I żyw na wieki; ztąd też, aż do ninie,
Kyrowym wnukom, na świata narody,
Zeń tylko błyskać w bułat znamienity,
I z niego tylko zgniatać im kopyty.

Nie widno króla... — On w sutym namiocie,
Na białym słoniu, (rzecz boska jak z Nieba!)
Wśród fal wezgłowi miękko się koleba,
Ucztując raźnie. Skroń mu wieńczy kwiecie —
W dłoni ma puhar, — woń w koło Mocarza —
I miękka gędźba słodko go rozmarza.
Siedm Magów przy nim;—na to blask w ich głowie,
By to gadali tylko — co pan powié.
Siedm Satrap przy nim; — tyle ich żywota,
Co panu gwoli. Ćma dworzan, hołota,
Tłumem na klęczkach włóczy się — szczęśliwa
Gdy Pan kość rzuci, lub lżąco przezywa.
Na Panu bisior — szata bramowana —
Jakiej nie nosić nikomu, prócz Pana. —

Morzem a lądem ciągnie ciężką zgrają
Wielkiego Kyra państwo, — wielkie zgoła,
Ciężko się wali! —

Jak zajrzysz do koła
Tabor a obóz. W współce ze zwierzęty
Służalców roje, niemniéj dział swój mają:
Pieszy niewolnik pod ciężarem zgięty —
Muł, juczny bronią, namioty i sprzęty —
Tu z rąk rozpustnéj pachołków gawiedzi
Rącze bieguny rwą się w pęd; — w wóz wprzężon
Bawoł, syn puszczy, z brzemiony się biedzi, —
Tam kupa ciurów, istny ród niedźwiedzi,
Od wież i taran silne liny prężą,
Inni prą z tyłu. Jedno drugie mija.
Lik osłów jęczy pod razami kija,
Opornie ciągnąc, — Dromader dwugarby
Wziął na się szatnie, naczynia i skarby.
Słoń, potwór srogi, i okręt pustyni
Wielbłąd złamany, niemniéj grzbiet podały
Ów dźwignął brzemię gędziebnych naczyni,
Tamten Bajader lotnych poczet cały.
Łaźnie — przybytki rozkoszy — haremy —
Których, trzebieniec, ni mąż ni niewiasta,
Rzezan z chłopięcia, pół głupi, pół niemy,
Strzeże jak oka. — Z wrzawy śpiew urasta:
Rącze Almeje, lubieżne Gazele,
Brzmią śpiew pustyni brzęcząc w dzwonków wiele —
W pląs Babilonka wabi smukła w pasie —
Wieją zasłony mgłą sennéj przyrody —
I zewsząd kadzidł woń, i zewsząd za się
Miękko, gędziebno....jakby to na gody. —

Morzem a lądem ciągnie ciężką zgrają
Wielkiego Kyra państwo, — wielkie srodze
Ciężko się wali! —
Ze wszech stron, na drodze
Taje od czerni, jako śniegi tają.

Mnogie galery, szyki w gęste mrowie,
Rzeźbione wozy — istne cudu dziecię!
A zbroja wszelka złotem w blask się mieni,
A broń wszelaka gra w tęcz od kamieni,
A wszędy suto jak nikt nie wypowie!
Tyryjski szkarłat na pierwszym namiocie,
Żagl purpurowy na pierwszéj galerze,
Jako król godzien. Ku słońcu, u dzióba
Strzeżyciel Mitras świętych ogniów strzeże,
W czém sobie Ormuzd przedobry podoba.

Morzem a lądem ciągnie ćmą poczwarną
Wielkiego Kyra państwo, — wielkie srodze
Ciężko się wali! —
Zda się niby w drodze
Wszelki kraj perski. Suza — cudu ziarno,
Babilon dumny, wdzięczna Choarana,
I między sobą zazdrośne o Pana:
Młodzian Persepol, matka Pasagarda,
I Ekbatana siedmią murów harda.

Z krainy światła, Dejok praszczur stary,
I Kyr praojciec, błyskają oczyma.
Ariman zgrzyta jeżąc brew bez miary,
Ariman ściąga ciemnych duchów chmury,
Biadaż! oj biada! —....
Od strony nieznanéj,
Kędy ku morzu ląd się głazem wzdyma:
— Stój! — Co to? — opór! —
Jako groch od ściany,
Zgęsło i pierzchło. —
Gon do króla leci....
— Co to? — król zagrzmiał. On na twarz upada:
— Słońce słońc! — jąka, — biada nam! oj biada!
Panie! tam — morze! —

Za nim drugi, trzeci,
Inni się w strony, inni wstecz rozbiegą.

Każe król przyzwać przedniego paroba,
I łży go sprośnie jak się mu podoba.
Paroba swego król przywołać każe,
Skinie, — i wnet go pochwycą Ceklarze,
I rzucą w ciemnię, jakby sprawcę złego.

Król gniewny srodze. — Cóż to? Mnie? przeszkoda?..
Most rzucić! —
Skinął. Ztąd i ztąd, gromadnie
Roi się — ściele; — ztąd i ztąd głaz padnie,
Aż brzeg brzegowi niby rękę poda.

Abydos z Sestem brat za brat zdziwieni, —
Hellespont w jarzmie targa się i pieni.

Siedm dni szli morzem, — siedm nocy szli morzem,—
Aż ósme słońce zaszło po za nimi.
A gdy jutrzenka wstała z licem hożem,
Już tylko w dali lekki opar dymi.
Lądy — a lądy. —
Trak się krwią nie plami.
Uderzył czołem. Mir jemu! — Chodź z nami! —
Makedon dumny, — ciężka dlań ta chwila!
Porwał się walczyć — więc kark w jarzmo schyla.
— Biada opornym! —
Mnogie ludy w trwodze,
Zdala i zbliska — z wysep i po drodze:
— Mir! Mir! — wołają, — na twarzy padają.

Morzem a lądem ciągnie ciężką zgrają
Wielkiego Kyra państwo, — wielkie srodze
Ciężko się wali! —

Od strony nieznanéj,
Kędy bez brzegów zda się morze szczere:
— Stój! — Co to? — opór! —
Jako groch od ściany.
Zgęsło i pierzchło. —
Galera w galerę,
Bok w bok uderza, — wiosło wiosło plącze, —
Dławi się — chrupi — trzaska. Wały rącze
Mściwie szamocą jarzmo. Z morskich wnętrzy
Po przedzie, ląd się z piekła rodem piętrzy,
Ląd w ząb bez końca, — tylko u przedgórza
Na krańcu, góra w błękit się wynurza.

Zjada się Kserkses — z ust mu pryska piana —
Przesrogo zaklnie w imię Arymana:
— Héj! góra z drogi! precz! —....

Od ciosu człeka
Zadrżał ląd wszystek, — w druzgi Boskie dzieło!
Zawrzało — pierzło — jękło — i bryznęło,
I wał się polał wierzchem. —
Król zdaleka
Powiódł wzrok orli: Rada, czy nie rada,
Krwawo nam trudy zapłaci Hellada! —

Morzem a lądem ciągnie ciężką zgrają
Wielkiego Kyra państwo, — wielkie srodze
Ciężko się wali! —

W niemniéj ciężkiéj trwodze,
I ztąd i z owąd — zdala i po drodze —

Ludy, jak jeden, na twarzy padają,
Na twarzy swoje padają jak dłudzy,
A łatwe jakoś — dziwne to padanie:....
— Panie! — My twoi poddani i słudzy!
Tyś Pan nasz — ojciec! Co chcesz od nas Panie?—
— Ziemi a wody! — ryczy wódz na czele,
— Ziemi a wody! — wtórzy czerń; — a oni,
Jako gdy w ulu brzmiąco w pośpiech dzwoni,
Gwarzą przez chwilę, — i jak za rozkazem,
Z głów ukorzonych znów się pomost ściele:
— Ziemia a woda — twoja! — z nami razem!
Mir! Mir! — wołają — na twarzy padają.
Król dumnie kroczy — kręgiem puszcza oczy,
I kędy padnie — k' myśli mu i składnie.

Morzem a lądem ciągnie ciężką zgrają
Wielkiego Kyra państwo, — wielkie srodze
Ciężko się wali! —

Czerni się na drodze....
Milczącym murem, wpoprzek się rozparła
Garstka Tessalów.

— Stójcie! — rykną męże —
— Po śmierć ten sięga, kto zuchwale sięże
Po wolność Grecyi! —

Król się zaśmiał z gardła:
— Ho! ho! Helleny! — na twarz niewolniki!
Albo was zgniotę jak pisklęta w pięści.
Czołem! Z lwem ludów bój się nie poszczęści!
Jam cios-pogromca! Jako wichr, cud dziki,
Przeszedłem morze, — górę przepłynąłem, —
I wszędziem deptał, i podepcę wszędy.
Mir wam! gdy śpiesznie uderzycie czołem,
Śmierć! — gdy nie chcecie! —

Jako grom, w te pdęy:
— Nie, nie, — śmierć raczéj! — hukną Greki społem
— Nie, — nie, — śmierć raczéj! — wtórzą echa brzmiące..
Zaczém wódz sprawi szyk, i z wierzchu wzgórza
Niebawem Greki spadną w grom jak wściekli.
Sieką, grzmią, rąbią, — wre jak z wichrem burza;
Świst, trzask, strach Boży, — bije pył pod słońce;
Srogo z téj strony, — srogo z tamtéj strony; —
Lecz próżno grzmieli, rąbali i siekli —
Zdławił ich ogrom....
Król wzniósł miecz skrwawiony:
— Tak będzie światu! —

Jako, k' ciężkiéj biedzie,
Mknie groźnie, tańcząc na jednej swéj nodze,
Wichr, po przed którym ptacy w puch pierzchają, —
Morzem a lądem ciągnie ciężką zgrają
Wielkiego Kyra państwo, — wielkie srodze
Ciężko się wali! —
Ztąd i ztąd, po przedzie,
Gońce-jastrzębie lecą z ostrą wrzawą,
Gońce-jastrzębie — na lewo — na prawo —
I poprzód siebie:
— Na twarz narodowie!
Pan idzie deptać karki swej czeladki
Jako jest łaskaw. Bądźcież jemu radzi!....
W proch niewolniki! —
W ślad ich prnie się mrowie:
— Ziemi a wody! — grzmi wódz rodem z piekła,
— Ziemi a wody! — wtórzy czerń zaciekła,
— Ziemi a wody! — wskróś swe własne śmiecie
Helleńskie echa wtórzą okrzyk wraży....

Zadrżyj Hellado! — któż się drżyć nie waży?...
W proch! w proch Hellado! — któż się w proch nie miecie?...

Pobladło niebo ponad Grecyą jasną,
Ponad szczęśliwą. Jak gdy zwolna gasną
Niebieskie światła w Zachodu krainie,
W ślad których milcząc mroczna ciemność płynie,
I chociaż niebo wygwieździ się wprędce,
Przecież się kończy żywot marnéj jętce,
I już jéj więcéj nie oglądać, ani
Jutrzenki krasnéj, ni blask dnia nic dla niéj!...

Pobladło niebo ponad Grecyą jasną,
Pociemniał dzień jéj; — wskróś duszno a ciasno.
Od ostatecznych krańców widnokręgu
Żałobny całun grubo się zaciąga —
Zamętu syny, posępnie i czarno,
Cienie na cienie walą się i garną —
Brzemienne gromem czarnych chmur nawały,
Obwisły ciężko, parno ociężały....
Biadaż! oj biada! wam Greckie narody!
Bo komuż, komuż doczekać pogody?...

Pobladło niebo ponad Grecyą jasną,
Trzeszczy w jéj zrębach — śnadź wprędce roztrzasną.
Chmur czarnych tłumy, groźnych gromów miazga,
Obwisły ciężąc nad ziemią Pelazga,
Tłoczą się, gniotąc — aż duszno. Strach blady
Na drżących skrzydłach leci wskróś Hellady,
A drży w mróz zimny — a leci piszcząco...
Bełkoce głucho, — mgły się z mgłami mącą,
Płata je wicher chłonąc kęs po kęsie, —
Zgrzytając groźnie Erys wężmi trzęsie, —
Biadaż! oj biada!....

Jednak — dziw nad dziwy —
Kędyż Atene? — gdzież Hares krwi chciwy? —

Zbawiż Helladę srom, lub łzy niewieście?...
Bogowie możni! kędyż wy jesteście?...—

PIEŚŃ DRUGA.

LACHESIS.

Jedno nic — chwila — wśród świata powodzi —
Ta, która zaszła — matką tej, co wschodzi.
Chwila do chwili zwolna pasmem stawa,
Aż z wątłych nitek wzmocni się postawa,
Imię jéj — Wieczność; Pan, na téj postawie,
Przerzuca wątek, grzmiąco lub łaskawie.

Na niéj, ku wdzięcznéj ozdobie tkaniny,
Świetnemi struny lśnią się czynów czyny.
Drugie się zerwą, — tych i czas nie przetnie.
Pan pyszny niemi, jako błyszczą świetnie,
Pan, z ust którego, tchnienie — gędźba żywa,
Palcy je tyka, i dźwięcznie wygrywa.

O Myśli Boża! słucham Cię ja znowu —
Narzędzie liche, słaby oddźwięk słowu.
Wątka daj przed się, bym miał ciąg wśród dzieła,
Jakoś je Łaską przezemnie poczęła.

Szmer!....czy ułuda? — nie, to pomoc w porze...
Otóż i wątek. Cześć Ci tchnienie Boże! —

W Delfach, jakoby w podziemnéj pracowni,
Trzaskanie świata, ryk, łoskot i gromy.
Szarpie się w wnętrzu wichr łupu łakomy,
Snadź w ciężkim gniewie Bogowie gwałtowni.
Dmie, jęczy, stęka i wyje szkaradnie —
Drży ziemia wszystka, zda się — w kęsy padnie.

I po wszéj Grecyi, — ciężarnéj niewieście,
Ni ztąd, ni z owąd, porodu boleście.
Wije się w mękach, — ażci znagła oto,
Rodzi się światu ohyda straszliwa.

W powietrzu duszno — oddychasz tęschnotą,
A dziwne smutki pierś jak głazem gniotą,
A dusza w człeku — jakby się wyrywa.

I dniem a nocą równy strach. Z ukosa
Nocą się niebo krwawi, — w krwawéj łunie
Rój widm straszliwych złowieszczo się sunie,
Krwawych rózg pęki smagają niebiosa.
Z brzaskiem z krwi wstaje dzień i w krew zapada.
Południe — blade w trupi blask; północą,
Wskróś ztąd i z owąd błyski zamigocą,
I pchnięta z niebios leci gwiazda blada.
Drętwieje z grozy wszelka dusza żywa.
W powietrzu duszno — oddychasz tęschnotą,

A dziwne smutki pierś jak głazem gniotą,
A dusza w człeku jakby się wyrywa.

Po przed Świątynią Delfu, po przed świętą,
Jak przybieżano, tak na twarz legnięto.
Pokotem leży Grecyi lud przemnogi.
A duch w nich mdleje, — bo cóż, w zemście srogiéj,
Przebłagać zdoła zagniewane Bogi?
A trwogą ciężką wzdyma im się łono?
A drżąc, czekają, co im naznaczono:
Czy śmierć przestraszną? — czy niewoli pęto?
Tysiącmi rzeżą ofiary; w półkręgu
Ofierne ognie wonnym dymem płoną,
Kapłani pieją hymny, kadzidł wstęga
Wieje w obłoki, rąbkiem niebios sięga, —
Och! byle tylko Bóg polotnéj strzały,
Byle się tylko Bogi zbłagać dały!
A tu wre z wnętrza — wieje dreszcz od strachu —
Niby Hefajstos, jako więc w rozmachu
Kując grom Ceusa z obuchem w prawicy, —
Ztąd grzmią w kowadła Cyklopowie dzicy,
Tam z srogim zgrzytem leci pęd od miecha,
Echa głos połknął — głos połknęły echa.

W Wyrocznych Delfach, jak w piekieł czeluści,
Zieje i huczy. Niby Orkus blady
Jako się miota, zanim grom wypuści
Z rozpękłéj góry. — Od ludów Hellady,
Trzy dni, trzy nocy, nie powstając zgoła,
Wybrane posły leżą w proch obliczem.
I nie wstać posłom, bo nie pójść im z niczém,
Aż wyrok Bogów słowo w czyn wywoła.
Nie widno wieszczki brzmiącego młodzieńca —
Nie władna sobą. Strzaszny szał, dziewicę
To w żar, to w wodę miota, — skrzywia lice,

Kurczy jéj członki, i wnętrzności skręca.
Trzy dni, trzy nocy, niby tknięta żmija,
Nie pewna życia, w boleściach się zwija.

Czekają posły. Znagła huk przez ścianę....
Na dwoje pęka przybytku zasłona —
Buchnęło kłębem....ażci — oto ona.
Z rozpierzchłym włosem, szaty w wiatr, stargane
Przepaski święte, — w piersi, rana krwawa
Jedna i druga, twarz straszliwie sina, —
Żółto-spieniona ust się czepia ślina, —
Pracuje piersią, i tchu jéj nie stawa.
Spokojnie niby siedzi, jednak błędnie
Zatacza okiem, a oko — tak prawie —
Jakby mu długo nie wytrwać w oprawie, —
A usta sine, jako mak gdy zwiędnie.
I rusza niemi niby coś z niechcenia, —
Zrazu dźwięk szemrze niewyrozumiały, —
W chwili jęk głuchy, — wnet w postawie całéj
Kurcz z drganiem srogiém,—zprzykra twarz się zmienia..
Znagła się zerwie, pieni się jéj warga,
Pierś pięścią tłucze, paznogćmi rozdziera,
Jak opętana tu i tam się targa,
Rwie włos, rwie szaty, i jako pantera
Pręży się, zwija — aż jéj w kości trzaska.
Snadź Bóg, co strzałę daleką wypuszcza,
Wstąpił w kapłankę. W trwodze ludu tłuszcza:
Co im obwieści? — biadaż im? czy łaska?—
Ucichło chwilę. Wraz jéj zadrżą wargi:
— O biada! — jęknie. — Biada? co? co? biada?—
Z ust do ust leci błyskiem gromów chwili,
By dobra wróżba, smutne słowo skargi.
Jéj tchu brak w łonie. Ku ziemi się chyli,
Twarzą w proch legnie — podskoczy — znów pada —

Tarza się, wije. — Biada? co? co? biada?—
Powtarza każdy, i każdemu zda się
Że źle dosłyszał, i nie ma nikogo
Coby nie zadrżał. Między złem a trwogą
Oczekującym, braknie granic w czasie. —
O! znów się zrywa. Naraz, w ciszy głuchéj,
Zasłyszysz łacno brzęk lecącéj muchy;
W powietrzu tylko wieje coś złowrogo,
Coś szumi z cicha, coś głucho szeleszcze —
Szept półmilczący, zimny znój i dreszcze.
— Biada ci Grecyo! — zabrzmi słowo wieszcze —
Wszystko stracone! Biada wieszczby słowu!
Drżą z sił wyzuci Bogowie zgnębieni...
Skon ludom ludów! Świątyniom — zniewaga!
Próżno Atene ojca swego błaga...—
Tu przerwie znowu, tchu łaknie, i znowu:
— Jedno wam jeszcze! — słuchajcie Helleni! —
Zbawi was — zbawi..—Wraz w niéj krzepnie dusza—
— Zbawi was tylko.. — Tu znów pierś wysili,
Lecz tylko usty rusza — próżno rusza!
Dźwięk, gdzieś daleko! Znów się rwie, po chwili
Jeszcze coś szepcze, wtem bez tchu upada,
Przeto iż sił jéj zbrakło.
Tłuszcza blada
Stoi dech tłumiąc, cała w słuch swój wryta —
Podani naprzód, goreją tęschnotą
Żądni otuchy, iżby co schwytali —
Otworem usta, a wzrok im się pali,
Zda się duch wszystek oczyma ich czyta:
— Co? co nas zbawi? — cóż więcéj? — co daléj?—
Gdzie nam zbawienie? — gdzie? —...
O! patrzcie oto,
Znów dziewie w piersi duch nad śmierć zawziętszy,
Alić z jéj łona, jakby z ziemnych wnętrzy,

Głos oto: — Męże! — moc jéj w usta kładzie —
— W murze drewnianym zbawienie Helladzie! —
Zaczém się chwieje, czepia ścian, ołtarza,
Lecz sił pozbywszy, pada wznak, i zcicha
Rzęży śmiertelnie, stygnie, ciężko dycha,
Zda się — skra życia już się w niéj dożarza.
Patrzy nie widząc zeszklona źrzenica,
Znój zimnych kropli przymarł do jéj lica.
Wynieść kapłankę śpieszą ofiarnicy,
By nieskonała w przybytku świątnicy.

Umilkło, — cisza. Wszerz, jak skrzydeł wianiem,
Tchnienie od słowa wyrocznéj powieści,
Tajemniczemi powiewy szeleści.
Wysłańcy ludów, starców grono, za niem
Kapłanów garstka, tłumem lud prostaczy,
Niemi, jak wryci w głaz, bez żadnéj zmiany
W licach swych, drżący, bledzi w bladość trupią, —
Jeden od drugich niczém się nie różni,
Jedni na drugich poglądają trwożni,
Jedni do drugich garną się i kupią:
— Co? — mur drewniany? — Cóż jest mur drewniany?
Co to ma znaczyć? — Dziwnie! — Cóż to znaczy? —
Wbrew przeciw sobie stawa na przemiany:
Rozpacz — otusze, otucha — rozpaczy. —

Gdzieś u Koryntu — gwar. . . .starszyzny grono,
Zbór Amfiktionów, dobréj radzie gwoli —
Jako więc ludom zdawna naznaczono,
Mistrze otuchy — męztwa duch w złéj doli.
W garstce maleńkiéj roi się jak w dużéj,
Dłoń służy dłoni, głowa głowie służy.
A jako w piękny poranek wiosnowy,
Po barwnych zielach woniejących świeżo,

Pracowne pszczoły rojem się rozbieżą,
Ta rosę piję, ta od nóg i głowy
Kulkę urabia, tamta pyłek zgarnia,
Ta z brzękiem niesie, tamta wziąść pośpiesza,
To w ul, to z ula brzęcząc skrzętna rzesza, —
A każda znosi, każda coś dodawa,
Że zda się tobie czary, cudu sprawa,
Jako w twych oczach wzdyma się spiżarnia:
Patoka płynna, kanar wonnéj cnoty,
Toż wosk uległy w przegrodzeń misterstwo,
Zkąd więc pożytek, zkąd w jesienne słoty,
Mieć wszystkich starość niegłodną i czerstwą; —
Tak w radném kole godzą mądrość z władzą,
By był pożytek z tego co uradzą.
A jak gdy w gniazdku, jaskułce ptaszynie,
Swawolne chłopię wybiera pisklęta,
Ona rozpaczą, trwogą, bólem zdjęta,
Lata bez wiedzy, zda się z żalu ginie,
Zamiera serce w piersi jéj, z śród liści
Trzepocze skrzydły, boleśnie wykrzyka,
A nie wie rady, bo nic swawolnika
Nie zdoła zmiękczyć, by zniechał grabieży...
Biada jéj dziatwie! — na dwoje się ziści:
Zginą niechybnie jeśli ich odbieży,
Zginą — gdy z niemi! — nie zbawić jéj dzieci,
I samej uledz! — rozpacznie przypada,
I, to odleci, to znowu przyleci,
Nie wiedząc rady, wie tylko — że biada; —
Tak wodze ludów mają trud nad trudy,
Wątpliwi środków, a pewni rozpaczy,
Czego się chwycą? co zniechają raczéj?
Coli następnie działać im? co wprzódy?

Zwą co znaczniejsze: radą, cnotą, siłą.
Téż wywołańcom posłano przyzowy.

Przybył Arystyd prawy mąż, przybyło
Wiele i drugich. Rada — działem głowy,
Głowa — rząd ciała, a lud — członki ciała
Drżąc, oczekują, co więc rada zdziała.

Ha! Co tu robić? — Od gór, jak z kratera,
Nabrzmiały chmury, groźnie grom w nich wzbiera,
Grom — śmierć lub jarzmo! Ciężka mnogość luda
(Trudno bo wierzyć, iż się zda obłuda!)
Wali się, wali. Nie zna wódz przeszkody:
Tam ląd przepłynął, tam przestąpił wody,
Tam — wichr! powolnym — wir, a w drodze, które
Nieukrócone, robi ukróconém.
Hellespont dziki, z dumnym Makedonem,
Społem dźwigają jarzmo. Chciał — i oto
Bałwan się mokry przewalił przez górę,
By przejść galerom. — Ha! czekaj Hellado!
Drżyj! drżyj Hellado! — grzmi wódz nad przywódce—
— Czas się policzyć — czas nam, Grecka cnoto!
Maraton-hańba, ległych kroci cienie,
Z grobu Daryusza duch dręczony blado —
Zemsta! Czy słyszysz? — twójto dług. Ja wkrótce
Zapłacę tobie krwawo, nieskończenie,
Żeć będzie zadość! — Za nim czerń rozjadła,
Rzekłbyś, iż dziatwa grzmiących piekieł stadła,
Rzekłbyś, iż właśnie jedni drugich zgniotą.
Ryk — trzask — a groza!...
Jako gdy w pustyni,
Szlakiem, gdzie piasek w przymierzu z spiekotą,
Wędrowne ciągną czarnych lic Etiopy, —
Znagła się niebo zmąci w mgłę, zasini,
Znagła im wicher zerwie się z pod stopy,
Z krzykiem ucieka Struś i Gazell stada,
Trwożnie gdzieś w dali grzmi Lew...Alić biada!
Wraz wkoło płonie, w kłęby piekłem dmucha,

Zatyka oddech zionąc żar, z otchłani
Ruchome piaski wzbija w pył, — zbłąkani
Tchem biorąc w piersi śmierć, niepewni ducha,
Napróżno twarzą do ziemi przypadną,
Modlą się, bluźnią, — jęk ich coraz cichszy,
Wreszcie — umilkło. Chwilę jeszcze wichrzy,
Aż zwolna zwieje, to w stronę, to na dno.
I oto — straszno! Trup w trup, a zniszczenie —
Zkąd uczta sępom i krwawéj hyenie,
Zkąd ślad przechodu, zkąd kiedyś w przyszłości
Wędrowcom nowym groza nagich kości —
I ani zwierzu znajść gdzie cień w południe,
Ni w upragnieniu zasypanéj studnie.
Samotna nawet palma na uboczy,
Schłostana, schnąca, jako się ostała,
Gdy pojrzy wkoło, wskróś zasłona cała
Chyli się tęschno, i mdłemi warkoczy
Da cień ostatni, zanim żyć przestanie.
Jako więc wichr ów, jako pęd-zagłada,
Zamorska mnogość wali się a spada,
A kędy spadnie, ciężkież to spadanie!
Z burzliwym rykiem, dzika niepogoda —
Stopami swemi depce, co się poda,
Druzgocze miasta, wsiąka ludy. Sioła,
Święcone gaje, których grom nie zniszczy,
Świątynie Bogów (rzecz nad wiarę zgoła!)
Przeto iż inne jak ich, — w cześć Ormuzda
Płomieniom k' pastwie. I tak, kupą zgliszczy,
Środkiem się Grecyi znaczy krwawa bruzda.

Ha! a wyrokiż? — Myśl ich któż odgadnie?
„W murze drewnianym — zbawienie Hellady —“
— Cóż mur drewniany? — Ciemno! — W słów wykłady
Zapadł lud wszystek, z niem grono obradnie,
Lecz tym, jak owym, ni trafno, ni składnie.

Radzą a gwarzą. Tuman....ho! w tumanie
Jeździec — cień blady. Wraz przypadnie, stanie,
Tchu łaknie, jąka przerwanemi słowy:
— O ojce ludów! Z Pindu, gór olbrzyma,
Kraj, co się stromym Arakintem wzdyma,
Lud, co mu w pasie Acheloj, lud owy
Z Persy — jak z bracią!... —
Grom! W ciszy grobowéj,
Zda się, iż wszystkim zbrakło tchu i mowy.

Dumają, milcząc. Tuman znów...w tumanie
Jeździec—cień blady. Wraz przypadnie, stanie,
Tchu łaknie, jąka przerwanemi słowy:
— O Ojce ludów! Lokry, lud niżowy,
I ci co z prawej i co z lewéj strony,
I co z Naupaktu patrzą w nurt zielony,
I co z Termopil wązkich w kres daleki —
Lud to... Ojcowie! przeklon im na wieki!
Lud — niewolników!...—
Cios! W ciszy grobowéj,
Rzekłbyś, iż wszystkim zbrakło tchu i mowy.

Milczą, w dół patrząc. Znów tuman... w tumanie
Jeździec — cień blady. Wraz przypadnie, stanie,
Tchu łaknie, jąka przerywane słowo:
— O Ojce ludów! Biadaż nam, a zdrada!
Magnety brzeżne, Ftyja ziemia żyzna,
Lud klinem krągłym co w morze zapada —
Srom, srom Helladzie, iż się Grekmi zową!
Lud to nie naszy! Cześć ich i ojczyzna
Tam — kędy przemoc!...—
Do ciosów, cios nowy.
Rzekłbyś, iż wszystkim zbrakło tchu i mowy.

Zbledniéli milczą. Znów tuman... w tumanie
Jeździec — cień blady. Wraz przypadnie, stanie;
— O Ojce ludów! — jąka przerywanie —
Ród wiarołomców — Beoty, Tebanie,
I władać Grecyą naród z dawna chciwy —
Pasierbie serca — złośliwe Argiwy —
Służalce Persom!..—
Do ciosów, cios nowy.
Rzekłbyś, już w końcu nie stało i mowy.

A za tumanem tuman, gon za gonem,
Biada za biadą. Wtedy starsze władzą
Szaty rozedrą, w proch padną zwilżonem
Od łez obliczem, z piersi jęk wydadzą:
— Biada od wroga! Srom od bratniej zmiany!..
O Bogi Grecyi! Cóż jest mur drewniany?—

Wstał Temistokles, dłoń w potrzebach sprawna,
Postawa słuszna, twarz tęskna a blada;
Mąż silnej cnoty, — już to z dawien dawna
Spać mu nie daje zwycięztwo Miltiada.
Gdy wstał bohatyr, — lud, starsi, wodzowie,
Zważają pilnie, co też on im powie.

— O wodze ślepych! — tak on do nich prawi —
O sami ślepi w nadmiar wszelkiéj rzeczy!
Próżnoćto Bogom radzić, choć łaskawi,
Gdy im nie w pomoc mądry przemysł człeczy.
Powiem, coć jasno, — niech mi, kto chce przeczy:
Galer szyk gęsty jest ci murem z drzewa —
Bo jako wał jest przedpiersiem warowni,
I kiedy mocen, niechby najgwałtowniéj
Wróg twierdzy pragnął, nie zyszcze on wiele,
Wstyd tylko w razie z ciężką stratą miewa, —
Tak i moc morska, jako wał na czele,

Zapora w lądy, a brzegom zasłona,
Z pomocą Bogów zbawienia dokona.
Bo tak się ludom przymorskim nadało,
Bo tak nam tylko wyjść z chwałą i cało.
Wy tedy Grecy zróbcie tak: dostatek,
I zbytek wszelki, i co ma swą cenę,
Starce, niemocne, niewiast tłum a dziatek,
Z miast precz umietłszy,— skład wam na to gwoli
Salamis wodna, Egina, Trezene,
Też radzi rzućcie miasto Bogom miłe,
Bo w gruzach jego najdzie wróg mogiłę,
Toć wam powiadam. Więc daléj — niech jeno
Mam ja, lub który, kogo naród woli,
Galer po trzykroć sto, ni mniéj, ni więcéj,
By jak gwiazd było wroga — w puch poginą,
A w klub wzięt zewsząd ów nawał bydlęcy—
Przepaść mu w lądach, przysięgam na Bogi!
Lecz wam powtarzam: zbądźcie marnéj trwogi,
Bo duch a męztwo — nic bez niego zgoła.
Ztamtąd lud walczy, jako z po za wału,
I sam nie sięgnion, wytraca pomału,
Cierpliwie, długo — aż już i nie stanie.
Wrógci ma liczbę, i moc, i przestrzenie,
Dobrze — niech stawa, jeśli co podoła.
Takto nam walczyć, tać broń i wytrwanie —
Zkąd wróg ma klęskę, grób i zawstydzenie,
Zkąd więc lud sobie możną wagę dawa,
Czém górą prawość i wolności sprawa.—

Skończył, a oni milczą wskróś zdumieli.
Wraz gwar, jak w liściach, gdy wiatr dmuchnie świéżo—
I jedni wątpią, a drudzy nie wierzą,
Ci wierzą znowu, leczby wątpić chcieli.
A wszystkim dziwno, jako prawił mądrze.
Zda się Atene z jego ust, bo zkądże

Własnym przemysłem w człeku mądra rada?
Gdy się tak każdy nie wié k' czemu skłania,
W tém zagrzmi z prawéj. Snadź, co gromem włada
Ceus, dobrą wróżbą chciał dać kres wahania.
Zaczem poznali, iż mówił wyrocznie,
I sławić męża zgodnie każdy pocznie.

Ha! a cóż ziemia? Niebios córaż owa
Hellada matka? Cóż — Bogów świątynie?
Cóż — miasta? grody? Cóż, w lichej perzynie
Praca a sława? Jakoż się uchowa
Dzieło dzieł tylu, czem się lud zaszczyca,
Ziemia praojców, Bogów wybranica?
Cóż — miasto Bogów? Jakoż się ostanie
Kunszt ów misterny — wieków budowanie?
I matka ludów, matka serc — Hellada,
Wrógże ją porwie, pogwałci, sposiada?
Wrógże zniesławi to, co Bogów stopa,
A lud jéj, cześcią poświęcił od wieka?
Cóż rzeką ludy? cóż przyszłość daleka?
Cóż sam wróg wreszcie, gdy się krwie nażłopa,
Gdy mu w kres zemsty łuny zgliszcz przygasną?
Na łupże wydać dziatwie matkę własną?...
O! dziatwie takiéj przepaść tchem w godzinie!
Lud, pasierb matce, nędznym ciosem zginie!
W łzach najdzie niemoc, najdzie grób w rozpaczy,
I jak żył marnie, — tak marnie zagaśnie! —

Nie tu czas radzić, ale działać raczéj...
Wstał wódz, i ryknął, aż zagrzmiało właśnie —
Król dzielnéj Sparty, mąż dziwnie wspaniały:
— Ha! kto chce zginąć — by nie uszedł chwały?
Kto ze mną bracia ku Matki obronie?
Kto rad nie uciec?..—

Wraz się szmer rozwionie...

Wstało mołojców mnogość — kwiat-rycerze —
Saméj Spartańskiéj młodzi w ślad wodzowi,
A wszyscy dzielni i poledz gotowi;
Z tych wódz k' potrzebie trzykroć stu wybierze.
Lecz jak tu wybrać? Z wszech stron zgiełk się wzmaga—
Zazdrosny nacisk! — czyż go wybór przeprze?
Wszyscy dąb w dęba, w odwagę odwaga,
I wszyscy równi — ni gorsze, ni lepsze.
Zaczém, w los ciągnąć, wódz się słusznie skłania.
I oto — trzysta! I oto — w godzinie:
Ci z gardł radosne dają wykrzykania,
Owi zaś smutni, iż ich cześć ominie.
Z temi więc swemi, przykładem a władzą,
Poczci Leonid ziemię ukochaną,
W poprzek Termopil wązkich klinem staną,
I zginą sławni, — a matki nie dadzą.

W Sparcie społeczne robią gotowania,
A nie znać żalu, ani łez, ni łkania,
Choć mężom walczyć, póki krwie im starczy.
Ni z tarczą wrócą, ani téż na tarczy,
Idziebo każdy — by legł jako żyje...
Królowi młoda wiesza się u szyje
Małżonka luba, przegładka na twarzy:
— O panie — mówi — cóż mnie odtąd saméj?—
Téj król: — proś niebo, niech ci męża zdarzy,
Coby był godzien wziąść cię żoną po mnie.—
Ona w dół patrzy, rumieni się sromnie,
Bo łza w jéj oku, w duszy żal bez tamy.

W Sparcie społeczne robią gotowania,
A nie znać żalu, ani łez, ni łkania,
Choć mężom walczyć póki krwie im starczy.
Ni z tarczą wrócą, ani téż na tarczy,

Idąbo właśnie — by legli w mogile.
Więc jako idą, by nałożyć głową,
Naród im wszystek da cześć pogrzebową.
Szło matek trzysta, i żon drugież tyle,
Zatém lud mnogi. Kapłani, koleją
To ci, to owi, żałobliwie pieją.
A gdy już spełnion obrzęd, jak przystało,
Czas uciesznemi zapełnią igrzyski,
By równie gdzie miał się duch, jak ciało,
W cześć bohatyrom, których koniec bliski.

I oto poszli. Oręż w blask im strzeli —
Już są daleko — już dalej — po chwili
Zmniejszeli — mętno zgęśli — poszarzeli —
Aż znikli wcale, jakby już nie byli.
Niewiasty k' mężom śnieżne rąbki chwieją,
I każda w duszy żegna się z nadzieją.

O! Bogi z wami męże zacnéj dłoni!
Mężé nad męże! Zbawce wy — jak oni
Półbodzy Ojce, co przez czyn zuchwały,
Z pożytkiem ludzkim nabywali chwały.
Cześć wam! wiek przyjdzie, iż więc zwątpią, czyli
Możnem być temu, coście wy zrobili.

O! Bogi z wami męże zacnéj dłoni
Przedziwne męztwem,—świat się wam pokłoni!
Zwleczecie ciało, by duch wziął lot ptaka —
Jak wam przesławni, oby nam śmierć taka!
Z wami myśl nasza, z wami dusza nasza,
I serc modlitwa, co się w Niebo wznasza.

O! Bogi z wami męże zacnéj dłoni!
Pył ziemi własnéj — on — gdy czas wam do niéj —

On was jak ojciec, obsypie, pogrzebie,
A po nad wasze mogiły, sam z siebie
Wawrzyn, w cześć cichą, sławy liść przekłoni...
O! pokój z wami męże bratniéj dłoni.—

PIEŚŃ TRZECIA.

ATROPOS.

Mocy ostrz świetnych, co nigdy nie zmylą,
Śmierci przeważna! Ty, obecną chwilą,
Co tętno nowe, co błysk oka nowy,
Tniesz Wieczność Pańską wiecznie w dwie połowy:
Przeszłość i przyszłość — ściśle równe obie —
A nie ma Wiedzy, tylko w jednéj tobie.

Kapłanko Wiedzy! Wiedźmo znakomita!
Któż ciebie pojmie, i kto się dopyta?
Kto zakosztował wiedzy — zmarł; i zasię
Skosztował wiedzy—kto zmarł w swoim czasie.
Może kolebka — grobem, lub się właśnie
Rodzi dopiero, kto snem wiecznym zaśnie?..

Aniele marzeń, z licem dziwnie bladem,
Niby miesięczne lica! twoim śladem
Milczący orszak, przez kraje dumania,
Cichym powiewem w mgle się mlecznéj słania,
I ciągnie senno, aż się wraz rozwionie,
Od strony nieba, ku niebieskiéj stronie.

O Mocy ciemna! toż dłoń twoja lewa
W noc na powieki senny mak wysiewa.
W noc tę, gdy walka na chwilę ustanie,
Człek miewa wiedzy słodkie skosztowanie —
Niby zwierciadło, gdzie w nieścigłym pędzie
Mgli się co było, lub dopiero będzie.

Mocy spokojna! dziwneż twoje sprawy!
Z snem wieszczym w lewéj, wiedzą w dłoni prawéj—
Sen śmierci robisz podobnym, i razem
Śmierć snu błogiego przedstawiasz obrazem,—
By snadź, nim duch się z ciałem nie rozklei,
Nie zginąć człeku z żalu lub nadziei.

O! w noc półświetlną, gdy woń tęskną dyszy
Uśpione życie, gdy wśród sennéj ciszy
W otchłaniach gwiazdy migotnie się mącą,
Iż Pan je tyka wygrywając brzmiąco —
O! daj mnie wtedy, Mocy z nad otchłani!
Daj być *widzącym* — jako są wybrani.

Daj, choć raz tylko. Na moje wyzwanie
Niech — co zatęsknię na oczach mi stanie.
Niech mnie — w tę chwilę świętą, uroczystą,
Samemu tylko pańskim być lutnistą —
I choćby potem... na zawsze już ciemno!
I... niechby zginąć pieśni méj wraz ze mną!

Stanęli męże, jako wrzeciądz mocy,
Jako zasuwa zarazem, i klamka;
A zaś Termopil cieśń, jak klucz do zamka—
Do piersi mężnych; za tym, lud sierocy,
Swój wszystek schował skarb, najdroższe miano—
Ziemię praojców, matkę ukochaną.

Noc. Cisza głucha. W poprzek, tajemnicza
Tkanka, gwiazd siejbą strzela w szlak łabędzi —
Gra—skrzy się—mierzchnie. Z po za wzgórz krawędzi,
Dźwiga się miesiąc pełnego oblicza.
I w przekor jemu, z Persów legowiska,
Blask drżących ogni, nim skona, krwią błyska,—
Ów srebrzy blado, ten skrawo czerwieni.
I w przekor głuszy, niekiedy, gdzieś z cieni,
Ozwie się czata jak przez sen, znów zcichło,
I znów przeciągle ozwie się, — aż rychło
Zamarł dźwięk, zmierzchły płomieni widziadła,
I rozmarzona głusza martwo padła
Na snu posłanie. Od krańca, gdzie skośnie
Zwir gwiazd wskróś niebios płynie drżąc jak rzeką,
Waży się miesiąc pełnych lic, daleko
Po za topiele światła, cień wątpliwy
Kładzie się, nurza, to znów wzbiera, rośnie,
Lub wpół przecięty, gra jak powiew niwy.

Zciemniało. Trwożnie liść o liść potrąca.
Od bratnich szlaków gwiazda promieniąca,
Rąbkiem z mgły śnieżnéj, z któréj światło tryska,
Wiejąc ślad przejścia przez modre pustynie,
Bieży po drżącym promieniu miesiąca;
Zrazu gdzieś w dali — bliżéj — aż i z bliska —
Ponad namiotem króla smugiem spłynie—
Była... i już jéj nie ma.

Król, wznak ciała,
Wśród wezgłowianych puchów ma swą ciszę,
Czém się duch jego miękko rozkołysze
Snem, a niemocą. Z podniebia, wspaniała
Lampa z kryształu o wonnéj oliwie,
W barwy wzorzystych makat strzela żywie.
I z naczyń woni, z sennych smug, mgła blada
Przesnuwa kłęby, warstwami układa
W poprzecznych płaszczyzn pasma. Król, wznak ciała,
Wśród wezgłowianych puchów miękko tonie;
Rozognion wszystek, a skroń jego pała —
Tłucze się serce w niespokojném łonie,
I znój na czele, jak gdy zamróz łzawy
Jesienną rosą gra w źwierciadeł szyby.
Ciężkie widzenie widzi król, w śnie niby,
We śnie, a właśnie jakoby wśród jawy:
Zerduszt mu prorok w własnéj swéj osobie
Zjawi się znagła. Grzmiący miecz z płomieni
Ma w dłoniach obu, ważąc w strony obie,
A w ciemną przyszłość utkwił wzrok sokoli.
Aż naraz miecz się drżącą wagą zmieni:
Na jednéj szali wszystkiéj Greckiéj doli
Dział, a na drugiej—Perskiéj. W tém, dział wraży
Pójdzie ku górze, a Perski przeważy.
Lecz ciężąc dziwnie, zapada w otchłanie,
Kędy ma ciemny Ariman mieszkanie,
(Duch potępiony, przeklęty, ponury!)
A Grecyi dola — ku Niebu — do góry —
—Ha!.. W skok się ocknie, przetrze wzrok, w około
Pojrzy,—w śnie wszystko; tylko w wschodniéj stronie
Mgławo coś pierzchnie, zaćmi i rozwionie.
Zerwał się, usiadł, dłońmi potarł czoło,
Zadrżał i duma,— ból mu serce schwyci.
Duma — a sen mu jakby w oczach właśnie.
Duma, i tęskno duma. Razem w dłonie

Klaśnie, i znowu w białe dłonie klaśnie.
W bocznéj komnacie, tuż, w ksiąg zwoje wryci
Mędrce, snem gardząc, karmią myśl nie sytą.
Pierzchła zasłona—wchodzą—na twarz zbladłą
Padają drżący. Tym król, w zwięzłem słowie
Sen przepowiedczy, jako był, opowie.
Skończył, — ci milczą, jakby w głaz ich wryto.
Alić po chwili: — O prawdy zwierciadło! —
Rzeknie królowi Mag nad wszystkie Magi:
— O światło świateł! gdy chcesz prawdy nagiej,
Oto, coć powiem: dziatwie podłéj gliny,
Senci wspomnieniem, albo przepowiednią,
Tego co będzie, lub było poprzednio
Lecz wam wybrańcy, coście światła syny,
Wam duch istnieniem, nie zmysł, glina krucha,—
Wam, jako jawa, sen — jest wolą ducha.
I cóż ci nad to? o królu nad króli!
Ormuzdów stolec z ponad gwiazd półkuli,
Grom jego dłoni, i światło żywiące —
Jednobo świetność, drugie zaś potęga —
O władco ludów! tyś jest grom i słońce.
Tyś jest prawica silna Ormuzdowa.
Tyś blask Ormuzdów wieczny nieskończenie.
Nie tobie krańce, nie tobie przestrzenie,
Twa moc — Moc Boża. Niech i w otchłań sięga,
Tobieć i otchłań w krańcach niebokręga.
Oto, co jawnie, niby snu osnowa,
Mówią twéj chwale przepowiedni słowa.—
— Dosyć! — Odeszli. Król głowę na łono
Skłoni, i brodę gładzi utrefioną,
I bujne sploty, jako mu opadły,
Bez wiedzy garnie z ponad skroni zbladłéj,
I oddan sobie ciężko się zamilczy.
Biegły wykładca właśnie w myśl mu czyta —

Wszakże, zkąd panu trwoga niepozbyta,
Niby szpon sępi, lub ząb niby wilczy
Tkwi w głębi piersi, i ani jéj wyprze?
Wstał, i szeroko chodzi po namiecie,
Sam nie wie o tém że mówi, a przecię
Mówi sam z sobą słowa nad wiatr szybsze.
Być dobréj myśli próżno sobie tuszy—
Zwątpienie cierniem uwięzło mu w duszy.

Słońce, w blask dniowy, przez zroszone liście,
Na kwiat spłakany strzela promieniście,
I z łez gra tęcza, iż się właśnie zdawa
Smutek ucieszny, albo radość łzawa.
Królowi rumak przywiedzion. Król z prędka
Siadł, lejc pochwycił, a źrzebiec widomie
Sadzi się, wspina, w rączy bieg mu chętka.
Tak gdy igrzysko biegu w Hippodromie—
Mąż tuż za mężem migając przelata,
Że tylko wiewna polatuje szata,
A bezczynnego, patrząc, żądza bierze
Pchnąć się, gdzie pędzą biegowe szermierze,—
Serce—młot w piersi, tchnienia łakną płuca,
A duch powściągan ciężko się zasmuca.

Król dłoń ku czołu mając od promieni,
Dalekowidnie patrzy w przestrzeń zbladłą,
I w oczach jemu dziwnie bo się mieni!
Dal zda się bliską, a bliskość odległą,
W sinéj mgle kędyś kilka wzgórz osiadło,
Z sinéj mgły daléj kilka brył wybiegło,
Aż garb się z garby, głaz ku głazom zbliży.
I coraz wyżéj — i wyżéj — i wyżéj —
Gdzie lądy, borów gniecione odzieżą,
Dźwignięte z otchłań, dumnie w grzbiet się jeżą,
Tam nagłym ciosem pękło w samém ścięgnie.

Ztąd w strony obie rozskoczą się szczyty,
A każdy z wierzchów, zda się, w niebo wbity
A jar w pośrodku, zda się w piekło sięgnie.
Bo każdy z wierzchów, okiem niedościgły,
Gdzieś—w chmurach—ugrząsł skręconemi igły.
Bo jar, skrajany wężem przez wierzchoły,
By gardło piekieł, połknął dzień wesoły.
Toć wrota Grecyi.... a zaś za wrotyma
Jest Grecka wolność. Lub jest... lub jéj nie ma...—
Ha! cóż tam widno? Cóż z czarnéj gardzieli
Kiedy niekiedy w blask pod słońce strzeli?
To męże Sparty, jako wrzeciądz mocy,
Jako zasuwa zarazem, i klamka —
A zaś Termopil cieśń, jak klucz do zamka,
Za którym zamkiem, Grecki lub sierocy
Swój wszystek chowa skarb, najdroższe miano—
Ziemię praojców, Matkę ukochaną.

Król patrzy zbladły, i dusza w nim gniewna—
O! nie jest jar to, ani mur to z drewna,
Ni góra z piasku, którą on przekopa—
Ni otchłań z wody, którą on przesypie,—
Stopa co przejść tam zdoła, taka stopa
Lub—sprawi stypę, lub... utknie na stypie.

Zwie król posłańca i tak go zagai:
— Tak rzecz królowi od Spartańskiéj zgrai:
Lichać ich garstka, a moc u mnie w dłoni.
Poślę moc na nich — zwalczą. Drugą poślę,
Ha! i tę jeszcze zdławią może oni.
Wtedy — znów inną, (bo na głos mój, władza,
Jako z przyciętych prętów latorośle,
Mając sił mnogość, w mnogość się odradza),—
Lecz pewien jestem — gdy przyjdzie ta siła,
Już i nie znajdzie z kimby powalczyła.

Przeto nie bawiąc, nim trzy dni ubiegą,
Król dumnéj garści niech się mnie pokłoni, —
To, z jego strony; — a w zamian, zapłatą,
Oto co jemu, jakem żyw, dam za to:
Pierścień królewski dam na palec jego,
Szkarłat na barki, a łańcuch na piersi,
I, by był cześci syt, jak zwyczaj każe,
Pokłon mu dadzą władce co najpierwsi,—
Bo jak wzdłuż Grecya, po wszem jej obszarze,
Władarzem będzie nad wszystkie władarze.
Tak mówię jemu ja, król, w mej osobie —
Mógłbym z nim zrobić cobym sam chciał wcale,
Mógłbym go zgubić, lecz lepiéj ocalę, —
Bom go, iż mężny, ulubował sobie.—

Posła swojego czeka król w namiecie.
Poseł się sprawi, i wraca niezwłocznie,
— Cóż? — On padł na twarz, i trwożny tak pocznie:
— O królu królów! Nie tak jest, jak chcecie,—
Duch krzepki w Grekach! Duch, za moc im stanie—
Wojskoćto wodzów samych! Słuchaj Panie,
Tak mówi tobie Sparty król, mąż prawy:
„Nie chcę panować za cenę niesławy—
Grek, mieczem tylko, jeśli chce, nabywa!...“—

Rozje się Kserkses ubodzon do żywa,
I mieczem zmiecie łeb z wiernego sługi.

Z królewskiém słowem w prędce posłan drugi:
— Niech się wódz Grecki podda mnie w téj chwili,
A jeszcze dam mu, o czem i nie marzy,—
Władarzem będzie nad resztę władarzy,
I kto żyw tylko kark przed nim pochyli.—

Zbywszy się poseł wrócić omieszkawa,
Bo król Spartański (nie łatwa z nim sprawa!)
Nie chce — jak nie chciał. Alić biedny zasię
Zwolna coś, zbladły, drżąc przez wszystkie ciało,
Idzie, rad nie iść, iż zyszcze na czasie.
Przyszedł, patrz na twarz jako mu przystało:
— O królu królów! — rzeknie mdłemi słowy —
Tak mówi tobie wódz Spartańskiéj zgraje:
„Spartańczyk ginie — lecz się nie poddaje!“—
Ledwie że skończył, aż i on bez głowy.

Król w szczęt rozjedzon dziwnie się rozbiesi,
Przeklon mu w ustach, dymna otchłań w łonie,—
Lecz walcząc w sobie jeszcze raz ochłonie,
I ot, znow z słowem czterej męże piesi,
Z ostatniem słowem, ostatni posłowie:
— Mężom Spartańskim, iż są bohatery,
By rozmyślili, daje dni im cztery,
Po których cztérech, gdy te próżno zbiegą,
Piątego, pójdzie zdeptać ich w parowie,
By po ich głowach poszedł daléj w goście,
By po ich głowach stąpał jak po moście,
Do pięknéj Grecyi, która już jest jego.—

Tak ich zarzekłszy, król cierpliwie czeka,
I co dnia ku nim pogląda z daleka,
I myśli sobie wespół z Perską zgrają,
Iż się Spartany słusznie namyślają.
A oni właśnie nie myślą ni chwili,
Bo się już sobie z dawna rozmyślili.

Mąż Bogom rówien Leonidas jary,
I dziatwa jego, tęskni są od zwłoki.
Tak bo im pilno stawić pierś w bój luty,
I z wrogi Grecyi porwać się za bary, —

A tu, nie działać, lecz czekać, dopóty
Aż wróg sam przez się pomknie ku nim kroki.

Przeszedł dzień pierwszy, też drugi i trzeci,
Także i czwarty,—aż w przeddzień na piąty
Wódz rozporządzi oczyszczalne sprzęty.
Zaczem się w środku wielki ogień wznieci:
Wszystką rzecz podłą, czem się ciało kala
Zebrawszy w jedno, mietą precz gdzieś zdala,
I w zdroju członki obmywszy do czysta,
Iż mają zstąpić w podziemne odmęty,
Aby nie błądząc brzegów Styksu sięgli,
W cześć Bogów Ciemnych biją stugłów święty
Potem, zasiadłszy kołem wszystko trzysta,
Ostatki kładą na żarzystość węgli.
Skromnéj biesiadzie sam król przewodniczy,
A ma na sobie strój też weselniczy,
I równie strojem, jak pogodą lica,
Król z dziatwą swoją dziwnie jednakowy.
Ucztują raźnie. Wśród gwarnéj rozmowy
Skraca się długa czekania tęsknica.

Już też spojrzawszy w wschodowe widziadła,
Wśród gwiazd gasnących, Zelene wybladła,
Z wybladłéj, białą—z białéj, mgłą się stawa
I próżno w ślad jéj płacze ziemia łzawa,
Bo w łzy te perły, tęcza barwnokosa,
Różanym brzaskiem bije z bram Heliosa.

Od Perskiéj czerni, gdzie zmierzch jeszcze cały,
Roi się z rykiem. Jako morskie pędy
W niezgodzie z brzegiem, gdy już nie ma kędy
Zajść go, iż zewsząd próżno próbowały,
Razu jednego, w grocie bazaltowéj,
Z wichrem szalonym uczyniwszy zmowy,

I z burzą wściekłą jakiéj nic nie sprosta, —
W dzień oznaczony dla srogich szermierzy,
Zebrana w jedno ciężka Boża chłosta
Wstrzyma się chwilę, wprzód niźli uderzy —
I sobie dyszy, i rzęże okropnie,
Ciesząc się wczasu, iż dziś swego dopnie.

— Idą! — krańcowy rzekł mąż, (ucztowanie
Skończono właśnie). Tedy król powstanie
Mąż dużéj dłoni, i duch dziwnie młody:
— W sam czas! Ni późno — rzekł — ni też za rano,
Ni nam przerwano, ni czekać kazano,—
Więc—z uczty w ucztę. Bo wnet a niebawem,
Znów nam, o bracia! po za Styks—na gody!

A od zamierzchłéj dali, brzmiąc donośnie
Z rosnącym rykiem groźne mrowie rośnie,
I wraz z czarnego robi się bladawem,
A ryk wyraźnie grzmi:—Ziemi a wody!—

Rzekł mąż krańcowy:—Liczby bo tam nie ma!
Niech ile mężów tyle strzał, — oczyma
Dnia nam nie widzieć, iż go precz odgarną.—
Rzekł wódz:—Tem lepiéj, mniéj nam będzie skwarno.
Więcże nam bracia po za Styks na gody —
(Tak wódz znów prawi)—zaczem, w onym czasie,
Raz ostateczny pozdrówmy się z bliska.—
Więc każdy z drugim bratnio się uściska,
I wraz każdemu w drugim żegnać zda się
Miłe rodzice, żonę, dziatwę drobną.

A mrowie pnie się, wydając zgrzytnienia,
Niby paznogcie, kiedy po szkle skrobną,
Od czego dreszcz ci aż do duszy rdzenia, —

I z bladawego coraz się rozbłyska,
Iż zda się, niby olbrzymia kołyska
Tęczowych prądów, różnie się chwiejąca,
Od czego człeku dzień się w oczach zmąca.

Pozbędą męże wszelkich szat, by ciało
Z swobody członków łacniéj sprawę dało.
Mając też walczyć w zbliżonéj potrzebie,
Łuk, dzidę kruchą, rzucą precz od siebie —
Miecz tylko w dłoni, tarcz u bark, a jeszcze
Krzepkiemi członki przyparłszy się razem,
Twardem się w poprzek rozmogą żelazem,
Pięty zaryją w ziemi, — też jak w kleszcze,
Ramię k' ramieniu, goleń do goleni
Zeprą klamrowo, i tak zaś spleceni,
W mur z głazu wryci, czekają gotowi,
Aż się więc ku nim przybliżyć wrogowi.

I cisza z nimi święta, uroczysta.
I groza z nimi. Zda się — niby trzysta
Posągów Marsa. Trzysta tarcz — zwierciadła,
W które patrzącym, patrzy śmierć wybladła.
Trzystoma gromów błyskają ich miecze,
I trzysta mieczów ze wzroku ich siecze.

A mrowie huczy — niby grzmi i ryczy
Lew wielogardły, z pod mrocznéj osłonki
Na blask słoneczny wynurzając członki,
Członki bez krańców; i tylko téj dziczy
Niby paszczęka głodna — król u czoła.
Ten łom, to grzmienie któż wysłowić zdoła?
Jak gdy cię nieraz dręczy znakomicie
Zgrzyt szkła, lub ze snu psa w północy wycie,
Wycie rosnące, zgrzyt coraz zawziętszy,
Iż dreszcz ci zimny aż do duszy wnętrzy, —

I gdy pomyślisz, że ten potwór srogi
Chce naprzód — k' tobie — że trzeba mu drogi —
Że gdy on przyjdzie—źdźbło się nie ostanie,—
To ci się zbiera na wolne konanie.

Król znak da. Staną, dławiąc się w rozpędzie...
Pojrzy, a w myśli ni to mu, ni owo —
Co twardsze? — nie wie sam — czy skał krawędzie?
Czy mur z Spartańskich piersi? Chwiejąc głową,
Król się dziwuje Perski nie pomału,
Iż w lichéj garstce tyle znajść zapału.
Wodzowi Greków nic zaś nie dziwota,
Jedno wzrok jego błyskawice miota.

Więc rzucą posły, a imą się mowy,
A głos ich ryczy, jako ryk stepowy:
—Rzuć broń! — grzmi Pers. — Przyjdź wziąść ją!—
Grek odgrzmiewa.
Zaczem umilkną, iż już wszystko rzekli.
Stoją Helleni, niby wryci w drzewa,
A czerń się Perska burzy coraz wściekléj.

Król się dziwuje Perski nie pomału,
Iż w lichéj garstce tyle znajść zapału —
Wodzowi Greków nic zaś nie dziwota,
Jedno wzrok jego błyskawice miota.

Królowi Persów w głąb serca obraza,
Iż w lichéj garstce tyle znajść żelaza.

Królowi Persów gra się w licach zmienia,
Iż w lichéj garstce tyle znajść kamienia.

—Więc garści drobna, gdy ci w śmierć zażarcie,
Wróć zkądeś przyszła—śmierć wam choć i w Sparcie.

— Przyszliśmy właśnie oszczędzić ci drogi,
Byś nas nie szukał w Sparcie przeubogiej. —
Tak wódz Hellenów. A Pers jemu na to:
— O! w skarby skarbów dziwnie być bogatą
Tej Sparcie waszej — iż jej tak bronicie! —

Tak rzekł duch mały, rojąc skarbów krocie.
A mniema rzecz tę, błądząc znakomicie,
Bo nie wié, ile matce, skarb jedyny
Nad krocie kroci, — jeśli mieć jej syny
Wiecznie z jej sercem zrosłe jak w żywocie.

Zaczem się rozje, iż już długo czeka,
Rozje się Kserkses, z ust mu piana pryska:
— Hej! dość już zwłoki, bo droga daleka —
Nuż! krucy moi! —
Wraz się czerń rozhula
Z wyciem szalonem. Coraz bliżéj — zbliska —
Już —... już się zwarli. —
Pers walczy za króla —
Grek za ojczyznę...—

Śmierci! Ramię Boże!
Mocy ostrz świetnych od ciemnego dzieła!
Któż zdoła dosnuć wątek, któryś w porze
Wstrzymała dłonią, i brzmiąco przecięła?
Odkąd duch senny w pomoc cię wyzwałem,
Zda się i we mnie stygnąć duch wraz z ciałem,
I chwila zgonu niezbyt mi daleka...

Niech się człek zawziął zwalić dąb, co z wieka
Królem był w puszczy, — krzepkich wiele męży
Próżno czas długi wspólną moc natęży.
Nie jedno czoło gęsty znój ocieka,

Nie jedna dłoń go, omdlawszy, obciera,
Nie jedna w szczerby zedrze się siekiera.
A choć już dojmą, jeszcze z zbitej miazgi,
Mszcząc się, strzelają żelaziste drzazgi
W bok, wprost i zewsząd, a która uskoczy
Tnie w skroń, lub w czoło, lub w lica lub w oczy.
Takto zajadle Król-bohatyr-drzewo
Broni się ciosom na prawo i lewo.
Alić czas przyjdzie, iż w ostatniem ścięgnie
Stal mu cierpliwa wątek życia przetnie,
Wtedy ramiona ściągając stuletnie,
W rozpaczy garnie z sobą co zasięgnie,
I tak druzgocząc wszystko, co zagarnie,
Lega na trupach — by nie ginął marnie.
Rozbrojonego na onczas olbrzyma
Różne narzędzie pastwiąco się ima:
Topor, szerokie płatający cięcie,
Z jękiem się trupa uczepi zawzięcie.
Z bolesnym zgrzytem piła też, niezwłocznie
Rozdzierać, kąsać i szarpać go pocznie,
I przeraźliwie piszcząc, w sęków głąbie
Świder się wwierci. I wszelkie narzędzie,
Za nim się wwierci, lub wgryzie, lub wrąbie,
Długo się prosić miłosiernie będzie,
Iż go tam przymus w srogą walkę wmota, —
Choćcito przecię z trupem już robota.
A z tego trupa, w godziny złowieszcze,
Zrobią kołyskę — trumnę dla anioła,
Lub — trumnę człeku, gdy go grób powoła, —
A tak po śmierci będzie pomszczon jeszcze...

Niech się człek zawziął zmódz żelazo twarde,
Z ogniem się musi zmówić, i z żelazy
Także drugiemi. Zaczem, grzmiące razy,
Strudzeniu członków słuszną dając wzgardę,

Sztabie, wprost z ognia ujętej w obcęgi,
Młot w młot społecznie cios zadają tęgi.
Tedy zmówieni zdrady towarzysze
Mają co cierpieć — iż jest odpór na nie.
Nieraz osłabnie i ciosów padanie,
Miech się nie jeden niezgorzej zadysze,
Nie jeden młot się spłaszczy, a kowadło
Zbiwszy się z wierzchu już i w ziemię wsiadło.
A gdy chcąc stężyć kruszec, wprost z płomieni
Nurzą go w zdroju wrogowie zmówieni,
Wezwan k' pomocy żywioł przeniewierczy,
Wzdyma się, burzy i syczy i skwierczy —
Iż mu on jeszcze resztką sił dopieka.
A tedy mieczem wyszedłszy z kąpieli,
Przez zgon w zabójcze zmieniony narzędzie,
Błyszczącą śmiercią od słońca odstrzeli,
I tak odrodzon, srogo mścić się będzie:
Twór dłoni człeczej, — godząc w piersi człeka.

Niech się człek zawziął wydrzeć matce ziemi
Kruszec miesięczny, który ta, przy skale
Piersi swych, dłońmi trzyma kamiennemi,
Od kropli w kamień kapiącej wytrwale
Uczyć się musi cierpliwego chcenia.
Więc gdy w nim opór żądze rozpłomienia,
Nie pewny jutra, ani kresu dzionka,
W podziemnem państwie z nocą wiekuistą
Ryje się kretem ślepym, czołga glistą,
I czeka w znoju, rychło mu zabrząka
Stal w sposób dźwięczny gdzieś między granity—
Iż wtedy wydarł macierzy jej dziécię.
I ma nad głową zwieszone brzemiona
Co chwila runąć sposobne, a przecię
Nie złoży broni — aż swego dokona.

A tedy kruszec, w krągły pieniądz zbity,
Zgubi go z duszą — iż mu ją zaprzeda.
Tak mogąc gròb nań podkopanym głazem
Zwalić, mieć woli, iżby chciwa bieda
Zginęła cała — ciało z duszą razem.
Tak mści się matka przez dziwne karanie,
Iż wypatrzono, co schowała w łono,
I mieć zachciano — a czego dostanie
Nie prędzej chyba... ażby je zraniono.—

Cóż męże Grecyi? — Oni coraz wznioślèj
Na kupach wrogów pod Nieba wyrośli.
Coraz ich mnièj jest, i niby ubywa.
A jednak, w tęgiej razów trzaskawicy,
Wzmaga się odpór, i też moc straszliwa.
Co padnie który, zastęp bladolicy
Wnet mrowiem trupów mogiłę mu ściele,
Czém coraz górnièj puchnie krwawa niwa.
I zda się, z jednèj ubytkiem prawicy,
Wzmagać się innèj w moc za prawic wiele.
Coraz ich niby mnièj, lecz pozostali
Biją i za tych, co już popadali,
I też za siebie. A jako w pożodze,
W którèj się płomień z wichrem zmówi srodze,
Kiedy ostatnia krokiew z trzaskiem padnie,
Już tylko niby, wbity kędyś na dnie,
Po mdłych płomykach, na zgliszczach pożaru,
Dym się zakurzy rozwłócząc szeroko,—
Tak padł ostatni w równi z wierzchem jaru,
Na stosie trupów dymiącym posoką.
Ot i most k' przejściu!... Takto, znosząc tamę
Persy zawzięte, aby przeszli sami —
Bez innèj rady, własnemi piersiami
Wypełnią wywóz aż po wierzchy same.

Nie ma co więcéj rzec. W tém jedném słowie
Wszystka się chwała wszej Grecyi wypowie.

W brzask ranny, chciwi łupów i zdobyczy,
I liczby ległych, znajdą Perskie męże,
Iż ich tysięcy dwakroć dziesięć lęże,
Greków zaś trzykroć gdy po sto policzy.
A też i wszelka zdobycz im uciecze,
Gdyż ci, nagiemi tylko legli ciały,
Jako je matki z łona w świat wydały,
I jeno w dłoniach ich strzaskane miecze
Za łup wszelaki.
Patrząc król z wysoka,
Zmieni się w licach i w światłości oka,
I ból mu w wnętrzu, jastrzębiemi szpony,
Rozdrapie smutek tylko że uśpiony:
— Co? tylko trzysta? I co? tylko trzysta?—
I sen niedawny, niby chmura mglista
Z cierniowéj tkanki, choć niby pajęczéj,
Zciśnie mu serce i srogo udręczy:
„Na jednéj szali wszystkiéj Greckiéj doli
Dział, a na drugiéj—Perskiéj. W tém dział wraży
Pójdzie ku górze, a Perski przeważy.
Lecz ciężąc dziwnie zapada w otchłanie...“
— Czyżby w otchłanie?— I w myśli mu stanie:
Drzewo, zawzięte choć już trupem padnie —
Kruszec, co mieczem krwawym zmartwychwstawa —
I z łona ziemi, serce mściwe zdradnie...
I pojrzy król on, kędy niwa krwawa
Pożętym plonem krok mu naprzód pęta,
I też na wojsk swych zastęp niewolniczy.
Mocci tam sroga, i wola zacięta,
I liczba sroga, jako i nie zliczy,
I most ma k'przejściu, i też syt jest chwały,—
A przedsię głową zachwieje zwątpiały.

Nie ma co więcéj rzec. W tém jedném słowie
Wszystka się chwała wszej Grecyi wypowie.

Otoć skończono, jako i poczęto,
Widzącéj duszy uroczyste święto...
Kapłanko wiedzy! Wiedźmo znakomita!
Niech koniec pieśni z ostrz twych, jako trąca
Ostrz twój i strunę z któréj dźwięczy życie...
O święte cienie! czyliż przebaczycie,
Że nie zaznany piewca — Moc widząca,
Nie gwoli sławie swéj, lecz waszéj cześci,
W lat dwa tysiące trzysta i trzydzieści,
Ortyjskim śpiewem twardy rytm wyzgrzyta?..
O Mocy Boża! któréj świetlne tchnienie
Razem promieni i brzmi nieskończenie,
Spraw, by pieśń moja nie była niczyją,
Daj, bym nie zginął, jak i oni żyją
Których śpiewałem. A wy, wielkie dusze!
Kiedy was żegnać, acz żałosny, muszę —
O święte cienie! wszak wy mnie powiecie,
Efialt bo chyba nie istniał na świecie?
A tak się skończy — jak się i poczęło.
Żegnam was! żegnam! Koniec wieńczy dzieło.—

CO TO WŁOSZKA?

Niejednokrotny pobyt we Włoszech, dokąd co rok dla zdrowia z kraju jeździmy, i nienajgorsza znajomość włoskiego języka podały nam sposobność poznania nader dokładnie mieszkańców półwyspu, i wtajemniczyły nas w ich obyczaje i życie. Po gruntowniejszém obeznaniu się z fizyologią krajowców, wprawiła nas w osłupienie własna nasza dotychczasowa niewiadomość—oraz niewiadomość większości pisarzy i podróżnych, we wszystkiem co dotycze włoskiego społeczeństwa, charakteru i obyczajów. O ile głęboko i dokładnie poznano historyą starożytności i sztuki tego kraju, o tyle mało zwrócono uwagę na żyjący organizm narodu, na codzienne jego objawy, słowem na życie domowe i nieskończone odcienia narodowego charakteru włochów. A jednak niepospolitą żywotnością i oryginalnością musi być obdarzony naród dążący od dziesięciu wieków, pomimo jedności w utopii tylko istniejącéj, do coraz ściślejszego

zjednoczenia się i sprzężenia wszystkich żywiołów działalności swojéj, naród puszczający w średnich wiekach ze starego pnia rzymskiego owe najrozmaitszych i najśmielszych kształtów latorośle municypiów i rzeczypospolitych włoskich, wyrywający z siebie samego, wśród wiecznego szczęku broni i krzyków domowéj wojny, nieporównaną harmonią języka swego, który z pochwyconego tchnienia tysiącznych namiętności i tysiącznych nadziei, w pierś jednego człowieka, w pieśń jednego wieszcza, w słowo jednego przedstawiciela, kształtuje się, uśpiewnia, mową narodową się staje w ustach Danta, jak rozliczne podmuchy powietrzne stają się akordem dźwięków przewiewając przez harfę Eola. Zaiste, tak potężna żywotność wygasnąć dotąd nie mogła, jakkolwiek wrzekomo przypopielała silnym ulegając rozczynnikom. Wszystko co głoszą od pół wieku o zupełném wyrodzeniu się i upadku włochów, jest prawdą, ale tylko połowiczną, cząstkową; naszém bowiem zdaniem naród posiadający ognisko objawionéj prawdy i stolicę podania Bożego, umrzeć nie może, i zepsucie lubo trawiące i pozorny sprowadzające rozkład, nie ima się nigdy części żywotnych jego organizmu, tak iżby o zupełną śmierć przyprawić go miało. Znane są powszechnie republikanckie zamachy Mazziniego, sprawa Neapolitańska, tenory i prime-donne, tudzież facchini niemiłosiernie obdzierający podróżnych, *soprani* Syxtyńskiéj kaplicy i piękne włoskie niebo uśmiechające się niby nad strupieszałą Italią; ale szumni o Włoszech rozprawiacze mało lub nic wcale nie znają pięknéj, duchowéj i dzielnéj strony tego ludu, wszystkiego co ją podnosi i unieśmiertelnia, pisarzy takich jak Cesare Balbo, Rosmini i Gioberti największy i jedyny może od Platona filozof; tych olbrzymich patryotów i myślicieli, te surowe poważne promienie Dantejskiéj aureoli na czole pię-

knéj Italii więdniejącém pod różami na które nieodmiennie skazano jéj skronie.

Ale opuszczając to pole spostrzeżeń sposobniejsze dla filozoficznego pisarza niż dla fizyologa obyczajowego, z nadzieją iż sumienna i nieuprzedzona ręka odsłoni kiedyś przed obcemi ludy duchowe tajniki włoskięgo narodu i zbierze w jednę wiązankę wszystko co się da ku temu zgromadzić w umysłowéj i filozoficznéj dziedzinie, przejdziemy do przedmiotu dostępniejszego i mniej potrzebującego głębokich zacieków, od rozległej syntezy nad duchem i narodową żywotnością do pobieżnéj analizy, do mikroskopicznych uwag, jakie każdy przyjaciel wszedłszy do salonu sąsiada i rozsiadłszy się w wygodnym fotelu czuje się w prawie czynić za pomocą swego szkiełka nad osobami pijącemi herbatę u okrągłego stolika. Życie domowe i charakter włoskiego społeczeństwa, jakeśmy wyżéj rzekli, mało są dotąd znane za Alpami; jaki taki wędrowiec przebiegłszy w przeciągu dwóch miesięcy cały półwysep, i zapełniwszy pamiętnik podróżny notatkami o galeryi Pitti we Florencyi, wielkim tygodniu w Rzymie, i Lazzaronach w Neapolu, za powrotem do domu wydaje swoje *Scenes de la vie Italienne,* i puszcza w obieg parę mniéj więcéj udatnych powiastek pełnych masek, trucizn, *vendetty,* i zagorzałego kochania. Powiastki te bardzo korzenno zaprawne sztyletami, sonetami i fiorituramі, obudzają zajęcie, wywołują poklaski, zyskują wstępny bilet do Panteonu arcydzieł: autor nad własne spodziewanie płynie na laurowym listku do nieśmiertelności: *sic itur ad astra.* Należy jednak dodać że tego pana w towarzystwach włoskich nieprzyjmowano wcale, bo znający dobrze obyczaie tutejsze wiedzą z jaką trudnością cudzoziemiec bywa przypuszczon do domowego Włochów pożycia i jak niezbędnym ku temu warunkiem jest znajomość języka tak nieskończenie okwitego w odcienie i nieujętości, w któ-

rym spoczywa niejako klucz stósunków towarzyskich i bliższego zapoznania się z krajowcami. Czcigodny zaś autor napuszył pomienione powiastki kilkoma frazesami pożyczonemi u kelnera hotelu lub kieszonkowego słownika, okupił gotówką podejrzaną nieco łaskę pozbawionego niespodzianki *apputamento (rendez-vous)*; włożył koronę włoskiéj *marchesy* na skronie swéj bohaterki przyznając się od niechcenia do jéj szalonéj miłości, wytrącił walecznie szpadę z rąk *brava* zaczajonego pod balkonem Dulcynei, pokrył to wszystko żółtą lub różową okładką w wydaniu biblioteki kolei żelaznych: i otóż masz wizerunek Włoch, Włochów, Włoszek i rzeczy włoskich!

Nieprzypisując sobie równego udziału w miłosnych eksperymentach ani spuszczając naszych okresów po jedwabnéj drabince kołyszącéj się między gitarą u dołu a na wpół podniesioną maską u góry, rzucimy okiem na piękniejszą połowę narodu włoskiego, zostawiając politykom, powieściopisarzom i innym różnorodnym deklamatorom studja nad włoskim mężczyzną, nad jego upadkiem, zniewieściałością, liberalizmem i głosem, jednóm słowem zajmiemy się nieco włoską niewiastą. Dla czegóż bowiem nieróścilibyśmy sobie prawa jako podróżujący do zdejmowania wzorków z tak pięknéj i romantycznej istoty, skoro p. Wielogłowski nieruszając się z miejsca zajął się także lepiéj znajomą Polką i zfotografował ją na stronnicach swego pisemka przy świetle krytyki i promieniach stylu? Czyż nam nie wolno będzie za jego przykładem zaciągnąć do naszego album miniaturowéj acz odmiennéj fotografii spromieniwszy bengalskie odblaski fantazyi na kilka malowniczych niewieścich postaci zabłąkanych gdzieś w cieniu drzew pomarańczowych?...Ale mylimy się, wyobraźnia tutaj żadnéj nie będzie grała roli, a światło przez nas rzucone na obraz, będzie białém dziennem światłem.

Zaledwieśmy orzekli przedmiot ekscentrycznych naszych studjów, a już ztąd widzimy namarszczoną brew nadwiślańskich i zabużańskich czytelnic, tych samych które p. Wielogłowskiemu darować niemogą jego niewiast samobrednych, nerwowo-romantycznych i duchowo-eterycznych; widzimy te wszystkie trzy nie arystotelesowskie wprawdzie kategorje zapytujące nas z ironicznym uśmiechem o potrzebę podobnych studjów nienarodowych i bałamutnych, chcę powiedzieć wynikłych wedle wszelkiego prawdopodobieństwa z empirycznego bałamucenia istot, które miały służyć za wzory pisarzowi; słyszę sypiące się uwagi nad niewczesnością Lesażowskiego rzemiosła i podnoszenia gdzieś daleko cudzych dachów by spojrzeć w serce kobiety nieznanej i nie swojéj? Niech nam także wolno będzie zapytać azali piękne czytelniczki nie czują się w siłach wytrzymać porównanie z tą nieznaną i nie swoją kobietą, lub też zwątpiły może o trwałości własnego panowania nad sercem płci silniejszej, którejby wszelako jedno ich spojrzenie wystarczyć powinno dla zniweczenia obcych wpływów i czarów i pokazania ich własnéj wyższości?

Doprawdy kulawemu diabełkowi teraz nawet gdy rozpoczyna rzemiosło swoje nieprzychodzi na myśl wątpić o wyższości nad resztą kobiet duchowo-eterycznych aniołów; owszem zamierza je wprowadzić jako probierczy kamień do niniejszych uwag swoich, zostawując pięknéj czytelnicy rozróżnienie blichtru od złota, a sam się ograniczając na prostej opowiedzi bez komentarzy, na przedstawieniu rzeczy bez wyprowadzania wniosków. Co zaś do własnego mniemania i upodobań, zasłania je tym ezopowym milczącym uśmiechem co to tyle rzeczy daje do zrozumienia i szańcuje nietykalność skrytych swoich sympatyj garbem także ezopowym, bo dla czegóż diabełkiem kulawym będąc wyżéj przytoczoném anielskiém zdaniem nie miałby posiadać i gar-

bu swego? Wszak ta ułomność jest dowodem ujemności powabów i niepodobania się kobietom bez względu na ich narodowość, a zatem rękojmią bezstronności pisarza i usprawiedliwieniem jego z zarzutu, iż bałamucił w empirycznych celach.

Niektórzy serca ludzkiego badacze przypisują zalety południowych kobiet brakowi emancypacji pomiędzy niemi, oraz oczywistej podrzędności względem mężczyzny jakiej ulega dotąd Włoszka pomimo wnikającego coraz głębiéj zachodniego usamowolnienia w warstwy społeczności włoskiej. — To słusznie oburzające płeć piękną twierdzenie niosłoby jako konieczne za sobą następstwo że przywary w innéj części Europy plamiące białość tych Aniołów, a podzielone od p. Wielogłowskiego na trojaki rodzaj chorób, trzebaby przedewszystkiem przypisywać republikanckiéj równości i niwellacyjnéj modle jaką przeprowadzono przez stanowiska płci obojej. Inném loiczném następstwem podobnego poradoksu, lub jeśli chcą sofizmatu, byłby wniosek, że dla wyleczenia piękniejszej połowy rodzaju ludzkiego z trojakiej onéj choroby w stronach, gdzie takowa grasuje, a zaszczepienia natomiast południowych zalet i zdrowia z Włoch sprowadzonego, należy położyć veto na trzy czwarte niewieściech przywilejów i zyskać unieważnienie praw jakich nasza słabość i uwielbienie same na sobie wymódz dały. Że zaś przeprowadzenie i zastósowanie téj teoryi zawiodłoby prostą drogą społeczeństwo do koranu, i cofnęło mężczyzn do czasów, kiedy wedle Lukrecjusza w poemacie jego *De rerum natura*, z mułu ziemskiego wyszedłszy i na czworoku się goniąc, żołędzi za pokarm używali, jestto pewnik na który każda czytelnica z zamkniętemi oczyma przystanie; wypada zatém z przekonania i z grzeczności usunąć niebezpieczny aksiomat, i mówić o Włoszkach *academicamente*, to jest na wiatr, oznaczając ich zalety bez poszukiwania źró-

dła zkąd wypływają; bo system początków pociąga za sobą system następstw, którego ostatniém słowem, jak wszystkich prawie dzisiejszych teoryi filozoficznych, bywa absurdum.

Z francuskich, ile wiem pisarzy jeden tylko Stendhal (Bayle) wybornie znał Włoszki i towarzystwo włoskie, i przeto jego *Chartreuse de Parme* zostanie jedném z tych nieśmiertelnych obyczajowych jak Dickensa lub Coopera romansów.

Wielcy mistrze włoscy przenieśli na płótno urocze kształty niewiasty swego kraju i unieśmiertelnili jej postać: Guido Reni w Beatryksy Cenci, Leonardo w Giocondy, Rafael w Fornariny, Tycian w Belli wizerunkach. Postać ta uidealizowała się pod piórem podobnie jako pod penzlem, i Laura Petrarki, Fiammetta Boccacia, Ermengarda Manzoniego, Silvia i Nerina Leopardego, Ildegonda Grossego, Francesca i Ludovica autora Więzień, tchną nieśmiertelnym wdziękiem i jakąś italską posągową rysów czystością. Dotknąć się istoty, która jednym i drugim za wzór służyła, odmalować ją taką, jaką jest w rzeczywistości, byłoby to za zuchwałém pokuszeniem się dla pieszej muzy naszej. — Niech przeto nikt w tych kilku słowach nie szuka fizyologii Włoszki, jej moralnego i towarzyskiego w całéj wielkości portretu. Niezdolniśmy uczynić dla niewiast świeckich tego, co Ojciec Ventura dla biblijnych uczynił. Są to tylko pobieżne uwagi w rodzaju tych, jakie pozbierać się dają za jedném pomknięciem szyldkretowéj lornetki w dobrze oświeconym teatrze po obliczach znanego towarzystwa.

Bo któż w rzeczy samej zdołałby ująć i przerobić na słowa moralny wyraz téj istoty tak namiętnéj i tak rzewnej, tak głębokiej i tak prostej, tak niepowstrzymanéj w zapędach, i tak rozmodlonéj w uniesieniach, téj istoty energicznej i słabéj, kochającéj i dumnéj, ideal-

néj i zmysłowéj, ognistego serca, omdlałych ruchów, powłóczystego spojrzenia; tej despotki i tej niewolnicy, która Włoszką się zowiąc, rozkazuje ze łzami a błaga cię z gniewem? która gdy kocha niema względów dla siebie, a gdy nienawidzi niema litości nad tobą? u któréj dziecinny podziw igra często pod zwilżonym rzęs aksamitem, a często sybillińskie natchnienie promieni się w źrenicy, jeśli przypadkiem jaka błędna zwrótka doleciała jej ucha z mijającéj wśród nocy gondoli, lub jaka woń ukryta na samém dnie bukietu coś jéj przypomniała, lub jaki obraz niewidomy zesłupił jéj spojrzenie wpróżną dal błękitną w pusty przestwór laurowych szpalerów? Zaiste byłoby to samo co chcieć przenieść na płótno lub papier cały kalejdoskop kolorów mieniący się tutaj przy słońca zachodzie, co pióro puszczać w pogoń za uciekającym arabeskiem dłutowania Celliniego, lub za fioriturą Frezzolini, co chcieć opowiedzieć śpiew słowika lub grę Ristori.

Wszystko co jest nieskończenie żyjące i samodzielne pod słowne obliczenie podciągnąć się nieda: słowa są bowiem tylko matematyką myśli.

Timantes, malarz grecki, rozpaczywszy o wyrazie, jaki miał nadać rysom Agamemnona przy ofierze Ifigenii, wyraził strapionego ojca z zapuszczoną twarzą: gdybyśmy chcieli malować indywidualności lub kreślić charaktery jako je La Bruyére i Larochefoucauld kreślili przyszłoby nam dla naszéj nieudolności wyprowadzić cały szereg postaci pod zasłoną; przesuwałyby się wówczas same sylwetki, i chybaby je po chodzie tylko poznano: *incessu patuit dea.*

Gdy polski Don Żuan przybyły dla zdrowia po zabawę zachodzi po raz pierwszy do włoskiego salonu we Włoszech, z głową pełną otellowskich widziadeł, z kotwicą nadziei śmiało zarzuconą w odmęt miłosnych przygód i wplątaną w jedwabną intryg gmatwaninę, ostrzy

on spojrzenia, szlifuje frazesą, pokłada nieograniczoną ufność w lekkiém zawichrzeniu czupryny, tudzież w dowcipie świeżo naczytanym z sześciotomowego kanarkowego romansu, który prosto wiezie z Paryża. Ze strategiką godną lepszéj sprawy szykuje baterye okresów domówionych, w czas przerwanych lub wcale pokrytych nawiasowo wtrąconém milczeniem; gotuje się do rozpoczęcia krzyżowego ognia przyzwoito dwuznacznych *bons mots;* przypomina sobie postawy *irrésistibles* z melodramatycznych studiów paryskich, które go już dostatecznie z Włoszkami obeznały; oczywista rzecz, że jedna z nich na cel wzięta, oblężona z napoleońską zimną krwią i jeniuszem, ścigana w ostatnich szańcach przez szczęśliwego zdobywcę uledz winna niewątpliwie. Zresztą nie pierwsza to próba, i po kulisach paryzkich równie jako po warszawskich salonach już mu się nieraz udała.

Wielkiem jest przeto jego osłupienie, gdy na kosztujący kilka godzin stroju rynsztunek, Włoszka wcale nie zwraca uwagi, gdy ognista jéj źrenica nie zapala się na sypane w kadrylowym przestanku komplementa, gdy nie chwyta i nie odrzuca mu piłki dowcipu, jak to maski zwykły czynić na balu wielkiej Opery; gdy całe jego *pozowanie* bezskutecznem się okazuje, a nawet przeciwnie w kole kobiet wśród gry wachlarzy i migania czarnych źrenic i białych kamelij, nasz Don Żuan słyszy jakiś szmer niepochlebny: *Quanto questo Signore è caricato!* Co dobrą króla Baltazara polszczyzną wykłada się: *Mane, tekel, fares,* czyli: Wynoś się z salonu.

Włoszka już bowiem z wrodzonym sobie artystycznym smakiem i z dziwnym serca instynktem oceniła i poznała od razu przesadę i miłości własnéj rachubę, w całéj téj zelecance Don Żuana, tak jak poznaje skażony styl w grupach Berniniego i w malowidłach kawalera d' Arpino.

Aby trafić do serca tych dziwnych kobiet trzeba być przedewszystkiem samym sobą w ich przytomności: jest to może jedyny sposób uchodzenia przed niemi za innego niż się jest w istocie. Salonowa strategika i uświęcone zwyczajem podstępy bywają natychmiast zwietrzone i udaremnione. Włoszka lubi prostotę w obejściu się a niespodziankę i samorzutność w uczuciach, *l'improviso, il senza perché* (w tym kraju sama miłość jest improwizacyą), lubi aby się więcéj myślało jak ją kochać niż jak być kochanym od niej. Przygotowane *a priori* uwielbienie i zapał wyrachowany ku zagarnieniu jéj względów, zimne znajdą u niéj przyjęcie: bo ma ona w sobie za nadto nieudanéj dramatyczności aby się od razu nie poznać na aktorstwie, i żywot jéj za nadto należy do dramatu, iżby ją komedja oszukać potrafiła. Żąda by to uwielbienie, ten zapał, rodziły się niejako pod jéj okiem; potrzebuje się czuć ich twórczynią, odgadnąć ciebie za nim się sam odgadniesz, być w tobie przed tobą samym Kolumbem miłości jaką wznieca, odetchnąć pierwsza wonią rozkwitającego pączka, zdobyć panieństwo uczucia; chce aby twe serce szukało jéj oddania się przez własne oddanie się w jéj ręce, lecz nie cierpi aby ją ciągnęło za sobą przemocą powabów, gdyby wojenną brankę; gotowa odpłacić z okładem: za dumna by się poddać. U niéj miłość jest zapomnieniem siebie saméj, i z tego własnego poczucia rodzi się w niéj wymaganie, aby się często, jeśli nie zawsze zapomniano dla niéj. Gdzie indziéj miłość niebywa tak wymagającą bo oddanie się nie jest tak zupełném.

W zachodnich i północnych krajach niewiasta nie pod jednym względem zrównana z mężczyzną w społeczeństwie, zapragnęła panować nad nim w miłości, chciała zostać bożyszczem okadzanem przez licznych czcicieli, więcéj być kochaną niż kochać. Jéj nieukrócona

panowania żądza starała się pokryć zbytkiem władzy brak siły i zdolności zewsząd przebijający przez pozorną równość i utworzyła sobie kodeks konwencjonalny z właściwą terminologią, wedle któréj sama się ochrzciła godnością niewieścią: odtąd mężczyzna musiał podawać jéj miłość na klęczkach, a ona mu w postaci pani i władczyni dumną wzajemność rzucała z góry, z wysokości apoteozy, do jakiej podnieśli ją byli średniowieczni trubadurowie bałwochwalczo głoszący w balladach i zapisujący wśród turniejów na tarczach swoich: *Mon Dieu et ma dame.* W południowych zaś krajach a mianowicie we Włoszech, cześć kobiety nieistniała nigdy w ten sposób jak u ludów germańskich i celtyckich; w krwawych zatargach gwelfów i gibellinów zapełniających cały niemal przeciąg średnich wieków, podobnie jak pośród wiekuistego polskiego obozowania, nie miano czasu uwielbiać niewiastę ani bawić się całopaleniem przed jéj wdziękami; tam grzeszna Ewa nieprzywłaszczyła sobie jak na północy części hołdu należnego Niepokalanéj Dziewicy, ani otrzymała posłannictwa cywilizowania barbarzyńców, bo na staréj łacińskiéj ziemi, jak w Grecyi cywilizacya nie była rośliną exotyczną, a Klotyldy, Dąbrówki i Jadwigi nienawracały Włochów. Może też w kraju będącym po ziemi świętéj kolebką i ogniskiem Kościoła, chrześciańska zasada podległości kobiety względem mężczyzny nie dała się rozwinąć romantycznym teorjom i niewieściej apoteozie. — Podaję, że śmiałością to twierdzenie, bowiem nawet Beatryx Danta, ów najczystszy kwiat ludzkiego ideału, dla tego tylko tak się wzbija ze sfery na sferę i tak się promieni uśmiechem swym mającym pociągową własność ciał niebieskich, iż nie występuje jako niewiasta, lecz jako żywy symbol objawionej prawdy. Cześć zaś oddawaną kobiecie przez szkołę Platońską, którą Marsilius Ficinus wznowił, Kozmas i Wa-

wrzyniec Medyceuszowie popierali, a Angelo Poliziano, Pico della Mirandola i mnóstwo innych krzewiło, cześć, za któréj ostateczne wyrazy można uważać z jednej strony Laurę Petrarkową, będącą z resztą bladym tylko abrysem Beatrixy z drugiej sonety Michała Anioła i Wiktoryi Colonna, poczytywać rączéj należy za przemijający odcień Platońskiej nauki, samowładnie wówczas umysłami rządzącej, niż za stałą cechę literatury lub obyczajów włoskich, jak to było u plemion germańskich i w poezyi minnesängerów i truwerów.

We Włoszech przeto niewiasta dotąd *de facto* podrzędna w społeczeństwie przyjęła zasadę zupełnéj równości w kochaniu. Nie zażądała na prawie miłości jaką wzbudza miejsca samowładnej bogini panującej bezpłatnym czcicielom, ani posady ideału; niezapragnęła uczucia którego niepodziela li tylko aby być czczoną i panować.

Opinia publiczna we Włoszech rychłoby potępiła niewiastę wodzącą za sobą orszak wielbicieli, a niedającą poznać światu, którego z nich nad innych przenosi. Opinia ta pobłażliwa aż do zbytku dla zdrożności mających swe źródło w sercu i namiętności, uświęcająca poniekąd oczywiste wykroczenia, gdy je okrasza pewien popęd serdeczny, pewne *estro amoroso*, jest nielitościwą dla słabości pochodzących z głowy, dla niewieściej pychy i samolubstwa, i przeto tak zwana kokietka jest nieznaném we Włoszech zjawiskiem.

Brio bowiem włoskie nie jest naszą kokieterją.

Tak za prawdę, wada lub jak inni chcą zaleta, najpospolitsza u nas między kobietami, którą z francuzka kokieteryą zowiemy, nie istnieje na półwyspie w znaczeniu, jakieśmy zwykli przywiązywać do tego wyrazu. Może to co mówiemy wyda się niesłychaném i paradoksalném czytelniczkom naszym; lecz że to szczera prawda każdy mi poświadczy ktokolwiek bliżej obeznany

z towarzystwem włoskiem. — Ale jakże zapytają mię, Włoszka tak namiętna, tak czuła, tak słynna z miłosnych swoich przygód, niemiałaby być kokietką?—Właśnie dla tego iż wiele i namiętnie czuje wolną jest od własności płeć piękną wszędzie prawie cechującéj; uczucie bowiem — to zagłada i śmierć kokieteryi. Potrzeba kochania jest wrodzoną tym córkom słońca i sztuk pięknych, potrzeba podobania się ustaje dla nich skoro pierwsza zaspokojoną została, lub wyraźniej mówiąc skupia się całkiem na człowieka, który zyskał ich względy; bo łatwiej znaleść różę bez woni niż Włoszkę bez miłości. Zalotność zwrócona ku liczbie mnogiej uchodzi między niemi za rzecz potworną; kobieta wszystkim podobać się albo raczéj wszystkich rozkochać usiłująca, zostałaby natychmiast odstąpioną od wszystkich. *Civetta*, rzeczownik poświęcony we Włoszech kokietkom i sowom, jest coś tak zelżywego dla kobiety, iż wówczas gdy na dane sobie miano *amica* lub bliższej przyjaciołki czyjej często się nie obruszy, pierwsze uważa zawsze za niesłychaną obelgę. Wyraziłem pewnej Włoszce zdumienie moje nad tym zupełnym brakiem między niemi przywary, z którą się w Polszcze rozminąć nie mogłem, która jest niejako wrodzona trzem kategoryom p. Wielogłowskiego, bowiem małe dziewczątka u nas, dobrze pierwej niż ich serduszko zapuka, mizdrzą się i *pozują*; odpowiedziała mi z południową żywością i bez żadnych ogródek: — *E segno che le vostre donne non hanno cuore* [1]).

Jako antyteza powyższego zdania przychodzą mi na myśl słowa pewnego gastronoma z moich przyjaciół, który utrzymywał, iż kobieta bez kokieteryi jest to potrawa bez soli.

---

[1]) Znać że wasze kobiety nie mają serca.

Widzę że skoro zacząłem mówić o niewieście włoskiej już wyraz miłość znalazł się kilka razy pod mojem piórem, jak gdyby imiona jednej i drugiej utożsamione były. Tak jest w istocie; pisać o Włoszce jest to pisać o kochaniu, jednak muszę się ograniczyć na kilku postrzeżeniach, jak uprzedziłem, bo niezamierzam kreślić fizjologii miłości, jak wspomniony Stendhal uczynił: byłaby to treść przechodząca moje siły rozległością i wzniosłością swoją. Może gdybym rzucał podobne niniejszym uwagi nad niewiastami innego kraju rozliczne typy cisnęłyby się do kartek moich; mężna Judyt, natchniona Joanna d' Arc, tkliwa Małgorzata Fausta, rozsądna Drużbacka towarzyszka Pani de Sévigné, jenijalna Pani Sand, piękna Pani de Récamier, awanturnicza Lolla Montes, i tysiące innych postaci przesuwałyby się z kolei przedemną w nieskończonej rozmaitości charakterów i zawodów. Naprzykład polska matrona stanęłaby w moich oczach: najprzód jako córka i matka, z całą swoją powagą i godnością w całej surowości świętych obowiązków, narodowego posłannictwa i beznamiętnego żywota; w Angielce widziałbym najprzód turystkę, w Niemce gospodynię, w Amerykance opiekunkę murzynów, w Turczynce odaliskę, w Indjance bajaderę, w Rosyance dyplomatkę i uczennicę Katarzyny II w powściągliwości, we Francuzce dowcipne wszystko razem, i t. d..... Włoszka jest przedewszystkiem oblubienicą, kochanką: gdy o niej piszę bratni cień przyjaciołki Abelarda nachyla się ku mnie, tęskny głos Pani de La Vallière woła mię do karmelitańskiego schronienia, gdzie święcone marmury, serca wyziębić nie mogą, a gdy zamykam oczy, widzę na tle ciemności, jak białych gołąbków parę, Franczeskę i Paola miotanych od wiekuistej burzy:

Quali colombe dal disio chiamati...

U kobiet w ogólności miłość, jak powiadają, jest to większa połowa żywota; u Włoszek stanowi jego całość. Charakter ich wtym względzie jest tak jednostajnym jak Niebo ich ojczyzny jednostajne w swoim bezchmurnym lazurze. Przyrodzenie samo półwyspu określone w zarysach i wydatne w barwach nie usposabia panienki ku północnym dumaniom; nie rozmarza jéj duszy. Zbywa mu na ossianiczném nieokreśleniu mgły i światłocienia, które pędzi wyobraźnię w labirynt urojeń a serce w nieskończoność pragnień; na tych odcieniach szarych będących żałobą w którą się tęsknota północnej dziewicy obleka jak krajobraz w pochmurność dni jesiennych. Ale za to gorące barwy przyrodzenia niecą w jej duchu wczesne ciepło, słońce obrzucające rumianém i lazurowém kwieciem migdałowe i broskwiniowe drzewa za nim się zieleń liścia rozwinie, wprawia jéj władze w przyspieszony rozkwit; język całkiem dla miłości stworzony przenosi już słodycz wyznań kochanka na usta jej matki i piastunki, cudne formy sztuki wpadają przez oko do duszy jak ziarna miłości, a muzyka, druga Italii mowa, sączy się zewsząd w jéj ucho, wtoruje wszystkim jej myślom i czynom, i serce zawczasu pobudza do szukania sobie wtoru...

Miłość jest duchową atmosferą w któréj Włoszki żyją i oddychają. Włochy (Hiszpanii bowiem nie znam, a więc o niej sądzić nie mogę) są podług mnie ze wszystkich krajów stałego lądu jedynym, gdzie jeszcze miłość ma wiarę. Uczucie to, aby istnieć w tłumach potrzebuje serc pełnych wiary i ust niewykrzywionych śmiechem. Protestantyzm zabił je wszędzie, kędy przeszedł. Dowcip Woltera okrył śmiesznością skrzydlatego bożka; a Encyklopedja była jego trumną. Uczuciowy galwanizm za pomocą którego starają się dzisiaj na zachodzie i na północy ożywić mary wyobraźni, popędy miłości własnej i chucie organizmu, nie jest miłością.

Miłość jak wiara była i będzie zawsze rzeczą serca nie zaś wyobraźni, rozsądku, lub zmysłów. Gdzie dowodny rozbiór i dyalektyka kacerska nie ciężą jak grzech pierworodny we krwi pokoleń, tam dotąd miłość, któréj potrzeba zawsze pewnego panieństwa moralnego i duchowego ciepła do rozwoju, wykwita z wiary jako jéj pierwiosnek. To może wytłómaczyć zdoła jakim sposobem we Włoszech, pomimo niezaprzeczonego upadku dzielnych, jędrnych i wzniosłych uczuć, wierzyć dotąd nie przestawszy nieprzestali też kochać, podczas gdy w rozumującéj i protestanckiej Europie, w rycerskiej i dowcipkującej Francji, miłość wyziębiła się i skarłowaciała przeszła jako odznaczająca cecha od tłumów do jednostek i została nareszcie zamkniętą do romansu, gdyby do domu warjatów. Wyglądać tylko, rychło jaki Niemiec ze szkoły Wolfa i Straussa do mytów ją policzy dowiedzie w kilku ogromnych foliałach, że bożek Eros był alegorją czegokolwiek, i że jego cykl zamknął się na wiek wieków. Za ważném, za czynném, za kapłańskiém było nasze stanowisko w dziejach aby to przedsłodkie uczucie mogło się było stać wybitną cechą naszego społeczeństwa; nasze niewiasty nie były to erotyczne Lesbianki ani Prowensalki utrzymujące dwory miłości, *les cours d'amour,* ale mężne Spartanki, które oddając tarczę synowi i życząc powrotu z boju mówiły mu: *Z nią lub na niéj!* W dzisiejszém zaś naszém przesiąkłem zachodniemi uczuciami, wyobrażeniami, literaturą i niemal powietrzem towarzystwie, nie mamy ani cnót ani wad własnych, i gdyby nie najświętsze przywiązanie do ojców naszych puścizny, którego nasza niewiasta tu i owdzie jest jeszcze Westalką, nieraz doprawdy przyszłoby zwątpić o niej. Gdyby u nas silnie wierzono i kochano, nie byłoby niewiast samobrednych, nerwowo-romantycznych i duchowo-eterycznych: są to grzybowate narośle ciała narodowego wyskakujące na wierzch

w cieniach zachodniego sceptycyzmu i wśród chłodnych więziennych pleśni.

We Włoszech nie zostawiono jeszcze miłości studentom i dramatycznym pisarzom; wierzą w nię nie inaczéj jak za złotego wieku italskiego Janusa, a co więcéj kochają się jak dawniéj. Pewna się uroczystość i powaga przywięzuje do tego uczucia, a kochankowie są przedmiotem uszanowania, jakie porównałbym chętnie do czci otaczającéj na Wschodzie obłąkanych, gdzie im przypisują bezpośrednie z bóstwem stósunki. Nikt się nie wypiera, nie wstydzi i nie wyszydza miłości; spotęgowana ona jest niejako do godności czynu: Włosi mówią *far l'amore*; to zaś wyrażenie niema nic wspólnego z gminnem *faire l'amour* francuskiem, i żadna się myśl trywialna nie wiąże do niego. Miłość bywa też głównem a często jedyném zatrudnieniem Włoszek.

Shakespeare z dziwną trafnością pochwycił charakter miłości włoskiéj; Romeo i Giulietta są żywemi prawdziwemi postaciami, tak jak jest prawdziwą świeżość rannego świtu, która ogarnia niepamiętną parę i wieje ci na czoło, kiedy czytasz tę nieśmiertelną scenę, jak jest prawdziwym śpiew skowronka dolatujący ucha twego z głębi każdego wiersza jak z bruzdy zieleniącej się roli. Kochanie to ich jest kochaniem nieskończonej liczby włoskiej młodzieży; dramatyczności nawet poeta nie wymyślił: znajduje się ona w życiu Włoskiem i towarzyszy jak cień narodowemu charakterowi, tudzież warunkom, jakim co krok ulega tutaj rozwój każdej skłonności. Młode dziewczęta mniej nierównie swobody we Włoszech niż u nas mające, acz gorętszą obdarzone wyobraźnią i charakterem, z okna tylko najczęściej widują kochanków. Uczucie ich obudza się niespodzianie, magnetycznie, na przechadzce lub w kościele (gdyż nie wszędzie we Włoszech panny bywają na balach i wieczorach), zupełnie jak się działo za czasów Petrarki,

który Laurę pierwszy raz podczas nabożeństwa ujrzał i pokochał. Daléj rozwija się pod wyzywającą tajemnicą na pół spuszczonéj żaluzii, zkąd ognista *occhiata*, spojrzenie czarnookiej samotnicy, umié wśród tłumu znaleść odrazu miłego swego, spaść na niego błyskawicą i wszystko wyrazić jemu. Nie raz kwiatek symboliczny zleciały z drugiego piętra, jedno skinienie jak myśl szybkie, jeden ruch, jedno nic, uzupełniają wyznanie i pomagają porozumieniu się zobopólnemu; bowiem w tych telegraficznych kochanków dyalogach słowa prawie żadnego niezajmują miejsca. Wyręcza je symbolika spojrzeń i znakow stokroć wyrazistsza, zwięzlejsza i właściwsza tym południowym naturom. Mowa ócz doprowadzona u nich do stopnia doskonałości, który zdaje się nam niepodobieństwem; w Sycylii toczą się długie rozmowy na spojrzenie n. p. z jednéj loży do drugiej; żrenice zadają sobie pytania i przysyłają odpowiedzi z dokładnością i zrozumialością nie do pojęcia. Często dwoje młodych ludzi przez całe lata w ten sposób, jak u nas mówią romansuje czyli *fa l'amore* nie zbliżywszy się nigdy ani przemówiwszy do siebie; zwykle ich położenie towarzyszkie, wychowanie, majątek, nazwisko nawet przez niemały przeciąg czasu bywają im wzajemnie niewiadome. Włoszki w tem bowiem mają się całkiem odwrotnie do Polek, a przynajmniej do wielu Polek...

Tutaj powtarzam, że ilekroć czynię podobne porównania, przytaczam proste przykłady bez nagany ani pochwały dla téj lub owej strony...

U młodych panien na północy pomienione warunki przeważną dzisiaj grają rolę; i osobistość kawalera jest najczęściej rzeczą dodatkową. Winien on koniecznie zdobyć szaniec miłości własnej, aby się dostać do ich serca. Tytuł zagraniczny, dowody rodowitości zapisane w *Gniaździe Cnoty* Paprockiego ze znanym dodatkiem:

starodawny i zacny lub *prześwietny dom*; wielkie dostatki rzucające na czoło kochanka jak gdyby jakiś odblask z *Tysiąca nocy i jednéj* lub z głośnéj jaskini hrabiego Monte-Christo; nadewszystko sława, sława, i wawrzyny, czy to miecz oplatające, czy czarodziejski smyczek wędrującego Orfeusza: jakież to niezaprzeczone prawo do ich miłości, ba, do największych, do najzupełniejszych poświęceń i ofiar... Być kochanką sławnego człowieka, jego muzą, jego duchem Sokrata, przyjaciołką, żoną, służebnicą i jeszcze więcéj... czyżto nie zapewnione w Panteonie miejsce obok Eleonary d'Este, Fornariny, księżnej K... W... lub Lizety Béranger'a, i stala w nieśmiertelności? Inaczéj bowiem być nie może tam gdzie wyobraźnia jest panującą władzą, gdzie nie konstytucyjnie z uczestnictwem innych władz duchowych, lecz samowładnie rządzi kobietą!...

Włoszka w kochanku swoim widzi przedewszystkiem człowieka; gdy się doń przywiąże, obojętną dla niej staje się rzeczą czy on z wielkiego czy najniższego rodu: o tytuł się nie zapyta, i takowego z ust jej prawie nieposłyszysz, bo kobiety na półwyspie skoro się z kim zaprzyjaźnią lub go ukochają, mają zwyczaj wnet go nazywać po imieniu, a do tego jeszcze w drugiej osobie liczby pojedynczej, co się naszym damom wyda nieskończenie *shocking!* Sława nie ma zbyt wielkiego przystępu do ich serca; a nadto, jakże ogromną ona być musi we Włoszech aby dojść nawet do miernych rozmiarów! Jakież imie nie korłowacieje na tej klassycznej ziemi olbrzymów? jakaż wielkość nie schodzi tam do rzędu łokietków i pigmejczyków przy kolosalnym wroście przeszłości? Ucho kobiety tak się tam oswoiło od dzieciństwa z trąbą sławy i grzmotem oklasków, że znakomitości są niejako dla niej codziennėm zjawiskiem i patrzy na nie z tą samą obojętnością z jaką zwykła spoglądać na okrzyczanych skoczków z nowego baletu..

Zresztą ileż to artystów w ojczyznie Rafaela i Tycjana, Palestriny i Belliniego, Kanowy i Teneraniego, Rubiniego i Pani Ristori, w kraju, gdzie wszystkie sztuki są u siebie w domu, a muzyka jest równie powszechną jak mowa gdzieindziej!

Winienem także zapisać jednę osobliwość charakteru Włoszek, która się u nas szczególniejszą wyda: lubo piękność mężczyzny, piękność rysów i wyrazu jest głównym działaczem miłości, w kraju gdzie wszystko uzmysłowione, małą one przywięzują wartość do gimnastycznej, że tak powiem, strony męzkiej piękności tak wysoce od naszych kobiet cenionej; mniejszość tylko we Włoszech tańczy, nie każdy jeździ konno; nadto zbytnia ruchliwość, zwłaszcza na balach, odstręcza kobiety zamiast je przyciągać; powaga i spokojność w mężczyznie nierównie więcej do nich przemawiają i są od nich uważane, jak mi to jedna Włoszka tłómaczyła sama, za rękojmię głębokości i stałości uczuć. Dziwna zaiste ta kraina estetyki i kontemplacji, gdzie spokój jest głównèm piętnem krajobrazu, gdzie modlitwa i miłość zamieniają się obie w nieruchomy zachwyt, a jeden posąg Fidjaszów z całą martwością swoją więcej stokroć podoba się kobietom niż najskoczniejszy tancerz polki i najgrzywiastszy lew ze *steeple-chase!* Bądź dla ogólnego zmiękczenia obyczajów, bądź co bardziej podobna, dla nierównie wytrawniejszéj niż u nas oświaty upatrującej wyższość mężczyzny jedynie w moralnych jego zaletach, ćwiczenia fizyczne, odwaga nawet żołnierska, wszystko zgoła co tchnie cielesną siłą jest obojętnem Włoszkom i nie wchodzi w ich miłosne rachuby. Ruch najdzielniejszy objaw téj siły, niececbuje także włoskich obyczajów, nie jest tutaj znamieniem uzewnętrzniających się uczuć. Ten brak jego zresztą zdaje się być własnością wspólną południowym i wschodnim plemionom: *Khief* turecki i *far niente* włoskie, spokrewnione z sobą,

są podług mnie czemś więcej jak zwyczajném próżniactwem. Błądzi ten kto uważa ruch za celniejszą oznakę życia a ruchliwość za nieodstępną towarzyszkę południowej żywości. Ruch na południu w tym samym prawie stopniu co na wschodzie, jest rzeczą anormalną, a więc niemal zawsze gwałtownym i gorączkowym objawia się sposobem. Spokój maluje się w naturze i w ludziach, nie martwy spokój stref zamrożonych i bezrozumnych istót, ale cisza wiecznej pogody w przyrodzeniu, a w człowieku jakoby błogie zawieszenie zewnętrznego procesu życia w koło duszy napawającej się wewnętrzną jakąś rozkoszą, jakobyześrodkowanie wszystkich władz i czynności żywotnych we dwa najduchowniejsze zmysły widzenia i słuchu, i ciągły stan kontemplacyjny.... Pewna omdlałość odbija się we wszystkich giestach i postawach Włoszek i unosi się nad ich *brio* czyli żywością, jak te gorące pary, które przycieniają w Italii jaskrawść widnokrężnych zarysów, i są cudownemi mgłami podsłonecznych krajów. Kobiety te mają pewne nieporównane *smorzato*, jakąś nie naśladowaną opadzistość nagle ciszejącego głosu jak muzyka, gdy się oddala, i ruchów niedokończonych i gdyby w lot przełamanych niewidzialnym ciężarem z puchu i naskubanego kwiecia.... Ale za to ich oko jest wiecznym Proteuszem i kameleonem; na jego to widowni obłączystej jak abrys ich teatrów, pod ruchomą rzęsów kortyną, odgrywają się całe dramata i dusza uwidomiona pławi się w ognistym źrenicy płynie: dla tego to może Dante w swoim *Convilto* czyli *Biesiadzie* nazwał oczy Włoszek balkonem ich duszy... Atoli ich wźrok także miewa znieruchomienie swoje, i to co u nas w Polsce nazywają patrzeć jak w tęczę, co krok tutaj się napotyka. Włoszki lubią aby się w nie słupem wpatrywano, i nieraz spotykałem w teatrze młodych ludzi stojących, gdyby posągi przez kilka aktów: nic

nie zdradzało w nich życia; byłbyś przysiągł, iż zkamienieli jak Niobe lub zamienili się w bryłę soli, jak żona Lota. Ich oko było niezmiennie wlepione w kobietę siedzącą w loży, która zdała się być wielce radą temu optycznemu magnetyzowaniu: Któraż by dama w Warszawie lub Paryżu nieobraziła się taką kilkogodzienną kontemplacją, i nie powiedziała, że ten pan ją *kompromituje?....*

Co zaś do bezinteresowności, Włoszki są prawdziwie do zadziwienia! Mniéj ulegające zachodnim wpływom mody i zbytku od naszych niewiast, nieznają nawet połowy tych sztucznych co nasze potrzeb i wymagalności.

Cóż to za miłe wrażenie sprawia na naszej panience konkurent przybywający w zalecanki kształtnym jakby dziś ukończonym powozem na którym z angielska przebrany woźnica popędza dzielną czwórkę rasowych pegazów? Jeśli do tego dostrzeże przypadkiem hrabiowską miskroskopiczną koronę na drzwiczkach odmykanych przez lokaja w liberyi, czyż podnosząc ramiona z litością nieodwróci się niecierpliwie od szlachetnego a ubogiego młodziana, który w téj saméj chwili w oknie stojąc śmiał miłosne wyznanie szepnąć jéj do ucha, który krwawo pracuje na utrzymanie biednéj matki, po francusku nie mówi, niechce nosić tytułu nadanego sobie w szesnastym wieku przez Cesarza niemieckiego lub Króla hiszpańskiego, a którego pradziad podpisywał się jak Zamojski *eques Polonus ducibus par*, i był zwany po prostu jaśnie wielmożnym wojewodą od jednego ze setnych ekonomów swoich, a pradziada wysiadającego w tej chwili hrabiego?...

Ale ród wielki zubożał, bo kiedyś tam kilka pułków własnym kosztem uzbrojono, a resztę zabrano. . . młodzianowi guwernera nie wzięto. . .

O! czemuż niepośpieszy piękna panienka wyjść za włoskiego margrabiego lub księcia, i wynieść majątek z kraju!... Przynajmniej to panowie z panów, a byle miała trzykroć lub nawet dwakroć posagu, z pewnością sobie tytuł z mężem kupi, bo we Włoszech posagi nadzwyczaj małe, a młodzież szlachecka nosi imiona historyczne i ubiega się zapamiętale za cudzoziemkami, czego co dzień jestem świadkiem!. . .

Są nawet jeszcze Sforzowie, a przez nich się można skoligacić z wygasłym Jagielońskim domem. . .

Dostanie tak zwane *trono* na przedpokoju: jest to wedle zwyczaju włoskiego obicie z kilkustopowemi herbami wyszytemi na zielonym aksamicie; purpurowy baldachin je przykrywa: jakże tam ślicznie klejnot polski odbijać będzie przy gwiazdach Altierich, potrójnéj górze Chigich, gałkach Medyceuszów, niedźwiedziu Orsinich, łabędziach Palavicinich, a nawet przy dorobkowiczowskiéj książęcej komecie Torloniów i kozie Graziolich!

Włoszka gdy ukocha cię w purpurze, jeśli łachmany wdziejesz, kochać nie przestanie. Jestto może jedyna na świecie kobieta, któréj serca blaskiem olśnić niepodobna, jedyna u któréj miłość pozorna nie da się zabić śmiesznością. Uczucie w jéj oczach obleczone taką świetnością, iż nie tylko, że niém frymarczyć się wzdryga, ale nawet banalne stósunki, w mniej szlachetnej i duchowéj towarzystwa sferze — zachowują pozory uczucia, i nie zyskują się u Włoszki tak jak wszędzie. Datek pieniężny, jeśli go nie wymaga najsroższa nędza, z trudnością od niéj bywa przyjęty; za to podarunki jako dowody pamięci nie zawsze są odmówione, lubo zupełny brak onych nie osłabia ani zrywa stósunków. We Włoszech bowiem błędy niewieście, choć częstsze może jak u nas, wypływają zawsze z uczucia lub temperamentu, często z potrzeby, a nigdy z pychy i chci-

wości. Trzeba się koniecznie podobać Włoszce, aby zyskać jej względy; nawet tak zwane gryzetki, acz różne od paryzkich, zachowują w téj mierze prawdziwie rzymską dumę. Kobieta we Włoszech nie wtedy zostaje potępioną, kiedy upada, lecz kiedy upada bez miłości; osobliwie jednoczesny podział względów i rozdawnictwo onych w liczbie mnogiej, piętnuje ją na zawsze.

Wspomnieliśmy wyżéj o współuczuciu młodych ludzi nie ustającém przez lata całe; wybitną bowiem cechą miłości we Włoszech jest trwałość. Wielceby się mylił ktoby sądził, iż płochość i niestałość chodzą w parze z południową naturą i namiętnością prawie zawsze gwałtownie wybuchającą; wyobraźnia bowiem Włoszek nie jest rozmarzoną, nie egzaltuje się na zimno; rozsądek właściwy łacińskim plemionom nie opuszcza ich w ocenieniu człowieka, na którego nie patrzą nigdy przez pryzmat własnego urojenia; przeto nie uniknione w naszych miłościach rozczarowanie rzadko kiedy u nich następuje. Serce przedewszystkiem jest stroną czynną w ich skłonnościach, serce podsycające owe straszliwe pożary, które się zapalają nie na płytkich mieliznach wyobraźni, ale w żywotnych głębiach istoty, które się przeto wszystkich władz imają, wstrząsają duchem i ciałem, i ciągną za sobą nieznane u nas spustoszenie na podobieństwo afrykańskich huraganów i burz pod równikiem. Takie namiętności, takie cierpienia serdeczne doskonale orzeczone przez włoskie słowo *smania*, któremu na próżnobyś szukał odpowiedniego w innych europejskich językach, są nam tylko znane z niektórych opisów, co to je matki u nas starannie przed córeczkami chowają, by się nie stały nerwowo-romantycznemi, i nie nauczyły się uczuć nieistniejących w naturze. Zdaje mi się, że ta obawa słuszna, ale wiadomo że u nas pożary uczuciowe rzadko kiedy wychodzą za obręb wyobraźni, a więc z jednakową łatwością zajmują

się i gasną. Dodam jednak jeszcze, iż tylko u nas słyszałem o uczuciach, których się nauczyć można, i przeproszę także mamy szanowne za zadawanie fałszu przez troskliwość dla córek wspomnionym opisom: istnieją owszem na świecie podobne namiętności i niestety! okropne czasem sprowadzają następstwa, jeśli im nadzieja odjęta, ale niech mamy będą spokojne: córki ich choćby wszystkie przeczytały teorje miłości, nie doznają nigdy tych pożerczych płomieni!

Fałszywą więc jest zasada, aby namiętności południowe dla tego iż są gwałtownemi i niszczącemi, miały rychło przemijać. Niestatek w miłości tam się prawie wyłącznie spotyka, gdzie wyobraźnia jest w kobiecie władzą wyłącznie, czującą i kochającą.

Zdarzyło się zapewne niejednemu, być jakto mówią szalenie kochanym od niewiasty północnej, a po rozłączeniu kilko miesięcznem, bo o latach niemasz nawet mowy, zastać ją zimną, sztywną i jakoby niepoznającą?

Niewiasta ta wyobraźnią a nie sercem kochała.

Że włoszki długo a czasem przez całe życie jednego kochają, i rzadko zapominają—świadkiem mi każdy co się do nich zbliżyć zdołał. Niestałość między niemi nie miewa tych samych co u nas wymówek, i zwykle plami charakter osoby, która się z nią poznać dała. Zresztą płochość, kokieteryi siostrzyca, ucieka od tych serc głęboko czujących.

Właśnie gdym kreślił niniejszą charakterystykę, którą umyślnie dawałem do sprawdzenia rozumnéj i światowéj włoszce, tłumacząc jéj spostrzeżenia moje, aby przekonać się żem niewolniczą wierność w rysunku zachował i was o takowéj przeświadczyć, — wpadła mi w ręce powieść p. Kraszewskiego „*Pod włoskiém Niebem*“; którą mi jeden z rodaków przysłał do Florencyi, gdyż tutaj o książki polskie nie łatwo. Niewątpię, iż wielkie

otrzymała powodzenie w kraju, bo, jak słyszę, kilkokrotnie onę przedrukowano, ale szczególniejszy to wyznać muszę utwór dla tych, którzy go w rzeczy saméj pod włoskiém niebem czytają, i znając nie zgorzéj piękną Italią są w możności sprawdzenia opowiedzi znakomitego autora. P. Kraszewski za wysoko stoi jako pisarz narodowy, aby mała uwaga nad drobną jedną powiastką z niepospolitém zresztą talentem skreśloną, mogła uwłaczać mistrzowskiemu jego pióru, ale jak każde słońce ma on swoje plamki, i z wysoka świecąc gardzi czasem dokładnością i wiernością w oddaniu prawdy; nieraz skrzydła jego fantazyi (tak bowiem nazwał swoją powieść) unoszą go za daleko od prawdopodobieństwa i zdradzają zupełną nieznajomość przedmiotu.

Niewiem czy był kiedy we Włoszech, ale bardzo wątpię, bo przecież policzyć go nie wolno do rzędu turystów, o których wspomnieliśmy na początku tych uwag.

Pomijając niewłaściwość imion osób występujących w powieści, które wszystkie prawie są hiszpańskie a nie włoskie, jak np. Juanito zamiast Giovanni i Nino, Pepita zamiast Peppino i Peppa, Lucio zamiast Luciano; Charita, któréj podobnie jak Dolores i Carmen niemasz w całych Włoszech, i signor Maledetto, któremu warto było doprawdy ładniejsze i prawdopodobniejsze wynaleść imie, pomijając mnóstwo usterków w tém co malarze zowią *la couleur locale*, pisemko to grzeszy nadzwyczajną nieznajomością charakteru włoskiego. Owa Pepita (?) sprzedana przez Paola Transteveranina ohydnemu signorowi Maledetto, za którego książe Torlonia chce wydać córkę swoją (wiadomo że ów książe znany w całéj Europie, dzieci nie miał jeszcze gdy powieść p. Kraszewskiego wydaną została, i dopiero w r. 1855 po kilkunastu latach małżeńskiego pożycia z księżniczką Teressą Colonna urodziła mu się córeczka Marya Concetta

którą jakkolwiek sam z ojca dorobkowicza urodzony, wątpię aby chciał kiedykolwiek wydać za kupca, i jeszcze takiego jak signor Maledetto), owa Pepita, mówię jest zalotną dziewczyną z warszawskiego baletu lub z teatru trzeciego rzędu w Paryżu, jest loretką uwiedzioną przez studenta z *quartier latin*, ale nie rzymianką i służyć nie może za uosobienie i przykład charakteru włoszek i ich miłości. Nic zgoła w téj fantazyi nie masz włoskiego oprócz tytułu i miejsca będącego widownią wypadków.

Jako najlepszy dowód nieprawdziwości całéj osnowy téj powieści przytoczę tu drobne wydarzenie: Niedawno byłem na wieczorze u margrabiny R...... florentynki która jest właścicielką tego ślicznego pałacyku nad brzegiem Arno zwiedzanego od tylu cudzoziemców. Gdy o literaturze zagranicznéj rozprawiano, gospodyni prosiła mię o przełożenie utworu którego z naszych pisarzy. Przeczytawszy na drugi dzień po włosku *Farysa*, i kilka wyjątków z *Przedświtu* które niesłychany wzbudziły zapał w tém towarzystwie południowém tak wrażliwém, tak głęboko czującém, chciałem niedowierzając samemu sobie przekonać się o wartości opisowéj dziełka p. Kraszewskiego, i zacząłem je czytać następnych wieczorów w szybko dokonanem przekładzie do którego mi dopomógł pan M. C. włoch, doskonale po polsku umiejący. Obecne kobiety sarkały bez przerwy na powieściopisarza; gdym jednak mimo nieustannych a wielu nieprzychylnych wykrzykników: dotarł do końca, taka burza powstała na Pepitę i na p. Kraszewskiego że chciano z całą południową porywczością sprawić na salonowym kominku *autodafé* tłumaczenia i oryginału, który leżał przy mnie. Nawet dowcipny dziennikarz ukryty w groźném milczeniu za prześlicznym posągiem Bartoliniego, zkąd przysłuchiwał się czytaniu ostrząc zapewnie *in petto* miecz krytyki, wypalił nazajutrz w znanym dzien-

niku florenckim *l'Arte* sprawozdanie z polskiéj powieści pod tytułem *Poche parole intorno ai racconti fatti sulle donne italiane dai nordici scrittori.* Wybór zaś naczelnego napisu wyjętego z Danta, jak ten który p. Kraszewski położył na początku swéj powieści, i jak wszystkie napisy florenckich sprawozdań, tchnął doprawdy włoską nieubłaganą vendettą:

E la lor cicca vita è tanto bassa,
Ché avidiosi son d'ogni altra sorte.
Fama di loro il mondo esser non lassa;
Misericordia e Giustizia li sdegna:
Non ragioniam di loro, ma guarda e passa.
(Inf. c. III.)

Jeśli mnie kiedy czas pozwoli a sposobność dopisze, opowiem wam w kilku słowach wypadek, który istotnie spotkał w Rzymie młodego Polaka, który *faceva l'amore* z Transteweranką zwaną Ghita czyli Małgosia. Widywałem nieraz koło kościoła ś. Cecylii za Tybrem tę śliczną dziewczynę ogorzałą od słońca jak brzoskwinia i puszystéj i rumianéj płci jak ona, i niestety! zazdrościłem nawet trochę szczęśliwemu przyjacielowi... Posłuży wam to za próbkę charakteru Transteweranek i za skalę prawdy zawartéj w powieści szanownego autora....

Ponieważ odbiegliśmy nieco od przedmiotu, niech nam wolno będzie korzystać z tego zboczenia, aby dodać jednę jeszcze nawiasową wzmiankę, może nawet ten chwilowy odstęp przywiedzie nas napowrót do założenia naszego, gdyż nie jest mu całkiem obcym. Wspomnienie p. Kraszewskiego obudziło w nas wspomnienie Deotymy; od kiedy bowiem czytaliśmy parę listów znakomitego autora poświęconych wieszczce i jéj talentowi, odtąd te dwie postacie stały się jakoś nierozłącznemi w myśli naszéj i widziemy je wciąż razem jak one podwójne

głowy na starych pieniądzach w jeden laur oprawne. Z przyjemnością dowiadujemy się, iż nadwiślańska improwizatorka ma podobno wkrótce przybyć do Włoch, do téj ojczyzny improwizacyi. Wielu z naszych ziomków cieszy się egoistycznie z tego przybycia, to jest w nadziei rozkoszy, jakiéj doznają bądź słuchając młodéj Polki natchnionéj widokiem téj Florencyi, gdzie się błąka dotąd cień uroczéj Beatrixy, bądź tłocząc się w około niéj na tym kapitolu rzymskim, gdzie Korinna improwizowała. Jesteśmy na nieszczęście dzieckiem wieku naszego; czucie nasze zużyło się i wytarło w towarzystwie trzech kategoryi p. Wielogłowskiego, jak ten stary pieniądz o którym mówiliśmy dopiero; codzień opłakujemy tę nieudolność do zachwycania się pisaną i deklamowaną poezyą; ale cóż robić, kiedy samo milczenie posągów pod portykiem *degli Uffizj* i sama grobowa cisza zwalisk Romy, głośniéj do nas przemawiają niż wszyscy poeci i poetki; głos ludzki, ba, nawet kobiecy, komentujący na miejscu to milczenie, tę ciszę za pomocą cezury i końcówki, Bóg wié czyby nas poruszyć zdołał.... Cieszymy się więc z przyjazdu Deotymy bardziéj dla niéj saméj niż dla jej słuchaczy. Niewątpiemy iż zechce się ona zbliżyć do sławnych włoskich improwizatorek jak np. pani Fantastici-Marchesini we Florencyi, a pani Ferretti i hrabiny Orfei w Rzymie. W pierwszém mieście odwiedzi także zapewne słynny w całych Włoszech literacki salon margrabiny Lenzoni Medici, gdzie dotąd przechowują się poetyczne podania Italii szesnastego wieku, i Wiktorya Colonna znajduje godną siebie naśladowczynię w pani Carniani-Malvezzi tłumaczce Cycerona i Popa. Przyznać musiemy ze smutkiem, iż jedyna improwizatorka nasza zachorowała na Germanizm, nie umiejąc po niemiecku, na jego mgły i erudycyą; straszą nas w jéj ostatnich utworach te alegorye filozoficznych abstrakcyj, te przeróżne pomiotki

poezyi, to widoczne w niéj pasowanie się prawdziwego talentu i polskiéj natury z niemieckim transcedentalizmem, ze czczością, z nicestwem, które sili się okształcić, uobrazować. Błogie zetknięcie się z wyżéj wymienionemi osobami, a nadewszystko z włoską ziemią, matką sybil, ufamy iż ją uleczy zupełnie. Prostota, forma, plastyczność, zbiegną ku niéj jako dziewicze muzy z arcydzieł sztuki i z samego krajobrazu; wszechobecne piękno i słońce rozgrzeją jéj serce równie jak towarzystwo włoskich kobiet, jeśli niezechce podobnie do wielu ze swoich rodaków zamknąć się uporczywie w swojém kółku, albo żyć samopas jak ich większość. Wszak chcąc odnowić i użyznić naszą literacką niwę, winniśmy, po ożywnych źródłach Zygmuntowskiéj Polski, udać się do włoskich źródeł, zkąd czerpali Kochanowscy, Górniccy, Skargowie, cała słowem Polska przez kilka wieków.— Nasza cywilizacya, nasza narodowość, nasz duch, jak wszystkich katolickich narodów są południowego i łacińskiego pochodzenia, a Italia jest naszą wspólną babką, bo słowianizm nasz, to tylko panteistyczna i niebezpieczna mara. Jedna godzina na łonie téj babki spędzona stanie się korzystniejszą dla Deotymy jak wszystkie jéj zaświatowe wycieczki w królestwo ducha, cudowne dla dam i krytyków warszawskich, ale smutne dla ludzi kochających ją i bezstronnych, którzy z żalem widzą, że od jakiegoś czasu nie orle już skrzydła natchnienia unoszą młodą dziewicę, lecz balon wedle ostatnich mechanicznych wydoskonaleń urządzony... Ale czas wrócić z tak długiego zboczenia, aby ostatnie słowo powiedzieć o Włoszkach.

Zarzucano im nieraz że kochanie posuwają zbyt często do jego ostatecznych granic, a niejedna czytelniczka zabieży mi drogę z tym zarzutem popartym całém oburzeniem jéj moralności, i świadczyć będzie przeciwko bronionym przezemnie niewiastom całą czystością swe-

go niezmazanego nigdy żywota. Wyznać muszę, że podobny zarzut jest słusznym po części. Włoszki walczą często z miłością rozpaczliwie, po bohatersku; o takiéj walce dała wyobrażenie naszym ziomkom pani Ristori w sławnéj *Francesca di Rimini*, ale częściéj jeszcze upadają jak Francesca upadła. Miłość ich gwałtowna jak Wezuwiusz, porywająca jak natchnienie, zawrotna jak zapał Kumejskiéj Sybilli, rzuca je z duszą i z ciałem u stóp kochanka. W dziewicach nawet włoskich niewinność teoretyczna rzadko się spotyka, jest to zresztą zbyt słaba zapora dla namiętności, która na wzór rzymskiéj *girandoli* [2]) obsypuje ich duszę kwiatami czarodziejskich wrażeń, a ich zmysły palącemi iskrami niepojętych rozkoszy. Taka natura, taka namiętność innéj jak zwyczajna potrzebują broni gdy się idzie z niemi w zapasy, tłumaczą one Tebaidę i zakon żywcem pogrzebanych, *le vive sepolte*. Aby więc silniejszą nieco stawić im zaporę, doświadczeni rodzice znając swoje córki, z okna tylko, jak przedtém wspomniałem, dozwalają panience spoglądać na miłego swego.

Zresztą któż zechce bezwzględnie potępiać Włoszkę li tylko z miłości upadającą? krewkość jéj straszliwych znajduje sprzymierzeńców: muzyka ją wplata zewsząd w czarodziejskie koło harmonii; powietrze którém oddycha, zda się omdlewać pod ciężarem wonności; posągi utajone w ciemni laurowych chłodników czarują jéj oczy kształtami greckich półbożków....W dziecinnym jeszcze wieku przebiega ją nie raz dreszcz niepojęty podobny do drżenia strun gitary i liścia pod nagłym wiatrem. Słońce ją piecze, krew pali, przyroda upaja; widzi jak kwiaty mdleją w gorące włoskie południe, a spojrzenie młodziana od południa gorętsze...

Któż zechce ją bezwzględnie potępiać?...

---

[2]) Fajerwerku.

U nas kobiety są nierównie moralniejsze, rzadko upadają i brzydzą się upadkiem. Petrarka i cała szkoła platoniczna z XVI wieku uznaliby je za godne naśladowczynie Laury i Wiktoryi Colonna... Tylko jak wszelka cześć wyższym istotom oddawana, obrządki platonicznéj miłości słyszałem iż miewają swoje ofiary i całopalenia. Ofiarami tych pięknych a nieskazitelnych bożyszcz stają się młodzieńcy lub mężowie z grona familijnego wyrwani ich urokiem; całopaleniem zaś pokój zgoda rodzin, a ofiarnym ołtarzem — rozwody. Wszystko co dowcip i fantazya, którymby Ariost i Henryk Heine pozazdrościli, wszystko co pięknośč kształtów podniesiona wyższością umysłową i blaskiem talentów użyczyć mogą z wszechmogących przyłud i nieodpartéj ponęty, staje się orężem w ręku onych pół-bogiń, onych Armid, dla utrzymania w kwiecistéj i jedwabnéj niewoli Rinaldów swoich, dla doprowadzenia ich uczuć do szału, a ich zmysłów do wściekłości. — A gdy znużona ofiara pada pod ich wzrokiem, ich tchnieniem, ich czarem, i błaga je o nektar, który wciąż umykają przed nią jak przed Tantalem, z którym się usuwają coraz daléj jak *fata morgana*, okazują jéj znagła zimną nieruchomość posągów przy posągowych drażniących postawach, i surowość ateńskiéj Pallady zamienionéj w Mentora i nauczającéj Telemaka obowiązków swoich....Tak zaiste, kobiety te są cnotliwe, bo występek, jak wiadomo polega całkiem *in ipso facto*.

To już poznawszy z ich przykładu z jaką łatwością kobiéta może pozostać cnotliwą, i utrzymać się bez szwanku na śliskiéj pochyłości, któż nie chwyci za kamień i wraz z niemi cisnąc go niepospieszy na upadającą Włoszkę, któréj oczywista rzecz że ani namiętność, ani temperament, ani zewnętrzne wpływy uniewinnić nie zdołają, gdyż nic nieusprawiedliwia upadającéj kobiety?..

Lecz nas samych cóż usprawiedliwi przed potrójną p. Wielogłowskiego kategoryą ową nieubłaganą troistą Hekatą (a Hekate, jak wiadomo, jest tylko pseudonimem wiecznie zimnéj i czystéj Dianny). Zejmuje nas pewna obawa, aby pomimo stałego zamilczania naszéj własnéj opinii o Włoszkach i Polkach, i przytaczania gołych faktów, nieumieściła ona naszéj osoby obok Homerowskiego Tersita, Scarrona, Jarosza Bejły, it.p. tudzież nieróżnego od nich Pietro Aretino, któremu położono za grobowy napis następujący wiersz:

Qui giace l' Aretin, amaro Tosco
Del semen uman, la cui lingua trafisse
E vivi, e morti. D' Iddio, mal non disse,
E si scusò col dir: Io nol conosco.

„Tu leży Aretyn, Toskańczyk, gorycz rodzaju ludzkiego. Język jego przeszywał żywych i umarłych. Przecież jednemu tylko Bogu niebluźnił i wymawiał się z tego powiadając: Ja go nie znam.“

Ale my równą nieznajomością kobiet wymówić się nie zdołamy.—

Florencya Grudzień 1856.

M. Bystrzewski

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

O Janie Potockim i jego Romansie, napisanym po francusku a teraz spolszczonym pod tytułem: Rękopism znaleziony w Saragossie.

Przed kilkunastą laty, dziennik francuski *La Presse* wielce pod ówczas znienawidzony, ale mimo tego niezmiernie czytany, umieścił był w feuilletonie jakieś osobliwe przygody, jakiegoś awanturnika w Hiszpanii; było to opowiadanie tak pełne poetycznéj fantazyi, tak porywające oryginalnością sytuacyi, że świat czytający nietylko z gorączkową ciekawością wyglądał dalszego ciągu, ale i dziwił się jakim sposobem tak szczęśliwy utwor znalazł się pod piórem autora pamiętników Margrabiny de Crequi podpisanego pod ową powieścią?

Dalszy jednak ciąg zajmującego feuilletonu niepokazał się nigdy; lecz natomiast czytaliśmy w kolumnach dzienników a następnie w sprawozdaniach *Gazette des Tribunaux* oskarżenie *Pressy* i podpisanego autora, o kompilacyę zapomnianych dwóch romansów: *Avodoro* i *Dix journées de la vie d' Alphonse van Worden*, przyczém wydało się, że właściwym ich autorem był: Jan hr. Potocki. — Wyznaję, że moja narodowa duma niezmiernie podniesioną była tém zdarzeniem; kto bowiem pamięta jakiemi to potęgami byli wówczas w codziennej

literaturze francuskiej: Balzak, Dumas, Eugeniusz Sue, Jerzy Sand — ten pojmie, ile pochlebiającym musiał być ten tryumf dla wszystkich rodaków Jana Potockiego, kiedy ukazanie się jednéj z jego powiastek wywleczonej z zapomnienia, zrobiło więcej wrzawy niż wszelkie inne feuilletonowe publikacye, a zrobiło nie tylko samym ztąd wynikłym procesem, ale i rzetelném zajęciem się publiczności fracuskiéj.

Pressa zbita z tropu, sponiewierana przez nienawistne jéj gazety, niechciała dalej prowadzić zaczętéj powieści kiedy ją można było znaleść w kramie antykwarskim, lub w jakiej czytelni; czegom mocno żałował, będąc oczarowany urokiem tej bezprzykładnéj fantazyi, w porównaniu z rozwodnioną i wyśrubowaną fantazyą dzisiejszych europejskich pisarzów powieści i romansów.

W kilka lat później dowiedziałem się z wielką przyjemnością od p. Edmunda Chojeckiego, pisarza z talentem, że miał w rękach swoich oryginalny utwor Potockiego, pod ogólnym tytułem: *Manuscrit trouvé à Saragosse*, i że go wytłumaczył na polskie. Niebawem téż ukazał się przekład jego w Lipsku nakładem Bobrowicza w sześciu sporych tomach.

Niewiadomo mi, czyli ówczesne pisma publiczne zwróciły na tę nowość uwagę, lub też przepuściły ją w milczeniu, lekceważąc, jak każdy przekład francuskiego romansu; — chociaż przy ściślejszem zastanowieniu się, przez to przepolszczenie wracało tylko do nas, co było naszą własnością. Zapewne, że język francuski, którym pisarz ten lubił myśli swoje wyrażać, pozbawiał literaturę naszą połowy praw do tego utworu; lecz z drugiéj strony sam wynalazczy pomysł, rozwinięcie onego, powiązanie szczegółów, mistrzowska charakterystyka, bezdenna nauka i zdumiewająca znajomość miejsc i ludzi, a nadewszystko ta jego fantazya wulkaniczna nie lawę dymy i żuzle miecąca, ale strugi złota i diamenty —

czyliż to wszystko nie było własnością przyrodzoną człowieka, który nie tylko wziął życie na tej ziemi, ale ją szczerze miłował, a nawet w ciężkich chwilach i do prac narodu należał?

Nie potrzebuję przypominać, ile w upłynioném stóleciu literatura, a nadewszystko filozofia francuska wywierała wpływu na umysły; rzecz to wiadoma, ale niewiem czy sobie zrobił kto tę uwagę, iż natura tego wpływu była stokroć groźniejszą dla wszelkich różnic i znamion narodowych, niż jest dzisiejsza gallomania, albowiem ścierała ona i z serc i głów wszystko, cokolwiek wyrobiło się w nich pracą kilkunasto wiekowych tradycyj, i społeczeństwo, jakby wytrzeźwione z bogactw i nabytków duchowych i rodowych, popadało naaz w jakąś czczą formułkę nadającą mu blichtr bezbarwnego kosmopolityzmu. Uczucie narodowe napadnięte wielkiemi słowami: światła, wolnomyślności, cywilizacyi, poloru, gustu, przytem nieświadome swojéj istoty, bo nieumiejące jeszcze zastanawiać się nad sobą aby potęgować własne siły żywotne, poddawało się temu wpływowi prawie bez walki, robiąc ogromną hekatombę z wiary, tradycyj publicznych i domowych, obyczajów, zwyczajów, stroju, a nawet macierzystego języka.

Do tego to wieku należał Jan Potocki, a jako jenialny umysł, pełen przytem nadzwyczajności charakter, rzucił się weń, i zapragnął nauką przebić się przez ten świat, który niekończył się na jego własnéj ojczyźnie, ale obejmował całą półkulę. Europa, Azya i Afryka stały się celem jego podróży i badań historycznych, archeologicznych, chronologicznych, etnograficznych. Od granic Chińskich po stubramne Teby przetrząsł wszystkie początki ludów — bo historya początków wszelkich społeczeństw najeżona najdziwaczniejszemi terminami i dziwaczniejszemi hipotez mi ciągnęła ku sobie ten umysł roświecony szaloną pamięcią, jak w przepaść. Gdy pra-

ce tego rodzaju obchodziły nie jeden kraj, ale całą ludzkość, trzebaż je było wyrażać w języku ówczesnej ludzkości; czyli po francusku, zwłaszcza, że łacina, ten język powszechny uczoności pokąd nauka krzewiła się pod skrzydłami Kościoła, wyszła już była z używania. Potocki tedy pisał po francnsku i myślał jak ówcześni filozofowie, mimo tego w pracach uczonych, i to najważniejszych niespuszczał z oka własnego kraju o tyle, o ile ten wchodził w jego poszukiwania historyczne i archeologiczne co do początków ludów osiadłych na ziemiach słowiańskich; co właśnie stanowi dowód, jak lubił uogólniać naukę, i podnosić ją prawie do rzędu abstrakcyi. Dążność ta zrobienia nauki własnością powszechną, tłumaczy się w Lineuszu, Cuvierze, Arago, Humboldzie, bo ich warsztatem jest cały obszar stworzonego świata — lecz aby w historycznych badaniach puszczać się po wszystkich zamorskich narodach i nurtować w ich zamierzchłych początkach, i to w chwili, kiedy własny naród tak łaknął dziejowego światła i krytycznego obrobienia swych źródeł, nato mogła się tylko zdobyć zarażona pysznym filozofizmem, choć w gruncie najszlachetniejsza dusza. Dla tej to przyczyny, pomimo ogromu nauki znamionującej prace Potockiego rozstrzelone w narody i najrozmaitsze przedmioty, zawsze jest w nich coś spaczonego, jakby mniej szło mu o wykrycie a więcej o zwalenie jakiej objawieniem lub powagą wieków uznanéj prawdy. — Niezdaję mi się aby ktory z naszych pisarzy miał był wówczas dość bystrości umysłu, a nadewszystko odwagi swych przekonań, do stawienia czoła Potockiemu w jego historyczno-filozoficznych zaciekach — to jednak pewna, że dzieła jego, drukowane w bardzo szczupłej liczbie exemplarzów, przechodziły prawie nieznane narodowi. Wszakże zaprzyjaźniony z nim osobiście, a mieszkający wtedy w Petersburgu hrabia de Maistre, nieprzepuścił mu tych wybryków szarpią-

cych się na powagę objawionych dogmatów, a jak skarcił tę pychę uczoności nieopartej na głębokim gruncie, jak osądził to oderwanie się od ducha swego narodu, jak przypomniał mu powinności obywatela, znajdziemy w jednym ustępie listu pisanego doń w r. 1810 z powodu dzieła: *Principes de Chronologie pour les temps anterieurs aux Olimpiades* (St. Petersbourg 1810).

„W każdym kraju znajduje się pewna liczba rodzin zachowawczych, na których wspiera się gmach państwa a te są, tak zwaną arystokracyą, czyli szlachtą. Owóż dopóki szlachta trwa w czystości, dopóki przenika ją duch narodowy, dopóty i państwo stoi pomimo ułomności panujących; przeciwnie odkąd zaczyna się psuć, mianowicie pod względem religijnym, państwo musi runąć, choćby niém władał Karol Wielki po Karolu Wielkim. Patrycyusz, jest kapłanem świeckim i religia narodu pierwszą jego i najświętszą własnością, ponieważ ona zachowuje jego przywiléj, który upada z nią razem. Niemasz większéj dla szlachcica zbrodni jak uderzać na dogmata wiary. Przyznaj panie hrabio, jak wyszła na tém szlachta francuska że w ośmnastym wieku sprzymierzyła się z filozofią! Otóż to jéj występek i wszystkich klęsk źródło: dla tego też sumienie publiczne, nieomylne, choć o tém samo nie wie, odmówiło rozgrzeszenia szlachcie francuskiéj, a jako odstępcom, odmówiło nawet téj litości, do jakiéj ma prawo nieszczęście.

„Proszę cię hrabio, niegniewaj się o wyraz: *irreligia*, użyty przezemnie. Z wyrazem tym nie łączy się idea ściśle opisana i absolutna; bo on tylko oznacza wszelką obrazę religii od najzuchwalszych ciosów, aż do najniewinniejszych lekkości. WPan zaś jesteś bliższym téj ostatniéj, niż pierwszéj kategoryi. Ależ, powiedz mi, z łaski swojéj, w razie, gdybym ci na słowo honoru zaręczył o prawdzie wszystkich szczegółów jakiego zdarzenia którego byłem naocznym świadkiem — co więcéj, gdybym

ci dał świadectwo pisemne, stwierdzone przysięgą — a ty potém występując w piśmie publiczném wyrzekłbyś: *mamy w naszych rękach jedyną tylko wiadomość o tém zdarzeniu,* i zacytowałbyś na poparcie téj jedynéj wiadomości słowa mego lokaja powiedziane w karczmie, bez odwołania się do mnie i do mego świadectwa — czyż niemiałbym wtenczas prawa gniewać się, a nawet żądać od ciebie satysfakcyi?

„Słowo w słowo postąpiłeś sobie tak z Mojżeszem, co zdaniem mojem, nieprzystoi ani prawdziwemu filozofowi, a tém bardziéj hrabiemu Janowi Potockiemu.“

Pod koniec listu jeszcze żywiéj przemawia:

„W dziełach twoich hrabio, są rzeczy sprawiające mi wiele zmartwienia, jak między innemi, ten rys, co tak niefortunnie zakończa twego Manethona. Jeżeli puścisz swój dowcip i wyobraźnią na bezdroża, czy wiesz hrabio, co ztąd wyniknie?

„Będziesz miał syna, wnuka it.d. który zupełnie tak będzie myślał jak ja; to już niepodpada najmniejszéj wątpliwości, zwłaszcza że w umysłach już się zaczyna to przeobrażenie. Ten Potocki, jak się spodziewać, będzie miał także syna, i pewnego dnia powie mu z posępną powagą: *słuchaj synu, zakazuję ci czytać książki twego dziada....*

„Toby cię srodze zmartwiło kochany hrabio. —“

Niewiem czyli pełne nauki i bożéj mądrości listy de Maistra sprowadziły Jana Potockiego na prostszą drogę? ale nie zdaje mi się; pyszna nauka i pyszniejsza filozofia nie od razu ulega powadze chrześciańskich mędrców; — dopiéro po pewnym przeciągu czasu, kiedy się wyczerpią jéj krótkotrwałe zasoby, ustępuje miejsca żywszéj prawdzie i czystszéj nauce. — A jednak jakaż to ogromna szkoda dla naszéj literatury i nauki, że Jan Potocki niepoprzestał na sławie pisarza swego kraju, że odrzucił język ojczysty, że tak mu się niegodnemi zda-

wały nasze skarby i pamiątki rodzinne! A przecież umysł pragnący owéj nieograniczonéj wiedzy byłby i u nas miał dosyć do czynienia, co więcéj, przez samo zagłębianie się w naszą przeszłość, przez poznanie jakiemi drogami plemiona słowiańskie urabiały się i rosły w naród, jakie wpływy wychowały to społeczeństwo, co mu dawało moc i jedność życia, a co targało węzły, co władzę warowało, a co wątliło — ileż mógł był przyczynić gruntownego światła Rzeczypospolitéj będącéj w ówczas właśnie w tym stanie pasowania się między życiem a śmiercią, kiedy tysiące rad i doradźców, widoków i systematów, a tylko jednego niedostawało lekarstwa, coby wróciło zdrowie —

Pozwoliłem sobie tego przypuszczenia, nie w téj myśli, abym miał wierzyć że napisanie kilku, nawet kilkudziesięciu rozpraw i dzieł o historyi Rzeczypospolitéj, mogło ją było ratować — ale zdawało mi się że taka nauka, i taka bystrość umysłu jaka znamionowała Potockiego, potrzebną była w śród téj wewnętrznéj pracy przedsiębranéj przez naród. — Wałęsanie się, trąciło prawie odstępstwem. A jednak nie jego to wina, lecz tych co mu dali wychowanie. Rzucony od młodu w ręce francuskich nauczycieli, wożony po francuskich akademiach, stracił ten instykt wyssany z mlekiem, co każe pielęgnować własne gniazdko, i kochać wiarę ojców, choć gdzie indziéj rozkoszniejsze są gniazdka, a filozofowie tacy dowcipni. —

Niepodnosiłbym tych niewczesnych żalów, gdybym nie miał przekonania o wielkiéj stracie ztąd wynikłéj dla naszego piśmiennictwa — a głównie gdy się zastanawiam jakie życie, jaki polot fantazyi, jaka głębokość i prawda uczuć, przebija się w utworze o którym mówić zamierzyłem.

Nie jest to żadna przesada, ale *Rękopis znaleziony w Saragossie* śmiało można policzyć do najoryginalniej-

szych utworów w rodzaju powieściowym, i postawić go obok *Złotego Osła* Luciusa, Dekameronu, Nowellistów włoskich i hiszpańskich, więcéj dobrym smakiem i ogromną wiedzą, będącą po stronie Jana Potockiego.

Wspomniałem już że niewiem czyli krajowe dzienniki pisały o tym romansie Jana Potockiego przy pierwszèm jego wyjściu w tłumaczeniu polskiém — mniemam jednak że mało się nad nim zastanawiano, kiedy przy różnych uwagach nad romansami i powieściami, nieprzytaczano go za doskonały wzór, za niewyczerpaną studnią do napisania stu tomów romansów jakie zazwyczaj pisane bywają gwoli codziennéj konsumcyi tego towaru. Powodzenie *Rękopisu znalezionego w Saragossie* musiało wszakże być wcale niezłe, kiedy wydawca lipski wydał teraz drugą, ozdobną, sześciotomową edycyą. Czytająca publiczność dowiodła tym razem dobrego smaku rozkupując tę książkę, która ma tę własność do siebie, że podobnie jak wszystkie doskonałe utwory w rodzaju powieściowym, może być czytaną po wielekroć razy, tak jak czytamy Dekameron, Heptameron, Donkichota, Gil-Blassa, Walter Skota. Bogactwo szczegółów rzeczywistego i naukowego świata upoetyzowane oryentalną fantazyą, poostrzone dowcipem, zaprawne urokiem opowiadania budzącego i utrzymującego nieustanny interes, przewija się w tym utworze zupełnie tak, jakbyś w kosmoramie patrzał na coraz zmieniające się sceny odgrywane na tle widoków hiszpańskich, afrykańskich, włoskich, mexykańskich, a nawet w krainach duchów, wywołanych kabalistycznemi formułami, i tak uprzytomnionych, że wyobraźnia twoja nieprzypuszcza na chwilę żeby to mogło być złudzeniem. Był to wielki czarodziéj ten Jan Potocki; w precyzyi z jaką opowiada i maluje twory swéj fantazyi wiele ma podobieństwa z Hofmanem, z tą jednak różnicą, że niemiecki humorysta sam wierzył nakoniec w swoje hallucynacye, gdy przeciwnie

Potocki niepozbywał się swego trzeźwego filozofizmu, i jeżeli czytelnika jakiem nadprzyrodzoném zjawiskiem przeraził, lub natchnął w nim wiarę w stósunek zaświatu z naszym padołem, nieomieszkał najskrupulatniéj rozburzyć téj złudy wyjaśnieniem zbiegu nadzwyczajnych okoliczności, co mogły na to przypuszczenie naprowadzać.

W téj myśli ułożony jest nawet cały ten romans, którego treść chciałbym opowiedzieć, ale tylko w najgrubszych rysach; albowiem niema żadnego sposobu, ani streścić, ani poklassyfikować tego mnóstwa wchodzących osób co opowiadają historye swego życia, życia swoich przyjaciół, znajomych, aż do historyi wiecznego żyda. Czuł to i autor, kiedy sam się skrytykował przez usta tego geometry Velasqueza, co przysłuchując się nieskończonym opowiadaniom naczelnika cyganów, zmordowany coraz nową powieścią wysnuwającą się z powieści, porobił sobie rubryki na tabliczkach aby mógł wiedzieć co poczem idzie i do czego należy. —

W ogóle pomysł do układu swego utworu wziął Potocki ze wzorów jakie miał w Tysiącu nocy i innych powieściach perskich lub arabskich; za czém i Bokacyusz i Królowa Nawary i tylu innych poszło. Jednakowoż nieprzestał na samym pretekście małéj wagi do opowiadania swych powieści, ale wprowadził interesującego bohatyra, którym jest młody Alfons Van Worden rzucony w stek najdziwaczniejszych przygód. Tak tedy umiał zająć czytelnika w dwojaki sposób; raz osobami stojącemi na pierwszym planie, których los gmatwa się i rozstrzyga, których charaktery doskonale utrzymane niezacierają się w steku tysiąca osób i zdarzeń; podrugie samemi opowiadaniami, gdzie nierzadko można spotkać motiwa do całych romansów, i podziwiać sceny zadziwiającéj świeżości.

Ależ starajmy się skreślić główniejszą osnowę. Młody szlachcic wallonski Alfons Van Worden, w którym pły-

nęła po matce krew maurytańska Gomelezów, zostaje wyprawionym przez ojca na dwór madrycki. Dzielny i bogobojny młodzieniec opuszcza rodzinny zamek w Ardennach i wsiadłszy na okręt przybija do Kadyxu zkąd lądem dąży do kresu. Na nieszczęście, czy szczęście, obiera drogę przez góry Sierra Morena, i choć go gospodarz w Anduhar ostrzega o niebezpieczeństwach téj drogi napastowanéj przez złe duchy, rusza śmiało, lecz opuszczony przez mniéj odważnych służących, dostaje się na noc do oberży Venta Quemada, gdzie właśnie czytał ostrzegającą tablicę, aby żaden podróżny nieśmiał przepędzać w niéj nocy. — Przestroga niezmięszała nieustraszonego młodzieńca; postanowił nocować w pustéj karczmie gdzie jednak noc mu przyjemniéj zeszła niż się spodziewał, bo zajechały dwie prześliczne księżniczki Tunetańskie, które odkrywszy mu że jest ich krewnym przez Gomelezów, zakochały się w nim od razu, ubolewając tylko że niemogły zostać jego żonami, chybaby przeszedł na wiarę proroka, na co naturalnie bogobojny Alfons się wzdrygnął - ale mimo tego przysiągł im że co zaszło między niemi wieczną pokryje tajemnicą. — Koniec końców po twardym ale bardzo rozkosznym snie, gdy go zbudziło palące słońce, ujrzał się pod szubienicą między dwoma wisielcami. Figiel ten nieprzyjemne sprawił wrażenie i obudził w nim przekonanie, że był igraszką złych duchów, wszakże mimo tego niezapomniał o przysiędze, i choć go w dalszym ciągu przygód wystawiano na najmocniejsze próby, i na pokusy a namowy do przejścia na wiarę proroka, niedał się ani namówić ani nastraszyć. — Tryumfem wytrwałości naszego bohatyra było przypuszczenie go do tajemnic tych gór, gdzie garstka Maurów z pokolenia Gomelezów od kilku wieków exploatowała bogate kopalnie złota. Zamiarem starego Szejka było nawrócić Alfonsa najzłudniejszemi pokusami na wiarę proroka i dać mu tron w Tunecie, ale mło-

dzieniec niezgubił duszy; że zaś umiał dochować tajemnic, przypuszczony został do podziału ogromnych skarbów wydobytych z kopalń. — Takiém odkryciem skończyły się jego przygody w górach Sierra Morena trwające przez dni siedmdziesiąt, poczém puścił się do Madrytu, gdzie spłynęły na niego zaszczyty i dostojeństwa. To są ramy w których mieści się nieskończona liczba powieści i zdarzeń, wymyślanych na uprzyjemnienie pobytu Alfonsowi, a głównie na przeciągnienie go do Islamizmu. Szczególniej historya wiecznego żyda, opowiadana przez niego samego, był bowiem i kabalista, który umiał go zaklęciem sprowadzić, zmierzała do podkopania w bohatyrze wyobrażeń chrześciańskich.— Autor rozwinął z tego powodu bogactwa swojej erudycyi, lubo po większéj części czerpał je z bezbożnego dzieła Dupuis: *Origines des cultes;* szkoda tylko, że na zbijanie tych uczonych błędów użył tego oryginała geo.. etrę Velasqueza, a nie naszego bohatera, który tylko oburzeniem się protestował.

Te ustępy są może najmniej zajmujące; zato mnóstwo innych hojnie rozsianych rysów co chwila wprowadza w zdumienie nad głęboką znajomością serca ludzkiego, i nad wysokim talentem twórczym nigdy niezakłopotanym o wynalezienie jakiego niespodziewanego zwrotu lub rozwiązania. Zdawałoby się, że piszący prawie nieukładał sobie planu, tylko pod piórem rodził się koncept, prawdziwie natchniony położeniem, jak to i w życiu nieraz bywa, gdy popadłszy w kłopot, lub sytuacyę nadzwyczajną, wytężonemi tylko siłami duszy, i nieobrachowanym wyskokiem, ratujemy się w nagłej potrzebie.

Długo byłoby wyliczać ustępy nacechowane temi oryginalnościami tak zgodnemi z usposobieniem samegóż autora, który miał być człowiekiem bardzo oryginalnym w całem swojem życiu trawionem jakąś gorączkową

niespokojnością, pędzącą go w niebezpieczne podróże na stepowiska Tartaryi i Chin, na puszcze Afryki, a nawet w nadpowietrzną żeglugę balonem, w tych czasach, kiedy ten wynalazek był prawie w kolebce, i zagrażał największą katastrofą [1]).

Radbym w tém mojem opowiadaniu zwrócić uwagę czytelników przynajmniej na niektóre miejsca wybornie wykonanych obrazków, a zalecających się humorem jakiego mu pozazdrościćby mogli wszyscy humoryści dzisiejsi. Wybór tu jest trudny, bo to piękne, a to interesujące, to pełne świeżości, a to dowcipu, to wzrusza i unosi, owo bawi i nieraz do śmiechu pobudza. — Jakaż to przedziwna historyja tego rozbójnika Zoto, zaczynająca się od historyi jego własnego ojca prowadzącego rzemiosło ruśnikarza w Benewencie! Prawdziwie trudno się oprzeć, żeby nieprzytoczyć choć w skróceniu jednego ustępu przypominającego najlepsze nowelle włoskie Fiorentina, Giraldi Cintio, lub Bokacego.

„We trzy lata po ożenieniu mego ojca, siostra młodsza mojej matki zaślubiła handlarza oliwą, nazwiskiem Lunardo, który na podarunek ślubny dał jej parę złotych kulczyków i takiż łańcuszek na szyję. Matka moja wróciwszy z wesela zdawała się być pogrążoną w głębokim smutku. Mąż chciał dowiedzieć się o przyczynie; ona długo wzbraniała się mu ją wyznać; nakoniec od-

---

[1]) W r. 1788 aeronauta Blanchard pokazywał doświadczenia z balonami w Warszawie; do tej napowietrznej podróży tak się zapalił Potocki, iż rzeczywiście w towarzystwie Blancharda i sługi swego Turczynka wzniósł się balonem z ogrodu pałacu Mniszchowskiego po nad miasto. Dał on tu dowód odwagi i krwi zimnej, bo gdy rozpalony zanadto piecyk żelazny groził obróceniem w perzynę całego mechanizmu, a ów Turczynek przejęty obawą chciał wyskoczyć z łódki, Potocki z wycélowanym doń pistoletem, zmusił go do pozostania i pomocy przy wyrzuceniu owego pieca. Zapędzeni wiatrem, niedaleko Woli wysiedli szczęśliwie.

kryła żal swój, że niemiała podobnych jak siostra kulczyków i łańcuszka. Ojciec mój nic na to nie odrzekł, tylko misternej roboty strzelbę, nad którą lat cztery pracował i cenił sobie trzysta neapolitańskich uncyj złota, wyniósł na miasto i sprzedał za 80 uncyj, za co kupił kulczyki i łańcuszek i przyniósł je żonie. Matka moja tegoż samego dnia poszła pochwalić się przed żoną Lunarda, i niesłychanie ucieszyła się, gdy znaleziono kulczyki jej daleko piękniejsze i bogatsze.

„W tydzień przyszła w odwiedzinach do matki mojéj żona Lunarda, i miała warkocz przytwierdzony wielką złotą szpilką zakończoną misternie wyrobioną rubinową różą. Ta róża zapuściła w serce mojej matki dotkliwe kolce. Znowu zaczęła się dręczyć, aż ojciec przyrzekł, że jej taką samą kupi; tymczasem taka szpilka kosztowała 45 uncyj, a on niemiał tyle pieniędzy, ani sposobu zarobienia ich, więc popadł w ciężki smutek.

„Aż pewnego dnia wszedł do sklepu Condotiere tamtejszy, niejaki Grillo Monaldi przynosząc pistolety do wyczyszczenia, widząc zaś posępność ojca mego, zapytał o przyczynę, i ten mu wszystko wyjawił. Nato Monaldi: Panie Zoto, jestem ci więcej winien, niżeli sam sądzisz; przed kilkoma dniami znaleziono mój sztylet w ciele człowieka zamordowanego na drodze do Neapolu. Sąd posłał ten sztylet do wszystkich zbrojowników, a ty wspaniałomyślnie oświadczyłeś, że go po raz pierwszy widzisz, jakkolwiek sztylet ten wychodził z twego warsztatu i mnie samemuś go sprzedał. — Ofiarował mu zatem 45 uncyj; ojciec mój przyjął z wdzięcznością, i zaraz pobiegł kupić złotą szpilkę, w której tego samego dnia matka moja wystąpiła przed swoją dumną siostrą.

„Należało się spodziewać, że pani Lunardo znowu się ukaże w bogatszym jakim klejnocie, lecz inny powzięła zamiar; oto chciała pójść do kościoła z najętym loka-

jem w liberyi. Lunardo niesłychanie skąpy przystawał łatwiej na kupno klejnotów, bo mniej było straty; ale zupełnie odmiennego był zdania, gdy go proszono o dwie uncye złota dla próżniaka, który niewiedzieć czego przez pół godziny miał stać za ławką jego żony.

„Jednakże Pani Lunardo tak go męczyła, że postanowił nakoniec dla oszczędności sam ubrać się w liberyę i pośpieszyć za żoną do kościoła. Odtąd znalazła, że mąż równie był zdolnym do tego rzemiosła jak ktokolwiek inny, i w nadchodzące święta ukazała się w kościele z lokajem tego nowego rodzaju. Sąsiedzi śmiali się, ale ona przypisywała to uczuciu zazdrości.

„Owoż gdy zbliżała się do kościoła, dziady i baby zaczęli krzyczeć na całe gardło: *Mira Lunarda che folu criadu de sua mugiera.* Ponieważ jednak żebracy tylko do pewnego stopnia posuwają swoją śmiałość, przeto spokojnie weszła do kościoła, gdzie rozstąpiono się przed nią z wszelkiem poszanowaniem. Podano jéj wodę święconą, posadzono w ławce, podczas gdy matka moja stała wraz z innemi kobietami w kruchcie.

Za powrotem do domu matka moja zaczęła natychmiast obszywać stary niebieski kaftan mego ojca, starym galonem odprutym od ładownicy. Ojciec zapytał o przyczynę, na co odpowiedziała mu postępek siostry i grzeczność jej męża. Lecz ojciec mój odparł, że nigdy się na to niezdobędzie; wszelako następnéj niedzieli najął za uncyę ugalonowanego lokaja, który poszedł za matką moją do kościoła. Pani Lunardo musiała tym razem ustąpić siostrze.

„Tego samego dnia, po mszy, przyszedł do nas Monaldi i powiedział memu ojcu, że wie o dziwactwach jego żony. „Jeżeli śpiesznie temu nie zaradzisz będziesz nieszczęśliwym na całe życie; masz więc dwie drogi przed sobą: albo dać żonie porządną naukę, lub też jąć się rzemiosła, któreby zaspokoiło jej skłonność do wy-

datków. Chwycisz się pierwszego sposobu, ofiaruję ci moję laskę, któréj często używałem z nieboszczką moją małżonką. Nie jest to wprawdzie jedna z tych czarodziejskich lasek, które ujęte za oba końce obracają się w rękach i służą do odkrywania źródeł a nawet czasami i skarbów, ale jeżeli weźmiesz ją za jeden koniec, a drugi przyłożysz na plecy twojéj żony, zaręczam, że wkrótce ją wyleczysz z tych grymasów. Z drugiej strony, jeśli pragniesz zaspokoić wszelkie jej żądania, ofiaruję ci przyjaźń najdzielniejszych zuchów w całych Włoszech którzy na teraz radzi przebywają w Benewencie jako w mieście pogranicznym. Sądzę, że mię rozumiesz; namyśl się i daj odpowiedź".

„Monaldi położył swą laskę na warsztacie i odszedł. Tymczasem matka moja powróciła z lokajem wielce uradowana, lecz czekało ją niespodziewane przyjęcie. Ojciec pochwycił ją za ramię, i czarodziejską laską zaczął wykonywać rady Monaldego. Matka padła zemdlona — małżonek przestraszył się, wyrzucił laskę i u nóg błagał przebaczenia.

„Niepozostało mu nic innego jak donieść Monaldemu o małym skutku czarodziejskiej laski, i prosić o drugi środek. — Monaldi na to: Dziwi mię, że niemając serca ukarać własnej żony, myślisz, że się zdobędziesz na zastępywanie podróżnym na publicznéj drodze. Wreszcie możemy się o tem przekonać; serce ludzkie składa się z tylu przeciwieństw! —

„Odtąd ojciec mój uzbrojony w szpadę i sztylet, z postacią zuchwałą, przechadzał się co wieczór pod galeryą Madony. — Po dwóch tygodniach jakiś nieznany mu człowiek zbliżył się doń i rzekł: Oto sto uncyj złota, za pół godziny ujrzysz dwóch młodych ludzi z białemi piórami na kapeluszach. Zbliż się do nich, i spytaj: który z Panów jest Margrabią Feltri? — jeden z nich ci odpowie: ja nim jestem. Natenczas pchniesz

go sztyletem, ale uważaj dobrze — w samo serce. — Mój ojciec wypełnił słowo w słowo dane mu polecenie — i został rozbójnikiem.....“

Przecudny ten kawałek malujący tak doskonałemi rysami walkę próżności niewieściej i słabości mężczyzny co niemoże zwalczyć kobiecego grymasu, a z zimną krwią topi sztylet w piersi pierwszego przechodnia — jest tylko wstępem do tej przedziwnej historyi rodziny rozbójniczej, w którój mały Zoto odgrywa rolę nieubłaganéj zemsty na takim samym jak on malcu, tylko dziecku księcia. Z jednej i z drugiej strony prawdziwa zaciętość i walka demokracyi z arystokracyą.

Do ustępów najbardziej obfitujących w wyborną charakterystykę osób, i sceny wysokiéj komiki, jest w opowiadaniu naczelnika Cyganów jego przygoda z własnym ojcem, tak wielkim pedantem porządku, że jedynak jego nigdy nogą niemógł postać nietylko w mieszkaniu ale w domu ojcowskim; wszakże pewnego dnia ciotka wzięła go ze sobą chcąc staremu zrobić niespodziankę — wchodzą do pokoju — niema nikogo; czekają więc na przybycie dziwaka; tymczasem chłopcu się nudzi i włazi na piec, gdzie stał kocioł z atramentem; dziwak ów bowiem miał za największą przyjemność obdarzać wszystkich literatów Madryckich atramentem przez siebie sporządzonym — słychać kroki za drzwiami: chłopak chce zeskoczyć i potrąciwszy, tłucze gliniany kocieł zalewając całą izbę czarną powodzią.... Niebyło co robić jak umknąć i biedz, gdzie oczy poniosą!.... Dziwne to przygody, których ten chłopak w świat samopas rzucony doświadczał! któryż z naszych dzisiejszych romansopisarzy ma coś tak oryginalnego jak owe psoty młodych uczniów wyrządzone owemu świętobliwemu Teatynowi, który tak zwycięzko opiera się najniebezpieczniejszym pokusom?..

Walka tego poczciwego zakonnika nietylko jest głęboko psychologiczną, ale i wzruszającą. Bokacy ani żaden z nowelistów dawnych niebyłby tak historyi tej skończył, jak ją przeprowadził Potocki, w czem właśnie dowiódł niezmiernej swej wyższości.

A teraz ileż rozmaitości w charakterach! ile tam pochwyconych rysów w głębokich jak widać studiach nad ludźmi i światem! Co może być pocieszniejszego i melancholiczniejszego jak ten zapalony matematyk Don Henrico, któremu brat przybywający z dworu Ludwika XIV i nic nieumiejący tylko stroić się i tańczyć Sarabandę, porywa z przed nosa narzeczonę! i stopień półkownika artyleryi! — Biedak nieśmie nawet upominać się, tylko przebolawszy ten cios, idzie na komendanta do Ceuty, gdzie nikt jego wielkich kombinacyj w umiętności Cohorna lub Vaubana potrzebować nie będzie. — Lata goją największe rany — toż i rany Don Henryka przywrzały, ożenił się, miał syna i sam uczony, niekazał go nic uczyć, ciągle powtarzając: Synu nic ci nietrzeba umieć, tylko sarabandę i menueta; pamiętając bowiem na własne nieszczęścia, których źródłem była sarabanda i maniery francuskie, chciał jedynaka wychować do lepszéj doli. — W powieści tej wyborna przychodzi scena, gdy jakiś zbieg Francuz prezentuje się pod tytułem Markiza. — A umiesz Wacpan tańczyć Sarabandę? — Francuz za całą odpowiedź porywa skrzypeczki gra i skacze.—Don Henrico nieposiada się w uniesieniu, że dostał przecie człowieka, który mu syna wyedukuje..— Doskonała satyra! prawdziwa, bo z życia wzięta....

Jeszcze jeden rys, z tysiąca rysów. Jest to historya uczonego matematyka Diego Herwesa, a trzeba wiedzieć że Potocki musiał wybornie znać nauki matematyczne, bo nieraz całe rozmowy i porównania układa z formul algebraicznych. — Otóż ten Herwes wypracował

dzieło w hiszpańskim języku, co było nowością, dzieło traktujące o logarytmach i analizie, któremu dał tytuł: „*Odsłonione tajemnice analizy wraz ze świadomością nieskończoności wszelkiego rozmiaru*“ Tytuł wprawdzie tajemniczy, ale rzecz nie bez wartości umiętnéj. — Budując wiele na pracy swojéj która miała mu otworzyć wyższy zawód w świecie, zebrał co miał funduszu na druk i dał rękopis do cenzury. Cenzorowie wydziału teologicznego zaczęli stawiać niektóre trudności, z powodu że analiza nieskończenie małych, zdawała się sprowadzać do atomów Epikura, którą to naukę Kościół surowo potępił. Wytłumaczono im że tu chodziło o ilości oderwane, nie zaś o cząstki materyalne i cofnięto zaskarżenie. — Z cenzury przeszło do drukarza — odbito wielki tom in 4to w 1000 egzemplarzach, który autora kosztował 700 pislotów — gdy się zaś spodziewał wziąść za egzemplarz po trzy pistole, miał w nadziei 2,300 pistolów czystego zysku. Cała edycya przeniosła się naturalnie do sklepu księgarza który za pewnym ustąpionym sobie procentem miał zająć się sprzedażą książki. — Herwes tymczasem mieszka sobie w oberży i czeka na pieniądze zbierające się u księgarza — jakoż wyczekawszy kilka tygodni, zgłasza się i odbiera odpowiedź że jeszcze niesprzedano ani jednego egzemplarza. Dotąd jest to historya zwyczajna wszystkich autorów; teraz następuje mniéj zwyczajna, ale jednakowoż powtarzająca się i za naszych czasów, lubo pod innemi formami. —

Herwes wróciwszy do gospody z pustą kieszenią, zastał na domiar nieszczęścia nadwornego alguazila, który kazał mu wsiąść do zamkniętego powozu, i zawiózł do wieży Segowskiéj. Dziwném jest że postępowano z geometrą jak gdyby z więźniem stanu, ale przyczyna tego była następująca: Egzemplarze wystawione w oknie u księgarza, wpadły w ręce kilku ciekawców uczęszczających do jego sklepu. Jeden z nich przeczytawszy tytuł:

Odsłonione tajemnice analizy, rzekł, że musiał to być jakiś paszkwil przeciw rządowi; drugi przypatrzywszy się bacznie tytułowi, dodał ze złośliwym uśmiechem: że niezawodnie była to satyra na Don Pedra Alanyez ministra skarbu, gdyż *analiza* była anagrammem nazwiska *Alanyez*; następna zaś część tytułu o nieskończonościach wszelkiego rozmiaru to jest tak o nieskończenie małych jak o nieskończenie wielkich, wyraźnie stósowała się do tego ministra, który w istocie materyalnie był nieskończenie małym, nieskończenie grubym, moralnie zaś nieskończenie wyniosłym i nieskończenie poziomym. Wkrótce wszyscy balwierze a za nimi cały lud nauczył się tych dowcipów na pamięć. Odtąd nienazywano inaczéj ministra Alanyeza, jak Senorem Analizą nieskończoności wszelkiego rozmiaru. — Doszło to do uszu dygnitarza który niewchodząc w bliższe szczegóły kazał naprzód uwięzić autora, następnie skonfiskować wydanie. Dziś zapewne ministrowie są mniéj urażliwi a więcéj światli jak *Senor Analiza,* ale za to jakżeż często trafia się słyszeć zwykłych czytelników nawet liczących się do intelligencyi, tłumaczących sobie najprzewrotniéj i najpotworniéj rzeczy same przez się najprostsze!

Otóż to co nadaje tak wysoką wartość téj książce Jana Potockiego, to, co jéj zapewnia równą trwałość jak tworom Bokacego, Cerwantesa, Lesaga, Fieldinga, Walter Skota.

Lucyan Siemieński.

PANSTWO I *SELF-GOVERNMENT.*

Koalicya w parlamencie angielskim wywołała jak wiadomo jego rozwiązanie—rozwiązanie wymagało nowych wyborów. Na wybory te, odbywające się w bieżącym miesiącu, zwrócona była przedewszystkiém uwaga powszechna. Europa rada była i słusznie odgadnąć, nie tyle ich wypadek, bo to się wkrótce przy otwarciu nowego parlamentu dowodnie okaże, ile raczéj znaczenie ich na przyszłość w polityce angielskiéj.

Chcąc atoli cokolwiek w téj mierze wypowiedzieć, i ocenić wybory ze względu na politykę ogólną i angielską, wielką napotyka się trudność w saméj terminologii wyborczéj. Nie mały to kłopot nacechować teraz jakie stronnictwo angielskie, a nawet jakiego pojedyńczego kandydata do wyborów. Dawniéj mówiło się o torysach lub whigach, późniéj także o radykalistach. Dziś po rozpadnięciu się tych wiekowych stronnictw torysów i whigów, niema stronnictw w ścisłem znaczeniu tego wyrazu. Dzienniki angielskie pisząc o kandydacie do wy-

borów nie zowią go już whigiem lub torysem, ani mówią nawet że należy do radykalnego stronnictwa, ale że jest *konserwatywnym* lub *liberalnym*. Daléj następują różne odcienia owego konserwatyzmu i liberalizmu: ten oto konserwator „czysty", tamten znów „wątpliwy"; ów „ultraliberalny" inny zaś „umiarkowany". Nowa ta w Anglii nomenklatura stosuje się wyraźnie do reformy, ale nawet i na tém polu czy może ona posłużyć jako podział na stronnictwa? Na czémże oprzeć owe odcienia? Jak ułożyć kategorye i nacechować według zasad zachowawczych i liberalnych nie tylko nowych kandydatów ale nawet dawnych ludzi stanu w W. Brytanii?... Hrabia Derby, dawny szef torysów, zapisany dziś jako ultrakonserwator, nie należyż do owéj arystokracyi angielskiéj, która zawsze była liberalną? Wszak od niéj wychodziły głównie inicyatywy reform, i hr. Derby nie oświadczył nigdy aby wszelkie zmiany odrzucał. Pan Gladstone jako peelista dał dowody, że nie jest przeciwny reformom, a jednak zapisany jest między konserwatorami. Nikt śmieléj nad lorda Palmerstona nie występował w ostatnich czasach przeciwko reformom, nawet w mowie swéj do wyborców Tivertonu ze swém zdaniem się nie ukrywał, a przecież nie tylko jest on na liście liberalnych członków Izby, ale na nich polega cała jego nadzieja osiągnienia większości w nowym parlamencie. Któryż nareszcie ultraliberalny członek dawnego parlamentu, nawet szef opozycyi radykalnéj jak p. Roebuck, lub naczelnik szkoły manczesterskiéj p. Bright chciałby był widzieć przeprowadzone reformy absolutnie bez uwzględnienia zachowawczéj zasady?...

Lecz nie dość na tém. Jakże się jeszcze ta trudność powiększa gdy do owego rozgatunkowania kandydatów angielskich na zachowawczych i liberalnych, zechce kto użyć europejskiego czyli kontynentalnego formularza. Na kontynencie p. Cobden jako przeciwnik wojny, jako zwo-

lennik pokoju jest konserwatorem; w Anglii jest ultraliberalnym. Lord Palmerston, przezwany *Lord firebrand* na kontynencie, którego politykę ogłoszono za burzliwą, w Anglii jest wątpliwym liberałem. Całe dawne stronnictwo torysów, dziś konserwatorskie w Anglii, popierało zawsze jak najsilniéj wojnę, nierównie silniéj od whigów, którzy dziś po największéj części liberalny poczet stanowią. Każde stronnictwo radykalne na kontynencie znaczy prawie tyle co stronnictwo rewolucyjne — rewolucyi nikt nie chce w Anglii ani do niéj zmierza.

Nie można więc jak się na pierwszy rzut oka pokazuje, oceniać wyborów angielskich według pojęć i znaczenia wyrazów przyjętych na stałym lądzie. Wojna i pokój nie należą prawie do programmatu wyborczego w Anglii, chęć prowadzenia pierwszéj lub utrzymania drugiego, nie stanowi tam bynajmniéj konserwatora lub liberała. Znamiona te będące cechą opinii i zasad kandydatów wyborczych a w części i stronnictw, odnoszą się do polityki wewnętrznéj, lubo i tu znów dążenia rewolucyjne, które na kontynencie główny stanowią przedział między zasadami zachowawczemi a burzącemi, nie mają wcale praktycznego zastósowania. Można być w Anglii ultrakonserwatorem i życzyć sobie wojny, zbrojnych interwencyj a nawet wszelkich zmian i rewolucyi w Europie, można być ultraradykałem a przecież zwolennikiem wiecznego pokoju i spokoju, słowem—można być konserwatorem w polityce wewnętrznéj Anglii, a niemal rewolucyonistą w polityce zewnętrznéj, i nawzajem.

Wytłumaczenie téj sprzeczności zasad co do polityki zewnętrznéj i wewnętrznéj Anglii, leży podobno w tem zjawisku jedynem w świecie, że Anglia jest *państwem* na zewnątrz, a wewnątrz ma *self government.* Wyjątkowe całkiem położenie jeograficzne téj wyspy, jéj potęga morska, charakter narodowy i płynące ztąd insty-

tucye, pozwoliły W. Brytanii utrzymać zawsze stanowisko swoje, a nawet swoją przewagę w systemacie politycznym kontynentalnym, bez owego przeistoczenia się, bez wyzucia się z właściwéj sobie formy społecznéj, bez ścieśnienia owéj wolności jakiéj używała; czemu wszystkiemu uledz musiały kraje na kontynencie, chcąc zachować miejsce w systemacie politycznym państw. Wyjątkowemu swemu położeniu zawdzięczać winna Anglia, że jeszcze z Wilhelmem z Oranii spierał się parlament o utrzymywanie dwudziestu tysięcy stałego wojska; bo *self government* stałych wojsk nie potrzebuje. Ideę państwa przyjęła też Anglia tylko w polityce zewnętrznéj. Tam była ona *państwem* w całém znaczeniu tego wyrazu: reprezentowała ją flota, któréj zresztą kolonie i handel koniecznie wymagały. Ale wewnątrz idea ta nie miała zastósowania tak jak na kontynencie. Anglia trwała uporczywie przy swych narodowych instytucyach, swojéj formie rządu, swobodach i wolnościach, zachowywała najwyższą społeczną niepodległość w obec idei państwa to jest *self-government.*

W przypadkach nadzwyczajnych, jako to naprzykład w czasach ostatnich wojen z Francyą, kiedy polityka zewnętrzna żądała wielkich poświęceń i ofiar, kiedy utrzymanie się w rzędzie *państw* nakładało ogromne ciężary, które ponosić wypadało z ukróceniem pewnych swobód wewnętrznych, przychodził w pomoc Anglii patryotyzm. Ten zlewał się tak wybornie z interesem kraju i odpowiadał tak wybornie dumie narodu który się rządzi *sam przez siebie*, że zaprawdę trudno rozróżnić tych uczuć połączonych w jednym wyrazie patryotyzmu angielskiego.

Interes Anglii, jest właśnie owym punktem zetknięcia się jéj polityki zewnętrznéj z wewnętrzną, *państwa* z *self-government.* Interes państwa jest najwyższą zasadą w systemacie idei państwa, interes Anglii jest najwyższą

zasadą w systemacie *self-government*. Interes państwa może się spotkać z interesem Anglii, może także być mu przeciwnym. W ostatnim razie, który któremu ustąpi?..... „Sprawa królowéj Izabelli musi zwyciężyć, choćby tylko z téj przyczyny że tego wymaga interes Anglii“—zawołał w parlamencie lord Palmerston w epoce wojny hiszpańskiéj z pretendentem Don Karlosem.— „Do czegóż dojdziemy z tą zasadą?“— zapytał Robert Peel, siedzący wówczas na ławach opozycyi przeciw gabinetowi whigowskiemu — „oto do usprawiedliwienia każdéj zbrojnéj interwencyi, choćby w najniesłuszniejszéj sprawie, skoro tylko zdawać się będzie ministrom że tego wymaga interes angielski“.—Był to głos Anglii w obec państwa.....

Ale lord Palmerston przyjął wszystkie następstwa postawionéj zasady, i z nim razem przyjął je jak się zdaje i naród angielski. Anglia przystąpiła śmiało do systematu państw i polityka jéj zewnętrzna nie różni się w niczém od polityki innych państw kontynentalnych. Uznaje ona narodowości, alež i inne państwa takowych nie zaprzeczają, tylko porówno z Anglią nie biorą ich nigdy w rachubę polityczną. Obojętną jéj forma rządu państw kontynentalnych; wiąże się w przymierza według interesu z pominięciem wszelkich innych względów; podpisuje traktaty oparte na równowadze politycznéj; nie odpycha podstawy wspólności zasad i solidarności interesów; zgoła zajmuje przeważne miejsce w obecnym systemacie państw porówno z innemi wielkiemi mocarstwami. Przyglądając się jak najpilniéj zewnętrznéj polityce Anglii, nikt domyślećby się nie mógł, że organizacya jéj wewnętrzna jest całkiem różna od reszty państw na stałym lądzie, że tak ogromna przestrzeń oddziela ją wewnątrz od idei państwa, że owe zasady które wyznaje w polityce zewnętrznéj nie mają zastósowania w polityce wewnętrznéj, że tych swobód i wol-

ności które tak lekceważy u drugich, przestrzega silnie u siebie, że nareszcie popierając kosmopolityzm na kontynencie, własną indywidualność stara się wszelkiemi sposobami zachować.

Zapewne inaczéj Anglia uczynić nie mogła. Systemat polityczny państw za nadto się wzmocnił, aby po za nim jakiekolwiek mocarstwo choćby najsilniejsze ostać się zdołało. Wojna wschodnia dała miarę potęgi tego systematu: Anglia stałe wojsko swoje do stu tysięcy żołnierza posunąć była zmuszoną. Polityka jéj wewnętrzna uczuła całe parcie idei państwa. Wywołała zmiany czyli reformy wewnętrzne, bez których już Anglii jako państwu obejść się nie było podobna.

I nie na tém koniec. Idea państwa nie tylko jest podstawą politycznego systematu, ale jest także ideą społeczną. Interesem spółecznym wpływa ona na Anglię i przedziera się do jéj polityki wewnętrznéj, i to nie od dzisiaj. Nikt już dzisiaj nie wątpi, że organizacya spółeczności angielskiéj ulegnie zmianom. Piszą o tych zmianach od dawna: jedni upatrują w nich upadek Anglii, inni widzą pomyślność w przyszłości. Nie zapuszczając się w odgadywania, tyle z pewnością twierdzić można, że zmiany te, które odpowiadają w Anglii głoszonéj ciągle reformie administracyjnéj, będą zmianami społecznemi. Praktycznie tego dowodzi rozbicie się dawnych stronnictw. Niema torysów i whigów; są konserwatorowie i liberały. Dawne stronnictwa reprezentowały interesa czysto angielskie, dzisiejsze podziały stronnictw przedstawiają tylko odcienia spółeczne.

Bo téż nie ulega wątpliwości, że przyszłość każdego kraju nie zależy dzisiaj od zmian politycznych lub konstytucyjnych, ale od organizacyi jego spółecznéj. Podstawa spółeczności jest dziś niepewną, przeciw niéj wymierzone są napady i ona téż stawia opór. Nie chodzi prawie nigdzie o formę polityczną spółeczności ale o jéj

istotę. Czy te same zasady na jakich stała dotąd, utrzymać się i nadal potrafią—oto główne zadanie w każdéj polityce wewnętrznéj.

Podobnież i w Anglii. Kwestya polityczna jest tam rzeczywiście kwestyą społeczną. Instytucye stworzone są dla ludzi, a nie ludzie dla instytucyj. Instytucye angielskie mogą być jak najlepsze, i ci co stają w ich obronie, to jest arystokracya, mogą jak najlepsze zajmować stanowisko dla utrzymania ich, przecież to jeszcze nie pozwala przesądzać, że wygrana będzie po ich stronie. Cała społeczność angielska, a raczéj stosunek w jakim ona sama zostawać będzie do tych instytucyj, orzeknie stanowczo w tym względzie. Stosunek ten może być różny, ani go odgadnąć podobna, ale to pewna, że przyszłość Anglii nie zależy od samych jéj instytucyj.

Prawda, że instytucye angielskie sprzeciwiają się głównie wpływowi idei państwa na wewnątrz, że one to stanowią ową różnicę między polityką wewnętrzną Anglii a jéj polityką zewnętrzną. Lecz opór jaki stawiają zastósowaniu teoryi państwa nie pochodzi z ich formy, ale z ich istoty. Siła instytucyj angielskich nie leży w parlamentaryzmie jak niektórzy utrzymują, ale w żywiołach z jakich instytucye te powstały i na jakich się dotąd opierają, a szczególnie na żywiole arystokracyi angielskiéj. Jeżeli Anglia zdołała się uchronić dotąd, jeżeli zdoła się uchronić i nadal od absolutyzmu i anarchii, jakiéj kraje kontynentalne ulegały na przemian, zawdzięcza to nie tylko swéj organizacyi politycznéj, swym wiekowym instytucyom, ale przedewszystkiém stanowisku jakie w téj organizacyi zajął żywioł arystokratyczny. Szlachta angielska zajęła całkiem inne stanowisko niż szlachta innych krajów; nie wyrzekła się ona nigdy związków z nieszlachtą, z plebejuszami; nie jest wyłączną, przypuszcza tak zwanych ludzi nowych; a język

angielski nie ma wyrażenia na niewłaściwe związki (*mésalliance*) i na dorobkowiczów czy parweniuszów (*parvenu*). Polskiemu językowi także tych wyrażeń brakuje..... Szlachta angielska nie była nigdy obcą dla ludu angielskiego, sprawy ludu i jego interesa nie leżały nigdy po za jéj sferą, nie była również nigdy na usługi korony, jakkolwiek ta żadną miarą bez jéj pomocy obejść się nie mogła. Ztąd też arystokracya angielska nie jest jedynie podporą instytucyj angielskich, jest żywiołem rzeczywistym w narodzie. W przypuszczeniu żeby izba lordów została zniesioną, to konstytucya byłaby zapewne nadwerężoną zewnętrznie to jest w formie, ale nie byłaby jeszcze zniweczoną w swéj istocie. Duch arystokratyczny i cecha narodowa mogłyby pozostać, bo prawdziwą podstawą wspaniałego gmachu konstytucyi angielskiéj jest autonomija gminna czyli *self-government*.

Dopóki ta autonomia istnieje w całéj swéj sile, dopóty Anglia może być na zewnątrz państwem w ścisłém znaczeniu dzisiaj tego wyrazu, ale na wewnątrz być niém nie potrafi. *Self-government* bowiem nie dozwala społeczności angielskiéj przywdziać owéj formy administracyjnéj, na kontynencie biórokracyą zwanéj. Niema w Anglii biórokracyi, i to jest prawdziwą i jedyną podstawą jéj wolnych instytucyj. Anglia ma ten wyłączny na świecie przywiléj, którego nie mają nawet Amerykanie. Przywileju tego używa Anglia dzięki arystokracyi. Lecz arystokracya angielska nie za pomocą parlamentaryzmu usunęła dotąd biórokracyę od Anglii. Parlament nie zdołałby dokonać, czego dokonała arystokracya swem bogactwem i rozumnie zajętem stanowiskiem. Przez nią to bowiem Anglicy nie potrzebowali płatnych urzędników, bo arystokracya pełniła niepodlegle i bezpłatnie wszelkie usługi jakich wymagało życie ludu angielskiego. Gdyby arystokracya angielska działała była

inaczéj, byłaby zapewne upadła, jak upadła wszędzie pomimo parlamentów. Ustąpienie niektórych przywilejów feudalnych, których arystokracya angielska się zrzekła, nie byłoby jéj zapewne uratowało od zguby, bo upadek systematu feudalnego był wszędzie prawie poprzednikiem upadku arystokracyi, jak był kolébką biórokracyi. Na ruinach bowiem tego systematu wznosiła swój systemat idea państwa. Nie mogła więc nic innego uczynić arystokracya angielska po upadku systematu feudalnego, jak zająć stanowisko powyżéj wskazane w narodzie, jeżeli społeczność angielska nie miała się przeistoczyć w formie wytkniętéj przez ideę państwa, jeżeli Anglia nie miała mieć biórokracyi, jeżeli chciała zachować *self-government*, a oraz jeżeli arystokracya chciała się uchować od zguby. Dosyć spojrzeć na liczne usiłowania jakie w niejedném państwie europejskiém spostrzegać się dają, a dążące do odnowienia arystokracyi. Restauracya arystokratyczna obok biórokracyi jest niepodobieństwem, równie jak utrzymanie *self-governmentu*. Na nicby się nie zdały arystokracyi angielskiéj prawa majoratów i inne swobody arystokratyczne czyli przywileje instytucyj angielskich; bo widzimy że przywileje te przysługujące dotąd arystokracyi w niektórych krajach zwłaszcza niemieckich, nie przysporzyły jéj wpływu, ani téż wróciły stracony. Parlamentarna forma rządu nie byłaby również uratowała arystokracyi angielskiéj i *self-government*. Parlament nie jest wyrazem wolności angielskiéj, nie jest jéj istotą, jakkolwiek może być nieraz jéj organem, bo wychodzi dzisiaj z *self-government*. Ten ostatni daje mu tylko konieczną autonomię, aby mógł być organem wolności. Gdzie tego nie masz, tam parlament niema autonomii, jest formą zewnętrzną wolności bez treści. Parlament nie posiadający autonomii zgadza się wybornie z biórokracyą. Wybory wtedy służą biórokracyi, a ta znów służy stronnictwom w parlamencie. Tak było we

Francyi. Jakież usiłowania łożą Prusy aby w parlamentaryzmie połączyć biórokracyę z odnowionym na pozór żywiołem arystokratycznym, a skutkiem tego coraz większa tylko i zawikłańsza budowa maszyny rządowéj. W którymże kraju gdzie istnieje parlament bez autonomii, podniosła się arystokracya z upadku?.. Arystokracya angielska nie miała innéj drogi jak utrzymać *self-government*, przez wykazanie praktyczne, że Anglia obejść się może bez biórokracyi za pomocą stanowiska zajętego przez arystokracyą w narodzie. Jest on też jedynym przywilejem narodu angielskiego; przezeń zachowała Anglia swoją autonomię naturalną. *Self-government* jest jedyną podstawą nie tylko polityczną ale i społeczną instytucyj angielskich, wolności i swobód, jakich mieszkańcy W. Brytanii używają.

Jeżeli więc Anglia dąży do zmiany w swéj organizacyi wewnętrznéj, jeżeli ulega naciskowi jaki na nią wywiera idea państwa, któréj cały kontynent hołduje a którą Anglia w swéj zewnętrznéj polityce wyznaje; to w przeobrażeniu tém nie idzie o to ile i jakiéj zmianie ulegną instytucye angielskie, ale czy przez to naruszoną będzie sama podstawa tych instytucyj, ich rękojmia, słowem *self-government*.

Rozwiązanie zaś tego zawisło od stosunku, w jakim się do niego znajduje społeczność angielska. Czy Anglia zdoła obejść się bez biórokracyi?—to cała kwestya społeczna w Anglii. Bo jeżeli Anglia zdołała dotąd za pomocą *self-government* uchylić się przed biórokracyą, to nie zdołała się uchronić od kwestyi społecznéj. Społeczność angielska wielkim uległa zmianom, a biórokracya przedstawia się dzisiaj jak się zdaje wielu umysłom w Anglii, jako środek zaradczy przeciw złemu społecznemu które się w pośród niéj szerzy. Wiele zapewne przyczyn sprowadziło kwestyę społeczną w Anglii, wyliczać ich niepodobna, ale przedewszystkiém przypisać ją na-

leży przemysłowości nie znającéj granic. Przemysł pochłania w Anglii wszelkie inne żywioły nie tylko bogactwa narodowego, ale rzec można, żywioły istnienia. Zbyt wygórowany i bezmierny przemysł wyrodził niebezpieczny proletaryat i zagraża autonomii angielskiéj. Arystokracya która z całém poświęceniem stała w jéj obronie i dotąd stoi, nie może już prawie rachować na żywioły które dawniéj były jéj sprzymierzeńcami. W miastach znikła cała siła małego mieszczaństwa, stało się ono niewolnikiem kapitalistów. Korzyści z przemysłu i handlu ograniczają się zwykle do niewielkiéj liczby, nigdzie też niema wyraźniejszego i gwałtowniejszego przedziału między bogatemi i ubogiemi jak w miastach angielskich. Drobny przemysł w obec olbrzymiego ruchu jaki się w Anglii rozwinął, utrzymać się nie mógł, poszedł więc na usługi wielkiego przemysłu, lub przemienił się w proletaryat. Po wsiach podobnież, cała owa klassa dzierżawców, *yeomanry*, która uchodziła i słusznie za milicyę arystokracyi angielskiéj, zmniejszyła się nadzwyczajnie. Wytworne tylko rolnictwo, wymagające wielkich nakładów, a tem samem zasobów gospodarza, wytrzymać może konkurencyę z podobnym przemysłem i handlem jaki jest w Anglii. To też wieśniacy niepodlegli zniknęli prawie, dziewięć dziesiątych gruntów w Anglii należy do kapitalistów. Ci mają tylko bogatych dzierżawców, ubodzy i pomniejsi zeszli do proletaryatu. Z owéj niesłychanéj massy proletaryatu, ciągłe bunty wyrobników, nędza, demoralizacya, przeciw czemu napróżnoby szukać lekarstwa w kościele anglikańskim. Bo jeżeli powiedzieć wolno, że niemasz nic demokratyczniejszego nad arystokracyę angielską, to również śmiało utrzymywać się godzi, że niemasz nic arystokratyczniejszego nad kościół angielski. Obchodzą go tylko wyższe klassy, ale stoi on po za ludem, któremu nawet wychowania nie daje. Przez trzy wieki

używa swych ogromnych bogactw bez żadnéj dla ludu angielskiego i jego sprawy korzyści. Dziś zapóźno by podobno już było zmienić to stanowisko. Kościół angielski rozpada się coraz bardziéj na sekty, słabnieje tak, że nawet małą jest arystokracyi podporą.

Dotknięta tu tylko kwestya społeczna w Anglii, ale rozwinięcie jéj wymagałoby obszernéj rozprawy. Pobieżne te jednak uwagi mogą posłużyć na wskazanie, jak mocno zagrożona jest dzisiejsza organizacya społeczna w Anglii, a zagrożona właśnie w swéj autonomii. Niema się czemu dziwić że ciągle wznoszą się głosy coraz liczniejsze za reformą i to administracyjną, w miarę jak wzrasta proletaryat, jak się mnożą pretendenci do urzędów, do sprawowania téj służby w narodzie, która się w *self-government* bezpłatnie odbywa. Biórokracya w takiem położeniu społeczeństwa nie jednemu ratunkiem chwilowym wydawać się może.

Ku niéj też dążyć się zdaje lubo niewyraźnie wielkie stronnictwo w Anglii popierające reformę. Kierunek ten jest ważną stroną z któréj ostatnie wybory oceniać wypada. Po tém co się powiedziało łatwiéj może przyjdzie zdać sobie sprawę z właściwego znaczenia owych nazw konserwatorów i liberalnych kandydatów. Odnosiły się one jedynie do reformy, ale idąc głębiéj, konserwatorowie chcą utrzymać autonomię angielską czyli *self-government*, liberaliści w ostatnim wyniku dążą do zmiany w kierunku idei państwa. Widać już zaś w samych nazwach parcie téj ostatniéj, aby Anglię zespolić z systematem kontynentalnym, gdzie liberalizm nie prowadził bynajmniéj do wolności.

Koalicya która sprowadziła rozwiązanie parlamentu, nie była ani konserwatywną ani liberalną. Jak sama przez się dowodziła rozbicia dawnych stronnictw, tak też najwierniejszym tego rozbicia była wizerunkiem. Do koalicyi należeli konserwatorowie i liberalni członkowie

parlamentu i to nawet najostateczniejszych odcieni. Stronnictwo ministeryalne złożone było także z dwóch różnych żywiołów lubo zostających z sobą w mniéj rażącéj sprzeczności. Połączenie się takowe konserwatorów i liberałów w parlamentarnéj koalicyi tłumaczyć się raczéj daje wspólną chęcią obliczenia się z opinią publiczną i zaczerpnięcia w niéj nowéj siły, aniżeli zamiarem zastąpienia nowego gabinetu, bo żywioły składające koalicyą zbyt niepewne tylko mogły rościć do tego pretensye. Ale rzeczą było pewną, że jeżeli ministeryum nie ustąpi, i odwoła się do opinii jak się też stało, to wybory odbędą się na polu reformy. Od chwili bowiem jak się w Anglii podniosła kwestya społeczna, i rozwiązała dawne stronnictwa, nie ma już ani być może innego dla walki wyborczej pola. Kwestye społeczne wyższe są nad wszelkie inne, i nie tylko mieszczą je w sobie lecz je absorbują.

Obrachunek ten z opinią publiczną nie wypadł na korzyść stronnictwa zachowawczego, na korzyść dawnych instytucyj angielskich. Wybory utrzymały ministeryum a raczéj lorda Palmerstona, ale za pomocą większości danej stronnictwu liberalnemu, tak znacznéj jak się jéj nikt w Anglii nie spodziewał, a przedewszystkiém sam szef gabinetu który jest liberalnym konserwatorem. Wypadek ten wyborów mało znaczący pod względem polityki zewnętrznéj Anglii, nie zmienia jéj bowiem prawie w niczém; ale ważnym on jest niesłychanie pod względem polityki wewnętrznéj, nie tylko z powodu owéj większości stojącej pod hasłem wyraźném reformy, ale także z powodu sposobów któremi ów wypadek osiągniętym został.

Sposoby te dowodzą pewnéj zmiany stosunku w jakim społeczność angielska zostawała do swoich instytucyj. Stronnictwa używały dotąd swego wpływu ku otrzymaniu zwycięztwa na wyborach i inaczéj być nie

mogło. Wpływ ten na wybory dla przeprowadzenia kandydata nie zawsze bywał wywierany za pomocą dozwolonych środków; przeradzał on się w przekupstwo i różne nadużycia, i to także inaczéj być nie mogło. Była to jedna ze słabych stron organizacyi społecznéj w Anglii, która jak nic na świecie nie była doskonałą. Ale ową słabość mogła wytrzymać organizacya W. Brytanii, bo *self-government* równoważył tę niedoskonałość jeżeli jéj znieść nie zdołał. Nadużycia nie dosięgały instytucyj angielskich, bo się tylko w parlamentarnéj sferze zamykały, ani też ukracały swobód i wolności jakich używała społeczność. Dziś zdaje się że nadużycia te inną przybrały cechę i to bardzo groźną. Z wystąpieniem proletaryatu, z upadkiem średniéj klasy tak po miastach jak po wsiach, słowem ze zmianami zaszłemi w społeczności angielskiéj, zmienić się także musiały chcąc niechcąc sposoby używane w walkach wyborczych. Świadczą o tém krwawe sceny jakich teatrem były ostatnie *hustyngi* czyli zebrania wyborcze w wielu miejscowościach. Skoro znikły naturalne narzędzia wpływów na obiór kandydatów, pojawiły się nowe nader niebezpieczne. Przekupstwo doszło do zgorszenia przechodząc w proletaryat, agitacya przerodziła się w intymidacyą. Wolność wyborów w osobie wyborców została zagrożoną: to już sięga samej instytucyi przez brak harmonii w jakiéj z nią społeczność zostaje. Wszystko to wypadło na korzyść reformy. Reforma elektoralna, czyli rozszerzenie kół i pomnożenie dystryktów wyborczych ma zapobiedz podobnym zgorszeniom; tajne głosowanie ma być jedynem przeciw intymidacyi lekarstwem. Dwie nader ważne zmiany na które dziś przystaje część opinii publicznéj; druga szczególniéj tak przeciwna uczuciom staréj Anglii (*Old-England*), a nawet dumie, charakterowi i indywidualności narodowéj, że dotąd Anglik nie pojmował prawie aby głosować mógł inaczéj jak

podniesieniem ręki, rumienił się na samą myśl aby się miał ukrywać z objawieniem swéj opinii politycznéj. A przecież dzisiaj ową reformę tajnego głosowania, o któréj dawniéj marzyli zaledwie chartyści, a radykaliści nawet ze wstrętem ją odpychali, jakkolwiek bardzo przydatną im być mogła, ową reformę wraz z reformą wyborczą, większość liberalna ma przedstawić i popierać na przyszłym parlamencie.

Konserwatorowie ponieśli więc nie tylko liczebną klęskę na ostatnich wyborach ale także i moralną. Do jakichże nowych koncessyj będzie zmuszona arystokracya angielska? lub téż czyli uzna obecną chwilę za stósowną do wzięcia inicyatywy?.... Reforma elektoralna mieści się także w owym dawnym programacie radykalistów angielskich, którego dwa pierwsze punkta: bill katolików i bill zbożowy przeprowadzili dwaj torysi lord Wellington i sir Robert Peel. Walka z arystokracyą, ciągłe jéj osłabianie, przez wzmacnianie administracyi na korzyść korony, przez zniesienie kościoła narodowego i nieustanną reformę wyborczą—oto tło programatu. Upadek arystokracyi i wybory powszechne — oto jego ostatnie słowo. Wtedy już Anglia nie będzie miała *self-government,* zniknie różnica jaka istnieje między wewnętrzną polityką angielską a zewnętrzną. Anglia będzie tylko państwem.

Lecz pomimo złowieszczych symptomatów jakie wskazują ostatnie wybory dla kolei którą Anglia postępować się zdaje, przesądzać trudno o zmianie jakiéj ulegnie jak niemniéj o chwili w któréj takowa nastąpi. Zależy to głównie od kwestyi społecznéj, a postęp jéj ani przewidzieć ani obrachować się nie daje. Sądzić można że go nie przyspieszą rewolucye. Chronią Anglię od wszelkich gwałtownych wstrząśnień jéj instytucye, tak jak wolność i jawność ochraniała ją zawsze od spisków i tajnych towarzystw. Niechcą też rewolucyi najzaciętsi

nawet stronnicy rzeczonego radykalnego programatu, choćby wykonanie jego i wieki trwać miało. Zwycięztwo nad arystokracyą osiągniętem być ma drogą właściwą anglikom, drogą reform. Duch zaś organizacyi społecznéj w Anglii jest arystokratyczny, a przywiązanie anglików do swéj autonomii tak wielkie, iż zapewne stopniowo tylko odzwyczajać się od niéj będą mogli..... „Wzmacniajmy rząd — wyrzekł za czasów Pitta lord Granville — ale nie żądajmy nigdy od niego aby był wszystkiem i we wszystkiem“..... Wyrazy te cechują dotąd arystokracyę angielską. Podpiera ona koronę ale strzeże autonomii. W tém jéj siła która tak prędko nie ulegnie. Korona angielska nie zechce zapomnieć téj prawdy: że na tém tylko co stawia opór, opierać się można.

Maurycy Mann.

KRONIKA.

Kraków w kwietniu.

Gdybym wiedział, że czytelnik niezajrzy do przeszłorocznéj „Kroniki“ kwietniowéj, mógłbym z małą zmianą ograniczającą się jedynie na różnicy pogody obu kwietniów, przepisać co do słowa to wszystko co już tam było napisane. Było wówczas biało jeszcze na polu, dziś już zielono, ale odmienność téj barwy bynajmniéj nie wpływa na ludzkie sprawy. Za nadto oddaleni jesteśmy od natury, za wiele hołdujemy nawyknieniom, abyśmy w miarę pogody zmieniali coś więcéj prócz sukien, raz cieplejszych drugi raz chłodniejszych. Prawda, że i ta zmiana odzieży mogłaby nastręczyć rozległy przedmiot dla Kroniki, gdyby się na nią zapatrywać ze stanowiska mód. Mylnieby sądził ktoby mniemał, że mody są jedynie wymysłem fantazyi jakiego paryskiego krawca lub modniarki. Mają one daleko wyższe znaczenie cywilizacyjne, które ocenić można jedynie w wielkich odstępach, dosadniéj przeciwieństwa wykazujących. Zmiana mód z roku na rok, ich stopniowe przeobrażanie się uchodzi zwykle oka historyka, a pozostaje jedynie widne oku specyalnych ludzi. Ale już kilkudziesięcioletni przestwór czasu obfity nastręcza materyał, którego w dziejach narodów i świata pomijać nie należy, tak jak się nie pomija ich literatury, sztuk, przemysłu i obyczajów. Poznano się już na tém w Niemczech i we Francyi,

gdzie nie tylko zajęto się wydawaniem rycin przedstawiających ubiory z różnych epok, ale nawet zbieraniem zabytków strojów, o ile takowe przechowały się do naszych czasów. Takie muzea starożytności utrzymują u nas jeszcze tylko żydzi, u których wszakże już więcéj nie napotka odwiecznych na tandecie strojów, bo przejście z jednéj mody w drugą odbywa się w dzisiejszym wieku tak spiesznie, iż suknia noszona w kwietniu, stać się może przestarzałą w maju, a do drugiego roku będzie wyglądała jak zabytek starożytny, który śpiesznie na nowomodny krój przerobić wypada.

Mylne o jednostajności ubiorów w Polsce wyobrażenie zrodziło powszechne mniemanie, że kontusz i żupan, czapka czworogranna z obszyciem futrzaném, podgolona czupryna, but żółty lub czerwony, były zawsze takiemi jakie widzieliśmy za młodu u tych jeszcze osób które pod koniec zeszłego wieku nie przebrały się jeszcze po francusku. Wszelako stare familijne obrazy, posągi na nagrobkach, monety stare, archiwa, pamiętniki, dyaryusze domowe, wreszcie różne inne zabytki pisane i niepisane, inaczéj nas przekonywają. Zmieniano mody i dawniéj lubo nie tak często jak dzisiaj, bo ubiór sprawiony do ślubu służył niekiedy jeszcze do trumny — jednakże lubo powolnie, zmiana mód odbywała się ciągle. Wprawdzie nie zawsze mają na to wzgląd malarze historyczni, powieściopisarze i reżyserowie teatralni, bo jak się o tém nieraz przekonywamy, oblekają oni swoich bohatyrów jakiejbądź epoki, wieku i stanu w jednakową zwykle odzież. A przecież tak w Polsce jako i wszędzie panowały pewne mody w pewnych czasach, a zmiany w nich czynione dowodziły zazwyczaj, że jakiś wpływ swojski czy cudzoziemski dał do tego powód. Od rzymskiéj togi aż do dzisiejszego fraka przechodziła Europa przez niezliczone mnóstwo mód: saraceńskich, rycerskich, kastylskich, szwedzkich, holenderskich, francuskich a u nas i węgierskich. Ubiór nasz narodowy także ze wschodu pochodzi.

Żadna moda nie da się wprowadzić, jeżeli nie odpowiada obyczajom, potrzebom, pojęciom estetycznym i etycznym, wreszcie klimatowi. Nadaremnie małpowano podczas Dyrektoryatu we Francyi starożytny strój grecki; była to tylko zawsze maskarada chwilowa.

Ubiór maluje nam tak dobrze wiek i ludzi, że z form jego można wnosić o stanie obyczajowym i umysłowym społeczności która go nosi, o jéj charakterze, usposobieniach, słowem o jéj moralnéj stronie. Ani widzimisię, ani przymus, narzucić go niemogą. Nigdy jeszcze nieprzebrano całego narodu w inny strój; ale kiedy nadeszła chwila duchowego przeistoczenia, pół wieku wystarczyło na przebranie go. Bloomeryzm nie znalazł rozgłosu; a mimo prób czynionych w tym wieku, rozwiązły ubiór bachantek dworskich z czasów rejencyi nieznalazł nigdzie przyjęcia. Każda epoka ma odpowiedni sobie ubiór, a naród który w téj epoce rej wiedzie, nieraz przebrał całą Europę w swój strój narodowy.

Gdybyśmy posiadali tak dokładne badania historyczne do naszych dziejów krajowych jak je posiadają na Zachodzie, możebyśmy zrozumieli dla czego raz podgalano u nas głowy, drugi raz zapuszczano włosy, tak jak wiedzą np. Anglicy, dla czego inaczéj nosił włosy Cromwell, a inaczéj Monk.

Uporczywe obstawanie przy jednéj modzie dowodzi pewnéj nieruchomości przybierającéj na siebie niekiedy pozory zachowawcze; przerzucanie się znów nagłe w przeciwieństwa, jest świadectwem lekkomyślności i braku wszelkich zasad. Czcze i lekkie umysły gonią za modami: dla tego mężczyzni w ogóle mniéj są skłonni do nagłych przejść w ubiorach, niżeli płeć niewieścia; dla tego przedziergnienie się w jednéj chwili z obwisłego kontusza w kusy strój francuski odpowiadało zupełnie usposobieniu poniatowskich czasów i nagłym zmianom politycznym. Owczesnego patryotę trudno wyobrazić sobie w koronkowych mankietach i atłasowych po kolana spodniach, i słusznie autor „Listopada“ stawiając obok siebie dwa sprzeczne w narodzie żywioły ubrał obu wyobrazicieli ich w odmienne suknie. W komedyi: „Wąsy i Peruka“ taż sama przedstawiona sprzeczność, ale bardziéj już ze stanowiska, że tak powiem krawieckiego i perukarskiego, bo tam szło głównie o to co z tego dwojga do twarzy. Aby przeskoczyć przepaść oddzielającą wąsy od peruki, kontusz od fraka, trzeba było głosu złudnéj syreny i błyszczącego senatorskiego krzesła, a na taki lub tym podobny lep niejedna dała się złowić mucha.

Zmiana mody nie jest rzeczą obojętną. Piotr W. zaczął europejszczyć naród swój od przystrzygania połów odzieży i bród kacapów, cesarz Mikołaj przywrócił kokosznik do dawnéj powagi. Moda nie jest rzeczą samego wybryku, ale wypływem pewnego kierunku objawiającego się również w powierzchowności przez krój sukni. Ztąd historyczne znaczenie mód. Gołębiowski w swoich „Ubiorach" przygotował niejakie materyały do historyi ubiorów w Polsce, lubo nie wszedł w ich ocenienie, nie zestawił ich i nie rozgatunkował, ani téż wpływów na zmianę ich nie badał, zawsze jednak miał uczucie potrzeby zbierania i ocalania od zatraty tego co mu się dostało pod rękę. Jakież to piękne a stósowne zadanie dla wydziału archeologicznego i sztuk pięknych w Towarzystwie Naukowém Krakowskiém, żeby w téj gałęzi nagromadzić materyały, jakich mu dostarczyć obficie zdołają różne zabytki przeszłości. Im dłuższa zwłoka, tém plon potém mniejszy, boć już i jupkę i złocistą czapkę mieszczanki krakowskiéj albo błękitną kapotę mącznika z pamięci chyba odrysować dziś przyjdzie.

Kronikarz krakowski „...*qui n' est rien, pas même Académicien*" chciał jedynie mówić ze stanowiska sobie właściwego o modach nowoczesnych, a mimowolnie tylko potknął o obce sobie sfery historyczne i dla nich zapomniał o istotnym temacie swoim, wzywającym go wszystkiemi afiszami jarmarcznemi rozlepionemi po rogach ulic i wszystkiemi płaszczykami, mantylami, przyodziewkami, tużurkami i „*inexprimables*" powiewającemi z okien składów odzieży.

Przyglądając się skromnej odzieży męskiej, z materyału po większej części wełnianego, o barwach jednostajnych, mało rażących, nawet ciemnych, przyszły mi na myśl te różnych epok i narodów niegdyś ubiory tak wspaniałe i strojne, na które składały się jedwabie, złoto, perły i kamienie, gdzie suknia była od razu miarą zamożności noszącego ją; gdy tymczasem dzisiaj zaledwie dostrzedz różnicę między odzieżą milionowego pana a człowieka żyjącego na bardzo skromną stopę. Ta, pominąwszy frak, prostota ubioru męskiego, coraz widoczniej zbliżająca się do naturalnych form i ruchów ciała, jakże daleką jest od przesady strojów niewieścich, którym zbywa na głównych cechach dobrego smaku,

wygody a nawet po części i przyzwoitości! Dzięki wprawdzie przemysłowi wysoko doprowadzonemu, zamiast koronek brabanckich wolno nosić tiul saski, a zamiast kaszemirów wełnę; zawsze jednak większa tu zachodzi różnica między pierwszemi a drugiemi, niż w odzieży męskiej. Odzież męska zeszła od tkanego złotem płaszcza hiszpańskiego, od aksamitnego kaftana lub jaskrawego kontusza i słuckiego pasa do czarnego fraka lub burego paletotu; a u kobiet też same co i dawniej rogówki, tylko że je teraz inaczej zowią, też same brokaty szeleszczące, też same peruki, tylko że inaczej trefione. Obok rozdętej sukni żoninej, obok jej kapelusza, który zamiar osłaniać głowę osłania tylko tajemnice sztuki perukarskiej, mąż powinienby jeszcze nosić pudrowaną głowę i trójgraniasty piróg, papuzi frak i fałdziste spodnie, na które kilkanaście łokci materyi wychodziło. Dzisiejszy stósunek odzieży między mężczyzną a kobietą jest tak nienaturalny, że go w najwyższych warstwach społeczeństwa zdołano zaledwie zatrzeć przez zaprowadzenie tak zwanych ubiorów dworskich. Natomiast u włościan zachodzi zawsze pewne ścisłe powinowactwo odzieży między płcią oboją, a to nie tylko u nas, ale i wszędzie, gdzie ubiór wiejski nieprzerodził się jeszcze pod wpływem miast i przemysłu fabrycznego. Sukmana lub górnica chłopa polskiego jest tylko nieco dłuższa niż u baby; w Tyrolu zaś, Węgrzech i Grecyi podobieństwo ubioru u obojej płci jest jeszcze bliższe. Wpływ jednak miast i przemysłu fabrycznego nie jest obcy i ze względu na ubiory wiejskie, a świadczą o tem chustki bab wiejskich w okolicach Krakowa. Od niejakiego czasu rzadziej już ujrzy na wieśniaczce sukmanę lub górnicę, a zastąpiły ją wełniane chustki czerwono i zielono kratowane. Coraz rzadziej ujrzy na wieśniaczce białą płachtę rzuconą przez ramiona w formie szalu. Moda przeto i do chaty wiejskiej już zajrzała. Przynosi ją także do domu wysłużony żołnierz, który nierychło potem wraca do kapelusza wiejskiego, nawykłszy do czapeczki wojskowej z daszkiem zadartym.

Po tym wstępie o modach, zapowiadającym, że zapewne zejdę do właściwego zadania mego, i z całą dokładnością biegłego w sztuce opiszę krój, barwę, części składowe, przeznaczenie i nazwę owych niezliczonych

familij, rodzajów, gatunków i odmian motylego świata mód; że się zastanowię nad rzeczywistą i względną wartością owych pajęczych tkanin, których byt efemeryczny zaledwie trwa parę miesięcy; że wreszcie dowiodę, jako *prix fixe* nie jest czém innem jeno *praetium affectionis;* po tym, mówię, wstępie wyznać niestety muszę; że miał mi on posłużyć jako zagajenie sprawozdania o jarmarku na ś. Wojciech w Krakowie otwartym. Obszedłem bowiem tego dnia do koła rynek i rzędy bud jarmarcznych, ale tylko by zdala przyjrzeć się rodzącemu się dopiero ruchowi, zostawiając sobie na później ścisłe zbadanie wszystkich przedmiotów, rozpoznanie wartości, dobroci i gustu towarów, słowem robienie dokładnych obserwacyj, jakich wymaga sumienność takiej pracy. Nie przewidywałem wszelako, że jarmark wśród tak pogodnego nieba i wiosennego ciepła rozpoczęty, dozna tak nagłej przerwy. Deszcz bowiem zimny, przenikliwy rozpędził wkrótce kupczących, wyludnił ulice, pochował porozwieszane przed składami kupieckiemi towary, zabłocił przystęp do kramów. Wypadło mi więc chcąc niechcąc zdawać sprawę z tego tylko co się w dniu otwarcia jarmarku pobieżnie widziało, co mimowolnie utkwiło w pamięci. Pragnąc uobecnić sobie ten widok choć tak przelotny, zasiadłem w ciepłym pokoju i otuliwszy się szlafrokiem, przy matowym połysku lampy, otoczony kłębem dymu cygarowego, słuchając świstu wiatru siekącego deszczem po oknach, przywoływałem na pamięć to wszystko com w ciągu dnia poprzedniego widział.

Zatopiony w tych myślach zasnąłem, i zdało mi się, że po wszystkich dachach domów, chodnikach ulic i trawnikach plantacyj kupcy jarmarczni rozłożyli prawdziwe lniane płótna swoje, a ponad tą białą oponą uwijało się stado kruków wyskubując z płótna wszystkie nitki bawełny, i gdzie który kruk dotknął się dzióbem, tam zaraz przez wyskubaną szparę przeglądało błoto uliczne. Dalej znów rozwieszona krynolina przywdziawszy na wierzch sznurówkę form lubieżnych i wypuściwszy z pustych otworów ramion koronkowy zarękawek, oderznęła frak ze spodniami rozpięty na kołku i bujający wysoko w powietrzu przed domem handlarza odzieży męskiej, i pochwyciwszy się z tym wisielcem puściła się w pląsy po rynku. Wnet cała zgraja towarów wszelkiego ro-

dzaju wypadła ze sklepów i kramów i w dziwaczne wiążąc się grupy poszła za przykładem pierwszej pary. Kupcy z rozpaczą zamykali opuszczone kramy i z wyciągniętemi rękami pochwycić starali się usuwające się zbiegi. Ja stojąc oparty o róg ulicy afiszami oblepiony zapisywałem chciwie każde zdarzenie tego dziwacznego widziadła, rad że mi ono posłuży do sprawozdania jarmarcznego; każda zaś para tańcząca przesuwając się koło mnie rzucała mi sążnistą reklamę na pochwałę swoją napisaną, żądając bym ją zamieścił w tej Kronice.

Zmęczony szybkiém pisaniem rzuciłem pióro, i szelest ten obudził mię. Przetarłem oczy, było już widno, lampa zgasła, dachy pokryte śniegiem, ulice puste, kramy zamknięte. Nie było już wywieszonych krynolin, niepowiewały fraki i spodnie na długiéj żerdzi przed składem kupieckim, wiotkie mantyle i przezroczyste koronki zziębnięte schowały się do pudeł, a na jarmarku wiosennym *mackintosh* tylko, parasol i kalosze bezkarnie spoglądać się ośmielają na lejący z góry deszcz i rozmiękłe w błocie lakierowane trzewiki zuchwałego przechodnia. Taki początek krakowskiego jarmarku na ś. Wojciech.

Lwów w kwietniu.

Wielki post i święta Wielkanocne minęły; wiosna nie tylko do drzwi puka, ale już wita nas, już gości — toć to przecież epoki w roku. Słusznie by więc zapytać można: „co przyniosły nowego?“ — Nie wiele! — „Czem bohat, tém rad„ mówi ruskie przysłowie.

Zaczynam od Wielkiego Tygodnia. Nikt nas nie pomówi od parę lat, że mijamy wielkie rocznice — owe, jak mówi Kremer „słupce milowe ziemskiej pielgrzymki“ — zimnem obojętnem okiem. Nasze kościoły i w tym roku zawsze pełne. Modlitwa — zdaje się patrzącemu na ten lud tłumnie zgromadzony, jest dziś jakby powszechną potrzebą serca; powiem więcéj, jest jakby jednem wszystkich natchnieniem. — „Ilekroć“ mówi mój przyjaciel „spojrzę na ten lud tłumnie zgromadzony w świątyni pańskiej, staje mi przed oczyma owa modlitwa majtków na okręcie w opisie Chateaubriana,

a my, jak owi żeglarze stojący na kruchych deskach, na przepaści bezmiernéj, wzrokiem ufności u nieba uczepieni". — Wyższe warstwy społeczeństwa przodkują w tym względzie niższym i — *exempla trahunt.* Oby tylko pomniały, że exempla trahunt *wszędzie* i *zawsze*, nietylko w kościele, ale i za kościołem. Nasi duchowni i kaznodzieje odznaczają się gorliwością nader przykładną, a ci ostatni opuścili w kazaniach i mowach kościelnych, dawniej u nas znany gościniec krasomowczy, kiedy to głos z ambony był raczéj jakimś traktatem szkolnym, wykrojonym według jakieś miary retorycznéj. Dziś zdarza się już usłyszeć z ambony mowę do umysłu i serca, czerpaną w świętem słowa bożego natchnieniu i wcieloną w ową wdzięczną potoczną formę, bez wymusu, na wzór francuzkich kaznodziejów, zajmującą osnową swoją i ogniem uczucia. — Piękna forma wszędzie i zawsze ma powab, a w krasomówstwie z ambony jest prawdziwą potęgą. Piękna forma łatwiéj zjednywa serce dla treści — i w tym razie krasomowstwo na ambonie jest w takim stosunku, jak sztuki piękne w ogólności, do obrzędów religijnych. Język polski na ambonie poprawia się. Jakkolwiek w wymowie duchownéj nie jest on jedynym celem, wszakże skoro na ambonach niemieckich mówią pięknie i czysto po niemiecku, a na francuskich czysto po francusku, dla czegożby u nas język miał być zaniedbany. Jest też dzięki Bogu i nadzieja, że braki i niedokładności ustąpią gruntownej znajomości języka, do czego przyczyni się bez wątpienia wszechstronna gorliwość naszych duchownych i otwarcie katedry języka polskiego i literatury przy uniwersytecie lwowskim.

Wielki Tydzień podał także towarzystwu muzycznemu sposobność spróbować sił swoich w wielkich kompozycyach kościelnych, i trzeba oddać słuszność członkom jego, że wypadek tych usiłowań chwalebnych prześcignął w ogólności śmiałe nawet oczekiwania i pretensye nasze muzykalne. I tak słyszeliśmy w Wielki Piątek w kościele katedralnym „Siedm słów" Haydena, wykonane pod dyrekcyą p. Doktora Pfeiffra, nietylko gorliwego miłośnika muzyki, lecz oraz gruntownego znawcy. Wykonanie samo niosło w ogólności znamię znakomitego postępu muzyki u nas i dzielnych wpływów towa-

rzystwa, a różnica od wykonania w roku zeszłym chyliła się widocznie na postęp, ku chlubie wykonywających. — Introdukcya (w D mol) szła jeszcze nieco wahającym krokiem; za to z siedmiu następujących numerów udały się doskonale: drugi (C mol), trzeci (E dur) i szósty (G mol). Tylko w tak zwaném „*terrae motus*“ tempo nieco za prędkie, niezupełnie odpowiadało charakterowi wzniosłości i grozy. — Ależ bo nie od razu Kraków zbudowany. — Jeśli pomniemy, że człoukowie wykonywający są tylko miłośnikami muzyki po największéj części, a pomiędzy tymi wielu, którym nie jest dano odpoczywać na samych tylko falach eolskich i różanych kwiatach, to dziwić się trzeba, że znajdzie się tu i owdzie tyle zamiłowania i tyle postępu obok pracy na chleb powszedni. Sola były tak rozdane: *sopranowe* w ręku panny Ambros, któréj tu należy najchlubniejsza wzmianka, tudzież panny Wygrzywalskiej i panny Wenser. *Alto* śpiewała pani Grotker; *tenor* pan Sebera, głos łagodny ale bardzo przyjemny, *Basso* pan Szumlański, głos silny, intonacya nader czysta i kunsztowna. Chóry były dość licznie obsadzone. W niedzielę wielkanocną wykonano także w kościele katedralnym wielką mszę Humla z chlubną dokładnością. W ogólności dźwigamy się jakoś w muzyce, ale do obszernego w niéj rozmiłowania za krótki czas istnienia towarzystwa muzycznego, mimo wszelkich jego usiłowań i mimo starań chwalebnych prezydenta Kalchberga.

Mówiąc o świątecznych zdarzeuiach nie godzi się pominąć wzmianki o Święconem. — Obchodzimy je dawnym naszym obyczajem; obchodzono je świetnie nawet w pierwszy dzień świąteczny u przewiebnego Arcybiskupa i u hr. Władysława Badeniego, nazajutrz zaś u hr. Badeniowéj matki. Świadkowie naoczni twierdzą o rzadkiéj tych „Święconych“ okazałości. Śród licznego towarzystwa w salonach hrabiów Badenich, widziano także Namiestnika kraju z dostojną małżonką i Arcybiskupa, jako téż wiele osób świetnego imienia.

Koncerta braci Wieniawskich zachwycają nas. Dawno już dawno, bo od czasów Karola Lipińskiego, nie słyszeliśmy artysty tak czarodziejskiej siły i wdzięku, jak Henryka Wieniawskiego. Nie będę wam opisywać téj cudownéj gry, któréj wysoką doskonałość głosiły już

znamienite znawców europejskich pióra, którą zresztą sami znacie. Jedno tylko z ubolewaniem nadmienię, że na pierwszy i drugi koncert publiczność niedość licznie zebrała się. Niektórzy mówią: „ciężkie czasy! ceny podniesione!“ — Stara to jak świat skarga; wszakże Lwów, jeżeli z czego słynie, to z podniesionych cen w sklepach i na targach w trójnasób, i to od lat kilku; a przecież kiedy niedawno grywała na scenie pani Aszpergowa, to orkiestra, dla przysporzenia widzom miejsca musiała emigrować za kulisy. Pesymiści twierdzą, że materyalizm naszych czasów niesie z sobą bezświadome zobojętnienie dla każdéj idealnéj strony życia. „Bajki“ powiada mój sąsiad, „bo widzisz, pieniądz, choćby najgoręcéj pożądany, zawsze tylko pożądany jako środek, nie zaś jako cel; miłośników grosza dla grosza wyśmiał Molier i inni przed nim. Świat zawsze lubi się bawić.“— A więc cóż? *Hic Rhodus, hic salta.* — Niech kto inny skoczy, czyli raczéj szuka powodów tego nielicznego zebrania się w okoliczności etykietalnej i dobrowolnéj, a zarazem niegrzecznie spełnionéj, — ja wyznaję, że dla mnie taka okoliczność w zawodzie artysty jest niepojętą zagadką. Miejmy nadzieję, że czas, ów Hippokrates na wszystkie rzeczy ludzkie, naprawi kiedyś to co może młodociana niebaczność na wyższe względy zepsuła. — Może ja się za ciemno wyrażam? Pozwólcie niech tym razem doniesienie będzie tak ciemne, jak zdarzenie.

Komitet do sprawy teatralnéj ukończył swe czynności i oświadczył się w sprawozdaniu swojém większością czterech przeciw jednemu (który tylko przy pierwszem posiedzeniu był obecny) za uchyleniem p. Chełchowskiego od przedsiębiorstwa i dyrekcyi artystycznéj sceny lwowskiéj, dla jego niezdolności i niedbałości. W razie zaś, gdyby miał utrzymać się przy kontrakcie, aby tenże był zostawiony tylko przy przedsiębiorstwie, dyrekcya zaś artystyczna aby była oddana osobnemu dyrektorowi artystycznemu, niezawisłemu od przedsiębiorcy, płatnemu na koszt tegóż ze subwencyi stanowéj i podlegającemu wraz z przedsiębiorcą kontroli osobnéj delegacyi jednego lub więcéj członków stanowych z ramienia opieki nad sceną polską ustanowionéj aktem fundacyi ś. p. hr. Skarbka. Mylnie podaną wiadomość

co do liczby członków głosujących, w korespondencyi ze Lwowa w Nr. 82 *Czasu*, niniejszém sprostować proszę.

Wiedeń w kwietniu.

Obraz życia stolicy w tym miesiącu, na który podług kalendarza przypada wiosna, byłby różnym od tego którym wam przesłał w mym marcowym liście, gdyby kalendarz i atmosfera, idąc zgodnie, odpowiedziały szczerze oczekiwaniom i nadziejom tem słuszniejszym, że opartym na położeniu geograficzném stolicy Austryi. Jesteśmy tu w rzeczy saméj więcéj ku południowi niż Paryż. Ale gdy na sekwańskiéj dolinie, z kwietniem rozpoczynają igrać ciepłe zachodu tchnienia, przesmyk dunajski w którym otoczony od wschodu i zachodu górami wznosi się Wiedeń, jest areną wiatrów północnych lub czysto południowych zwanych *siroco*, przenikających zimowym dreszczem lub duszących letnim prawie skwarem. W tym roku nie zwykle spędziliśmy miesiąc kwiecień wśród téj walki, w któréj przewaga pozostając na stronie zimna, pozbawiła nas zarazem wszelkich prawie przyjemności wiosennych. Zaledwo dni kilka było ciepłych i pogodnych: reszta deszczy lub wiatr prawie mroźny. Wegetacya przeto spóźniona, i w ogólności biedna i leniwa. Prater i Glacis zaledwo w téj chwili zaczynają się zielenić. Zabawy publiczne, lubo otwarte po ogrodach i przy głównych przechadzkach, mało uczęszczane. W godzinach wszakże cieplejszych, widzieć można było ruch niezwykły, i pod wielu względami prawie zupełnie nowy. Ubiory dam szczególniéj odznaczały tę zmianę życia, idącą za zmianą pory roku. Lecz te i tym podobne złudzenia, trwały niedługo: i w jednym i tymże samym dniu można nieraz było spotkać tak w strojach jak w naturze wiosnę i zimę.

Wszakże dzień drugi Wielkanocy, który tu jest prawie urzędowém ogłoszeniem wiosny, był tak pięknym i ciepłym, iż ludność wiedeńska, bogata i uboga, wolna od wszelkich innych zatrudnień, pokazać się mogła w całém swém do życia miejskiego, upodobaniu. Prater, ta uprzywilejowana jedyna istotnie w Wiedniu przechadz-

ka, był w tym dniu jakby zalaną snującym się pieszo, konno i w powozach tłumem. Arystokracya pokazała nawet w tych ostatnich pewien przepych. Kilka zaprzęgów uderzało doborem koni i świeżością karet lub koczów. Lecz i w téj małéj, wyborowéj liczbie, brakowało nie jednemu z nich na prawdziwéj elegancyi, która głównie spoczywa na harmonii i odpowiedniéj przyzwoitości wszystkich składowych części. Przy pięknym powozie i dzielnych koniach, woźnica lub jockey z wąsami, wydałby się w Paryżu lub Londynie, osobą godną maskarady. Zaprzęgi czworokonne węgierskie, wziętoby gdziekolwiek indziéj za pociąg pocztowy. Tu, uczucie narodowości lub brak smaku, protegują nawet tego rodzaju widowiska. Jedno, w czem Wiedeń od lat kilku znacznie postąpił, są konie wierzchowe. Liczba pięknych, szczególnie angielskich coraz większa. Moda jazdy konnéj opanowała w tym roku nawet płeć piękną, i otwarła jakby szkołę do popisów. W wyścigach tych księżne Windischgrätz, Schwarzenberg, i hrabiny Bathyany i Nako pierwsze dotąd trzymają miejsce.

Po rozrywkach tego rodzaju, główném źródłem zabaw wieczornych są teatra. Opera włoska przyciąga więcéj niż w latach poprzednich cały świat wysoki. W lożach i na parterze nawet, widać w strojach dam, świeżość, wyszukanie, i często przepych. Brylanty i kwiaty stały się prawie koniecznym dodatkiem do reszty ubioru. Muzyka włoska wywołała nadto życie, zapał, nawet zachwycenie w téj zimnéj zkąd inąd publiczności. Trzeba wprawdzie wyznać, że skład teraźniejszy kompanii artystów, jest o tyle, o ile życzyć można, wyborny. Spiewaczki zwłaszcza liczyć się mogą do najpierwszych w Europie. Pani Medori, która w latach przeszłych główne tu już zajmowała miejsce, utrzymała w tym roku godnie zwłaszcza w operach Verdego, zjednaną już sobie sławę. Głos pani Medori odznacza się szczególniéj siłą i rozciągłością. Giętkość za którą idzie czystość śpiewu, są w nim także, o ile artystka chce kierować się sztuką i dobrym smakiem, a nie przesadą do któréj czasami wabią śpiewaków oklaski złudzonéj chwilowo publiczności. Pani Lotti della Santa którąśmy słyszeli takie w muzyce Verdego, unika bardzo zręcznie téj ponęty, i dobrze kierowanym, a z natury pięknym, dźwięcznym

i dziwnie sympatycznym głosem, zachwyca duszę, serca i uszy. Jest to śpiew w którym sztuka, smak i organ naturalny w zupełnéj są ciągle z sobą zgodzie. Panna Leśniewska, rodem z Warszawy, znana na tutejszéj scenie z lat przeszłych, i pierwsze zajmująca miejsce w rozmaitych teatrach włoskich od dawna, znalazła tę samą w publiczności dla niepospolitego swego talentu i dźwięcznego głosu względność jaką miała dawniéj. Śpiéw jéj zdaje się nawet że się podoba teraz jeszcze więcéj, co przy powyżéj wymienionych spiewaczkach nowém i chlubném o jéj artystycznéj wartości jest świadectwem. Pani Charton-Demeur przypomina mi sławną panię Persiani, która w muzyce Belliniego i Rossiniego, zachwycała tak długo Paryż i całą Europę. Ma głos delikatny, czysty, dźwięczny i giętki w zadziwiającym stopniu. W rolach gdzie potrzeba śpiewu tkanego że tak powiem perłami, jak w Rozynie (*Cyrulika Sewilskiego*) będzie niezrównaną. W *Somnambula* i *Nozzi di Figaro* podobała się szczerze i rzęsistemi okrytą została oklaskami. Co do pani Brambilla, o téj śmiało powiedzieć można, że jest jedynym prawdziwym *contralto* na teraz w Europie. Głos silny świéży, metaliczny i sztuka niepospolita, a przytém tak w śpiewie jak w grze, dusza i zapał. Część męzka artystyczna jest w porównaniu z temi olbrzymami kobiecemi, za słabą, ale wystarcza wymaganiom nieubłaganéj konieczności. PP. Bettini i Pancani dwa tenory dzielą się rolami jak mogą, i w muzyce Verdego mają prawie te same zasługi i oklaski. P. Debassini baryton już znacznie zużyty co do głosu, jest ciągle niezrównanym pod względem sztuki i gry. Pan Carrion, tenor lżéjszy nadrabia sztuką o ile trudnościom śpiewu sztuka wydołać może, modyfikując, zniżając, przekładając, słowem stosując muzykę do głosu jaki ma jeszcze i któremu na przyjemności w pewnych chwilach niezbywa. Pan Bettini młodszy, tenor lekki, ma głos dźwięczny choć cienki i posługuje się nim dobrze. Pan Angelini, basso, jest godnym pochwał i oklasków które odbiera, pod każdym względem Pan Rossi, *basso buffo*, jest ulubionym od tutejszéj publiczności z przeszłego roku.

W innych teatrach mało co nowego i godnego wspomnienia. Pani Bayer-Bürck rozpoczyna swe przedstawie-

nia w Burgtheater. Jest to dla publiczności już za stara może znajomość.

W operze niemieckiéj w Josephstadttheater pan Kamiński tenor, ma głos przyjemny, i który przy ćwiczeniu i nauce, stanie się znakomitym. O innych artystach mówić będę w następnym liście, gdyż raz tylko dotąd ich słyszałem.

Paryż w kwietniu.

Bale i teatra któremi Paryż przez całe sześć tygodni pocieszał się po utracie karnawału i umartwienia postne osładzał, ustały z kwietnią niedzielą; w Wielki Tydzień przyjęte tu tylko dwa rodzaje zabawy: tak zwane koncerta *spirytualne* (zapewne z powodu nieobecności polki) i *Longchamps*, wielko-piątkowa przejażdżka po Polach Elizejskich, nader ważna, bo stanowiąca o całorocznych modach. Czemu na ten powszechny popis krynolin i kapeluszy, fraków i kamizelek, koni i powozów — na tę expozycyę wszelkiego rodzaju gałganów — na tę szczytną emulacyę kokieteryi, próżności, fałszu, świecącéj nędzy i oburzającego zbytku, z trzystu sześćdziesięciu pięciu dni roku wybrano właśnie dzień męki Chrystusa? to tém chyba wytłómaczyć można, że Paryż był i będzie po wszystkie czasy pod szczególniejszą opieką Jego Szatańskiéj Mości, która walcząc nieustannie z tytularną opiekunką jego ś. Genowefą, najpotworniejsze jéj pupilom nasuwa pomysły.

Któż nie przyzna, z tych co znają Paryż, że jest on arcydziełem szatana - najwyrafinowańszym i najsubtelniejszym extraktem pokus, jakie ku zatracie człowieka odwieczny nieprzyjaciel nieba na piekielném ognisku wysmarzył? Któż, jeżeli nie on, mógł założyć owe kawiarnie z marmuru i złota, w których trawią życie miliony próżniaków, sybarytów, graczy — owe teatra pełne co wieczór śmiechu i skandali — owe restauracye, bale, koncerta, gdzie ludzie tracą zdrowie i duszę, ale tak przyjemnie, tak słodko, że nie czując siarki i nie widząc przepaści, sławią dawcę tylu rozkoszy i wołają rozmarzeni: „Królestwo twoje przyszło, Panie!“

A tu mi może zarzucisz przesadę: twierdzić będziesz że jest jeszcze w Paryżu nie mało tak zwanych *esprits forts,* którzy nie wierzą w djabła ani w jego królestwo. Otóż powiem ci że się mylisz. Nigdy wiara w wszechpotężną interwencyę szatańską nie była tutaj powszechniejszą jak teraz. *Ce n'est que le premier pas qui coûte;* od chwili jak uwierzono w wirujące, piszące i tańcujące stoły — poczęto wierzyć w stukające duchy, upiory, strzygi, widziadła, pokutujące dusze, magnetyzerów, wróżbitów, kabalarzy — słowem we wszystko prócz w Boga.. a kto wie, może i w niego z pomocą Huma uwierzą Francuzi.

Nie spytasz mnie zapewne kto jest ten wszechmocny, boć już blisko pół roku jak sława jego rozlega się po świecie, jak weń uwierzył i wyposażył go, najrozumniejszy człowiek we Francyi — jak Paryż tylko za nim biega, o nim pisze i mówi — aleś ciekawy może szczegółowego opisu choć jednego z tysiąca cudów, choćby jednego bez przesady opowiedzianego figla jakiemi imponuje stolicy świata nowy Kaliostro. Zaczynam od jego portretu.

Amerykanin Hume dwudziesto cztero letni młodzieniec, małomówny, posępny, blady, z wyniosłem czołem i oczyma latającemi jak jaskółki przed burzą, ma powierzchowność co się zowie mistyczną.

— Rzecz prosta zawołasz, przyzwoity czarnoksiężnik nie może inaczéj wyglądać.

Rozumie się, muszę cię tylko uprzedzić na wstępie, że powierzchowność ta nie jest maską, ale naturalnym wyrazem twarzy. Młody czarodziéj, niewyrodny syn nowego świata, nie dba wcale o efekt; zawsze i wszędzie bez ceremonii, nie stoi o poklaski, o zapłatę nie prosi — robi cuda bez żadnéj ostentacyi — co mówiąc między nami, jest najcudowniejszą jego stroną.

— Do rzeczy, do rzeczy, zawołasz znowu, mniejsza o to jak wygląda, powiadasz że robi cuda, mów prędko gdzie, co i jakie? Czyś na nie patrzał własnemi oczyma? czyś widział? a jeśliś widział czyś dobrze widział?...

O niewierny Tomaszu! Jeszczem nic nie powiedział, a już wątpisz, spodziewałem się tego, i jak uważasz, z wszelką oratorską ostrożnością przystępowałem do rzeczy, czując pewien wstręt do opowiadania nadzwyczaj-

ności w naszym wieku oświeconym — gazem. Ale ponieważ naglisz, bez dalszych wstępów opowiem jedno posiedzenie, za którego autentyczność pół Paryża przysięgnie jeżeli zechcesz.

Działo się to krótko przed wyjazdem Huma do Ameryki, na ulicy de Beaune, w domu w którym umarł ś. p. Voltaire. Miejsce znaczące.

Około dziesiątéj wieczorem zebrało się tam liczne towarzystwo literatów, artystów, filozofów, dyplomatów, exministrów i exdziennikarzy, tych co za mało, i tych co nadto świat znają, słowem ludzi z natury swojéj najmniéj łatwowiernych. Hume usiadł przy stole średniéj wielkości, nakrytym kobiercem — łokcie oparł na stole a głowę na dłoniach, jak człowiek co duma lub drzymie, i tak nieruchomy pozostał parę minut. Po kilku chwilach stół spiął się...stanął na dwóch nogach (nie na czterech jak twierdzą ci co podwójnie widzą) i począł jęczeć i zgrzytać, podobnie jak parowiec miotany falami wzburzonego morza — po czém do zwyczajnego stanu powrócił, i tylko rozpostarty na nim kobierzec wzdymany niewidzialnym prądem, podnosił się i opadał nakształt płótna które na scenie naśladuje morze.

Każden z obecnych mógł się przekonać że pod tym stołem i pod tym kobiercem nie było nic widomego.

Jednocześnie, jednemu z widzów niewidzialną siłą wyszarpnięta chustka, uciekła z ręki, i poleciała, jak motyl do innéj osoby na przeciwnym końcu salonu będącéj — a inny znów spektator siedzący około zaczarowanego stołu, uczuł na nodze drapanie ostrych pazurków, podobne do przymilań figlującego kota. Zbladł nieborak jak chusta, i gdyby nie to że Akademik, a więc nieśmiertelny, byłby pewnie umarł ze strachu.

Potém...ale doprawdy nie śmiem już mówić daléj, boć i nadzwyczajności mają swoje granice...powiem jednak, kiedym zaczął, choćbym miał być przyjęty jak propagator prawd niepodobnych, powiem zanim dech utracę, że na kobiercu pokazała się ręka...

Nie inaczéj; ręka prawdziwa złożona z kości i ciała, mająca pięć palców zakończonych foremnemi paznokciami, wyrosła nagle ze stołu jak szparag...Tą razą zdziwienie przeszło w osłupienie —były krzyki, omdlenia, palpitacye, najodważniejsi pobledli. Znalazł się atoli

w téj strasznéj chwili bohater, który z narażeniem policzka, na téj pięknéj, biało-różowéj, pulchnéj ręce złożył pocałunek. Szczęściem, ręka tajemnicza zachowała się grzecznie; dotknięta ustami śmiertelnika, żadnego nie okazała wzruszenia, pozostała obojętna i zimna jak ręka trupa lub hiszpańskiéj monarchini przywykłéj do ceremonii *ręko-całowin.*

Po tém zjawisku na które patrząc sceptycy przecierali oczy powtarzając w duchu: „*Praestet fides supplementum sensuum defectui,*“ nastąpiły wróżby. Hume rozdzierał zasłonę kryjącą przyszłość przed każdym kto ją widzieć pragnął. Między innemi przepowiedział Dumasowi że w setnym trzynastym roku życia zostanie zabity w pojedynku.

Już dnieć poczynało kiedy silnie zelektryzowane towarzystwo opuściło dom Voltaira. Każden w milczeniu rozmyślał nad tém co widział lub słyszał — wielu wzdychało, nikt się nie śmiał — prócz Voltaira w trumnie.

Nazajutrz najznakomitsi paryzcy felietoniści, jak Méry, Janin, Gozlan, Gautier, Saint-Victor, pisali że Hume sztukmistrz w czynach niepojęty, że tajemna siła jaką włada, może na inne świat wepchnąć tory, że umysł ludzki nie sięga tam gdzie granica jego władzy, i różne tym podobne prawdy, których powtarzanie za zbyteczne uważam.

— Więc cóż? Cóż myśleć? jaką naukę ostatecznie wyciągnąć z tych cudów poświadczonych przez tylu znakomitych mężów?

— Żadnéj. Tę chyba, jak świat starą, że ludzie tylko baśniom wierzą, a każdą prawdę witają uśmiechem niewiary. Kiedy pasterz powiedział niegdyś, że żelazny kij jego powstrzymała góra, wyśmieli go mędrcy i uczeni: aż w końcu obejrzeli kij i górę, i odkryli magnes. Wynalazcę igły magnesowéj okrzyczano szaleńcem jak Galileusza. Pierwszy co marzył o zamorskich lądach o mało nie zginął przed odkryciem ich, wyprawiony umyślnie na zbutwiałych okrętach. Fultona i Franklina także miano za waryatów. Ale kiedy Hume obdarzony potężną dozą siły magnetycznéj ukazał się w salonach gdzie znudzono się wszystkiem, bo nadużyto wszystkiego, kiedy począł galwanizować owych nieboszczyków, bawić w sposób nowy, wyrywać chustki i dzwonki, układać kadryle

z mebli — bić jednych, głaskać drugich, innych łechtać lub skubać — nikt nie wątpi że duch Aleksandra Wielkiego podaje mu fotel — że Benvenuto uderza go w kolano — że Bethoven po klawiszach brząka — że Filip II trzyma za gardło — a stolowe nogi niezawodne piszą przepowiednie.

Ale dość już nadzwyczajności — pomówmy o sprawach ludzkich.

Owdowiała po Salvandym Akademia, zajmowała się w tym miesiącu obiorem jego następcy. Kandydatów rzeczywistych było dwóch: Emil Augier i Laprade. Po dość długiem wahaniu obrano pierwszego. Tak więc niezadługo usłyszymy z ust znakomitego dramaturga pochwalną mowę na cześć historyka Jana III.

Nie trudno będzie panu Augier napisać panegiryk Salvandego; świeżo wyrzeczona mowa pana Falloux na cześć Molégo, z odmianą nazwisk, całkowicie przydać się może ku uczczeniu drugiego ministra: dziwne bowiem pomiędzy dwoma zmarłymi Akademikami zachodzi podobieństwo. Hrabia Salvandy w gruncie człowiek uczciwy, łagodny i usłużny, należy równie jak hrabia Molé do kategoryi ludzi, którzy pod każdym rządem służą wiernie krajowi — czyli sobie; do fotelu akademickiego obaj także nie mieli innéj kwalifikacyi prócz hrabskiego tytułu, znaczenia na dworze i kilku tuzinów orderów uzbieranych na niezawsze niewdzięcznéj dyplomatycznéj niwie.

Nie pierwszy to przykład że *Nieśmiertelnych* więcéj niżby należało, obchodzą ziemskie stósunki. Opinia publiczna ciągle zarzuca Akademii, iż w obiorach swoich więcéj dba o pozycyę socyalną, niż o zasługę ludzi których w grono swoje przyjmuje — są nawet tacy co twierdzą, że o zasługę nie dba wcale. Obiór Augiera zadający fałsz powyższemu zarzutowi, zyskał uznanie powszechne.

Mówiąc o uczoném gronie, wspomnieć tu jeszcze muszę o jednym Akademiku, który niezawodnie więcéj pracuje niż cała Akademia. Pan Guizot sprzedał księgarzowi Lévy swoje *Pamiętniki* za sto tysięcy franków. (o trzydzieści tysięcy taniéj niż Pamiętniki pani Sand). Układ stanął w tych dniach. Dzieło wyjdzie w pięciu tomach; autor objął niem lat trzydzieści cztéry: poczy-

na od r. 1814, kończy na 1848. Publikacya ta wywołana podobno Pamiętnikami Marmonta, będzie jedną z najważniejszych jakie za naszych czasów wyszły na widok publiczny.

Wyszedł piętnasty tom Thiersa *Historyi Konsulatu i Cesarstwa;* rozpoczyna się odwrotem z Rosyi. Napoleon który przed sześciu miesiącami przeszedł był Niemcy z sześćkroć sto tysięczną armią, przebywa je napowrót jak zbieg sam jeden...Poprzedzony dwudziestym dziewiątym buletynem, wraca do Paryża i zastaje Francyę w osłupieniu które zwykło poprzedzać straszne wybuchy rozpaczy.

Po raz dziesiąty może, zawsze z równym talentem Thiers przedstawił Geniusza w zapasach z niepodobieństwem, wychodzącego z téj walki zwycięsko, skutkiem nadludzkich wysileń. — Jeszcze dwa tomy, a ukończoném zostanie to wielkie dzieło obejmujące od Marengo do Waterloo najświetniejszą i najfatalniejszą epokę dziejów Francyi. —

Do ważniejszych publikacyj liczą się także następujące dzieła: Proudhona „*Manuel du Spéculateur à la Bourse*“ — książka napisana z bezprzykładną teraz śmiałością, oceniająca wszystkie czynności bursowe i wpływ ich na społeczność francuską; *Historya Akademii Francuskiéj* Mesnarda; „*Recherches d' histoire réligieuse*“ Ernesta Renau — i Juliusza Simona: *Wolność sumienia.* Wszystko to są prace poważne, należące do rzędu tych których mimochodem dotykać nie można. Ostatnia szczególniej na obszerny rozbiór zasługuje, choćby tylko z powodu żywéj polemiki którą wywołała.

Jules Simon należy do rzędu najwięcéj lubionych pisarzy we Francyi. Podczas prelekcyj które miewał obejmując katedrę pana Cousin w Sorbonie, pozyskał sobie miłość uczniów i poważanie powszechne. Sposób wykładu jego niemało się do tego przyczynił. Jestto co się zowie mówca sympatyczny. Młody, z twarzą pełną wyrazu, Simon nie mówi głośno, ale tak dobrze, iż go się zawsze słyszy; w głosie, wejrzeniu, posiada dziwną przenikliwość. Z początku mówi bardzo wolno i spokojnie — rzekłbyś że umyślnie zwłóczy wykład czekając natchnienia...powoli ożywia się, koloruje, zapala — aż w końcu z mówcy zmienia się w harfę eolską. Wtedy sam

wzruszony, porusza wszystkich, pobudki wzruszenia czerpiąc zawsze z najwyższych źródeł. Tych których nie przekona ściśniętą siłą swéj logiki, porwie najczęściéj wdziękiem wymowy, jasnością myśli, głęboką wiarą w prawdę swych pojęć. Jestto uczeń Platona, grek — nie ateńskiéj, lecz alexandryjskiéj szkoły.

Jules Simon nie jest członkiem żadnéj akademii, i zapewne nigdy nim nie będzie, ale mimo to, książki jego czytane są chciwie w Paryżu, a rozprawy filozoficzne znajdują nader licznych zwolenników. W ciągu lat trzech wydał dwa znakomite dzieła „*Le Devoir*“ i „*La Réligion naturelle*“ — teraz ogłosił „*La Liberté de Conscience*“ książkę zwracającą na siebie uwagę myślicieli.

W teatrach od czasu *Fiamminy* komedyi pana Uchard, która słusznie wielkie zyskała powodzenie, pustki zupełne. Opera nie śpiewa już teraz ale tańcuje. Wielka scena na któréj zeszłéj zimy rozlegał się przepyszny głos Cruvelli lub dzwoniły słowicze tony Alboni, ogołocona ze śpiewaków, zmieniła się w hecę przedstawiającą w braku lepszych, utwory takie jak *Marco Spada* —nędzny balet przerobiony z jeszcze nędzniejszéj Scribego operetki, któréj bohaterem rzymski rozbójnik, typ zużyty i wypłowiały jak strach co przepędził zimę na wiśni. Muzyka wyraźnie wyszła z mody w Paryżu. Na parę tygodni przed zakończeniem zimowych reprezentacyj, publiczność przywoziła z sobą szachownice do Salle Ventadour, i grała w szachy z akompaniamentem Verdego lub Belliniego. „*Qual cor tradisti*“ wołała Grisi- „*szach mat*“ odpowiadano w loży. *Śpiewamy dla głuchych*, powiedział przed ośmnastu wiekami Wirgiliusz —, toż samo dzisiaj powtarza Rossini widząc Operę przemienioną w Hippodrom, a świątynię swoją w *Café de la Régence.*

Zresztą żadnéj zmiany. Krinoliny ani o jeden cal nie zmalały.

Londyn w kwietniu.

Pisząc w przeszłym miesiącu „kronikę“ wspomniałem wam o uczonym i pracowitym badaczu starożytności

anglo-saksońskich p. John Kemble. W tym zaś miesiącu z żalem przychodzi mi powiedzieć, że przedwczesna śmierć przerwała wątek jego życia, z niepowetowaną stratą dla poszukiwań archeologicznych. Umarł nagle dnia 26 z. m. w Dublinie na zapalenie płuc. Pierwej już zawiadomiłem was, zkąd zmarły powziął zamiłowanie do starożytności, dziś wyliczam co ważniejsze z dzieł jego, w mniemaniu, że niektóre z nich mogą i u was ściągnąć na siebie uwagę. W roku 1833 wydał on tekst anglo-saksońskich poematów „Beowulf" „Pieśń Podróżnika" i „Bitwę pod Finnesburkiem wraz z ich przekładem na język angielski. W roku 1834 wydał: „Historyą języka angielskiego" z epoki anglosaksońskiéj. Od roku 1839 do 1848 trudnił się z polecenia towarzystwa historycznego, wydaniem dzieła: „*Codex Diplomaticus aevi Saxonici*", które wyszło w siedmiu tomach 8vo. Od roku 1844 do 1846 wydał dla towarzystwa zwanego *Aelfric* zbiór dawnych poezyj z rękopismów Vercelskich, tudzież „Legendę rozmowową Salomei z Saturnem". Z pominieniem innych dzieł wydawanych przez niego dla towarzystwa Camdeńskiego, wspomnę jeszcze o jedném a najważniejszem: „Saksonowie w Anglii" *(Saxons in England)*. W niem bowiem znalazłem wiele obyczajów i urządzeń anglo-saksońskich mających wielkie podobieństwo z pierwotnemi obyczajami i urządzeniami słowiańskiemi; czyli to, że były ich zlewkiem przez dawne sąsiadowanie, lub też może dla tego, że wszystkie pierwotne społeczeństwa wedle jednakowych mniej więcej form się rozwijają. Czytając to dzieło, nieraz przychodziło mi na myśl, jak pożytecznem byłoby porównanie niektórych jego części z Prof. Maciejowskiego badaniami o prawodawstwie Słowian. Ostatniem Kembla zajęciem było przygotowanie i rozgatunkowanie zabytków starożytności bretońskich, rzymskich i anglo-saksońskich, na mającą wkrótce nastąpić Wystawę sztuk *(Art-Exhibition)* w Manchester; a właśnie Kemble zajmował się zbieraniem w Irlandyi zabytków sztuki celtyckiej na tęż Wystawę, kiedy go śmierć zaskoczyła. Nadto był Kemble przez kilka lat wydawcą przeglądu: *British and Foreign Review*. W oddziale tego kwartalnika przeznaczonym dla cudzoziemczyzny, umieszczał znaczną liczbę artykułów rzucających świa-

tło na politykę i stan społeczny wschodnio-północnych stron Europy, które wówczas czytane były z powszechnem zajęciem i stanowią najgłówniejszą tego pisma wartość. Nieograniczał się Kemble li na archeologicznych badaniach; lecz poświęcał się także filologii. Pewnego razu, gdym go odwiedził— było to przed kilką laty — zastałem go siedzącego nad rzadką u Anglików księgą, a przy nim Serba. Gdym go przepraszał, iż odwiedzinami memi może mu pracę przerywam. „Bynajmniej“, rzekł: „właśnie zajmuję się tem, z czego się ucieszysz. Radbym poznać waszą Słowiańszczyznę, i oto poezye serbskie, które obrałem za wstęp do niej, gdyż język serbski jak twierdzą, z wszystkich waszych narzeczy ma być najpierwotniejszym i z gramatycznego układu swego najprostszym. Obeznanie się z nim posłuży mi za podstawę do poznania innych“. To było ostatnie moje widzenie się z tym żarliwym miłośnikiem nauk. Strata jego da się mocno uczuć w Anglii, bo w jego gałęzi nauk, niema dziś mu równego obszarem wiadomości i pracą.

Do jednego z Instytutów tutejszych zjechał profesor Nichols z Glasgowa dla dania kilku prelekcyj o astronomii. Znany jako popularny pisarz w przedmiotach astronomicznych, równie jak z popularnego ich wykładu, w wolnych od uniwersyteckich obowiązków półroczach sprowadzany bywa do różnych instytutów, by udzielał w nich dla nieakademickich słuchaczy, nauk astronomicznych.

Słyszałem dwie jego prelekcye: napół czytane, napół improwizowane, by ułatwić ich pojęcie słuchaczom. Na pierwszej rozprawiał o pierścieniach otaczających Saturna. Naprzód przebiegł całą historyę odkrycia przez astronomów tych tajemniczych pierścieni, i z rysunków porozwieszanych na ścianie objaśniał ich kształt, odległość od Saturna i dostrzegane na nich przedziały. Z tych przedmiotów wnosił, że ten mniemany pierścień otaczający planetę, niebył jednostajny jak z początku wydawało się astronomom, lecz złożony jest z większej liczby pierścieni. Co do saméj natury tego nadzwyczajnego zjawiska, a właściwego samemu tylko Saturnowi, zbijał przypuszczenie, jakoby ono było wielką massą wodnistą, gdyż to co się niektórym nieprzerwaną po-

wierzchnią morza wydawało, przy pilniejszej obserwacyi, przez mocniejsze teleskopy czynionej, naprowadzało wzrok na istniejące próżnie w pierścieniu, mniejsze lub większe odstępy między jego obręczami, a same obręcze cieńsze lub grubsze, z których pozorny ten pierścień zdaje się być złożony. Najwydatniejszym i najgrubszym z nich wydaje się ten, który tworzy krawędź całego obwodu. Cała ta massa pierścieni opasująca Saturna, ulegając prawom ciążenia, nie tylko cięży ku niemu, lecz odległość jej od planety, jak astronomowie postrzegają, z postępem czasu coraz bardziej się zwęża, czyli stopniowo tak się do Saturna zbliża, jakby się miała kiedyś z nim połączyć. Z czegoż tedy ten fenomen pierścieniowy się składa? To wielkie i trudne do rozwiązania pytanie. Teorya Prof. Nicholsa — oparta jak naturalnie w tej kwestyi na przypuszczeniu — jest ta: Pierścienie te składają się z wielkiej liczby skupionych na około meteorów, jakich niezliczone mnóstwo różnej wielkości w przestrzeniach niebieskich krąży i obiega, a których nie mało za zbliżeniem się do ziemskiéj sfery spada nawet w mniejszych lub większych masach na naszą ziemię. Znamy je z nazwy jako kamienie spadające. Tak zwane gwiazdy spadające, jakie w pewnych porach roku widujemy, należą do tegoż rodzaju meteorów, podobnież asteroidy, będące meteorami większej objętości, błyszczące swem swiatłem, a któremi w pogodne noce niebo jest obsiane. Zgoła, cały system słoneczny jest przepełniony meteorami, szybującemi w różnych kierunkach po jego przestrzeniach i podlegającemi, jak się do sfery jakiej planety lub większego ciała zbyt zbliżą, powszechnemu prawu ciężkości, i wtenczas spadają na dół.

Drugi odczyt Prof. Nichols o astronomii był historycznej treści. Dał on ogólny rys odkryć astronomicznych jakie były za najdawniejszych czasów, a osobliwie u Greków. Ci przyjąwszy za pierwszą i stałą maksymę, że ziemia jest środkowym punktem wszech świata, zrobili naszą ziemię podstawą do badania ciał niebieskich. Tu wykreślił profesor na tablicy, jakie ich mogły być postrzeżenia przyjmując za środek ziemię. Mleczna droga szczególnie baczność ich na siebie zwracała. Od tego przyszli do drugiej maksymy, że wszystko na niebie

krąży na około ziemi, a wszelkie ruchy i obroty ciał niebieskich odbywają się z zupełną jednostajnością. Dostrzegli oni planety, ruch ich, ale oraz i pewne próżnie między stałemi gwiazdami, których sobie wytłómaczyć nie mogli; a osobliwie ruch Jowisza korcił ich swą pozorną nieregularnością. Pomimo to, wspólny zmysł (*common sense*) niedozwolił im odrzucić powyższéj raz przyjętej maksymy. Im dłużej atoli śledzili obroty gwiazd i uważniej się nad niemi zastanawiali, inne nieregularności po nieregularnościach i zagmatwania poczęły się im nastręczać; tak, że gwoli jej, i aby z nią wszystko pogodzić, utworzyli 96 kręgów czyli sfer w pomoc przyjętemu systematowi. Było to sztukowaniem, że tak powiem systematu, a przeto już nie systematem. Znany on jest pod nazwaniem Ptolemeuszowskiego. Wszelako sama ta usilność filozofów greckich pogodzenia, co się niedało pogodzić, wymaga po nas hołdu dla ich geniuszu. Widocznie Grecy niepowątpiewali o istnieniu harmonii wszech świata, przenikali ją rozumem, przeczuwali duszą, bo to jest boskiem zrządzeniem; w tém jedynie chybili, że mylną obrali ścieżkę do wiedzy. W takim stanie zostawała astronomia, nim się zjawił Kopernik. Wieki muszą minąć, jak się Prof. Nichols wyraził — zanim się zjawi dwóch lub trzech ludzi z takim geniuszem jak jego. Od przeszło 2,000 lat, to jest od początków obserwacyj astronomicznych, w mniemaniu najświatlejszych ludzi, ziemia była środkiem wszech świata, słońce i gwiazdy około niej krążyły; Mikołaj Kopernik uczeń waszej Jagielońskiej Akademii, wyrzekł owe wzniosłe słowo: *Sta sol!* i objawieniem tej odwiecznéj prawdy, ustanowił w miejsce błędnego, teraźniejszy systemat słoneczny. Tu uczony profesor znowu wykreślił na tablicy obraz systematu Kopernika, dla wskazania słuchaczom naocznie, w jaki sposób astronomowie teraz podług Kopernika, obserwacye swe słońca, różnych planet i gwiazd dokonywają. Tłumaczenie jego, acz w rzeczy tak na pozór trudnéj, było tak dokładne, tak do pojęcia każdego, i tak ciekawe, że mu częste oklaski dawano. A wszakże byli ludzie i to głęboko uczeni, którzy idąc za świadectwem zmysłów, długo tego systematu pojąć niemogli i prawdy mu zaprzeczali. Uporczywość takich prof. Nichols w ten sposób tłómaczył, że

opinia jako między ludźmi zmienna łatwiejszą bywa do zwalczenia, ale nie tak wiara choć błędna, ani zakorzeniony nałóg. Pycha ziemska, jak twierdził, miała też w nieuznaniu systematu Kopernika wiele do czynienia; niechciano bowiem, by tak od razu ziemią pomiatać, i jakby z tronu wszech świata ją zrzucać. Lecz co mi się najbardziej podobało w profesorze Nichols, który będąc oczytany w pismach naszego astronoma i niemi cały przejęty, to, że stawiąc się na jego miejscu dociekał: jakie Kopernik przy odkryciach swoich musiał zadawać sobie pytania i jak je rozwiązywał? Naprzykład: jeśli ziemia i planety obracają się na około słońca, czy ta ziemia i planety w biegu swym nieobracają się także na około swej osi? Czy samo słońce nieobraca się koło swojej osi? Czy ziemia nie jest okrągła? Okrągłość ziemi przed nim nie była znaną, ale prostota jego systematu zdawała się na tę myśl naprowadzać. Co wtedy było tylko zadaniem i hipotezą, to widok zaokrąglenia morza poglądających na jego przestwór z okrętów zdawał się potwierdzać, a wkrótce stwierdził to Kolumb odkryciem Ameryki. Zgoła to i większa część jego przypuszczeń zawarte w jego księdze „*Revolutiones*“ znalazły później potwierdzenie. Nieprzepomniał też prof. Nichols nadmienić, że tę księgę otrzymał Kopernik przy zgonie, w chwili kiedy duch jego, — jak mowca i zwolennik jego się wyraził — ulatywał na łono Boga prawdy, a imie jego miało na zawsze zostać nieśmiertelne na świecie. Co błędne, runąć musi, Kopernika system przetrwa, bo nosi na sobie cechę prawdy przyrodzenia. On obudził umysły do dalszych badań, i stał się następnych wielkich odkryć zwiastunem. Wiele co się Kopernikowi w myśli snuło, to sławny Galileusz po nim sprawdził. Ten jako wynalazca teleskopu pierwszy ujrzał planetę Venus, której odkrycie do utwierdzenia systematu Kopernika było potrzebne. Przez teleskop patrząc na słońce, odkrył na niem plamki niestałe, ale ruchawe, zmieniające swe miejsce. Co dowodzi, że i słońce obraca się koło swej osi; a kiedy tak się rzecz ma z ciałem większem, temci staje się jawniej, że i mniejsze muszą podlegać temu samemu prawu. Ziemia i inne planety nietylko odbywają ruch swój naokoło słońca, ale mają go także około swéj osi. Obroty te ciał niebieskich tak

są regularne na przestrzeniach nieba, że nigdy jedne drugim w drogę niewchodzą, ani nieprą na nie; zniszczenie więc jednych przez drugie jest tylko urojeniem, wszechmocna ręka temu na zawsze zapobiegła. Obawa też przed kometami, z takowego płynie urojenia i z ludzkiej niewiadomości praw wszechświata pochodzi. Kometa mająca pokazać się dnia 14 czerwca, (lubo Jan Sniadecki chce by kometa był męskiego rodzaju, poszedłem tu za gminną mową przyjmując rodzaj żeński, aby niełamać języka) a która tyle u was trwogi między ludem narobiła, niema z samej swej natury nic w sobie strasznego.

Przed kilkunastu laty zjawiła się była jedna nad poziomem naszym, zwana kometą Enkego. Astronom angielski Herschel, który dla dokładnego jej poznania użył do obserwacyi najwydatniejszej jej części na przodzie, zwanej jądrem *(nucleus)*, znalazł je zupełnie przezroczyste, tak, że przez nie mógł wyraźnie widzieć gwiazdy 15stej wielkości. Kiedy jądro komet będące najgrubszém ich ciałem, bywa przezroczystsze niż obłoki, niż najcieńsza mgła lub najrzadszy dymek, który może przecie utrudniać jasność widzenia, o ileż zatem substancya jądra komety musi być subtelniejsza, kiedy przez nią można w ogromnych odległościach inne ciała niebieskie obserwować i widzieć? A kiedy najmiąższa ich część, jądro, jest takie, o ileż to ich ogon, owa groźna na pozór rozpierzchniona miotła wlokąca się za niemi, musi być subtelniejszą i ledwie nie nad samą mgłę mdlejszą? Niema więc co się lękać tej zbliżającej się komety w czerwcu. Fizyczna jej słabość nie grozi spadnieniem włoska z niczyjej głowy, a mniej jeszcze naruszy w czemkolwiek cudowną budowę wszechświata; owszem zjawienie się jej zamiast wzbudzania trwogi, winniśmy uważać za dodatkowy przedmiot do dziwienia się harmonijnemu urządzeniu dzieł stworzenia.

W pierwszej połowie bieżącego miesiąca był Wielki piątek, jedno z celniejszych świąt u protestantów. Dzień ten obchodzony jest nabożeństwem po kościołach, a potrawy w nim bywają w wielu domach postne, pospolicie rybne, jaki zwyczaj zdaje się być przechowany z katolickich czasów. Prócz tego, rano przed brzaskiem dnia dają się słyszeć po ulicach głosy śpiewających chłopiąt

jak dzwonki. Są to piekarczyki roznoszący w koszyczkach bułeczki z rozynkami, posypane cukrem, i naznaczone z wierzchu znakiem krzyża, zwane *Cross buns;* chłopcy zwracają na siebie uwagę mieszkańców prześpiewywaniem zwrotki piosnki starożytnej, i wcale przyjemnej melodyi:

Hot Cross-buns, hot Cross-buns
One a penny, two a penny
Hot Cross-buns *).

Zwyczaj ten pieczenia w Wielki piątek krzyżowych bułeczek jest bardzo dawny. Jedni odnoszą go do katolickich czasów, a drudzy do wieków druidów, dowodząc, iż i u tych krzyż miał symboliczne znaczenie.

Lubo Wielki piątek jest dniem świątecznym, pozwolono wszakże tego roku na otwarcie po południu Pałacu kryształowego, aby dla ludu robotniczej klasy dać sposobność widzenia przedmiotów sztuki, przemysłu i zabytków różnego rodzaju tam nagromadzonych. I nie na próżno dano to zezwolenie, lud londyński z niego korzystał, bo zjechało się go tam do 27,000. Okroił się z tego i zysk dla Pałacu.

Wielkanoc w Anglii nieróżni się od innych dni świątecznych. Niema u Anglików święconego, ani sadzenia się gospodyń na wyborniejsze pieczywa babek jak u nas; niema żadnych przyjęć gościnnych, bo na nie surowość wyznań protestanckich niepozwala. Całem zajęciem bywa w ten dzień chodzenie trzy razy na nabożeństwo do kościoła. Poniedziałku wielkanocnego wcale nie święcą.

---

*) Ciepłe z krzyżem bułeczki, ciepłe z krzyżem bułeczki
Jedna za penny, dwie za penny
Ciepłe z krzyżem bułeczki.

GAZETKA LITERACKA.

Kraków. Ten rok, można powiedzieć zaczął się pod szczęśliwą wróżbą dla naszego piśmiennictwa naukowego; ledwo bowiem znakomite i wielce pożądane dla historyi ojczystego prawa, dzieło A. Z. Helcla opuściło prasę, zaraz zjawia się czcionkami Drukarni Czasu gruby tom: *Fizyologii zmysłów* wyłożonéj przez Dra J. Majera prof. fizyol. w Krakowie. Uczony ten mąż, oprócz tylu zasług, ma jeszcze tę wielką zasługę, że pisząc w ojczystym języku nietylko wzbogacił go całym działem terminologii lekarskiéj, ale nadto jak się o nim wyraził sławny fizyolog Purkynie, z powodu pierwszéj części jego dzieła: *Fizyologia układu nerwowego*— że „jeżeli prof. Majer przejdzie tym sposobem wszystkie oddziały Fizyologii, natenczas Polacy będą mieć dzieło naukowe téj zupełności i dokładności, jakie nateraz w Europie jedynie od Niemców oczekiwać, i od nich dopiéro na różne języki przekładać się zwykło.“—Zaszczytna ta pochwała męża takiéj naukowéj powagi jak Purkynie, przekonywa że i u nas są siły naukowe mogące iść o piérwsze z potęgami naukowemi zagranicy. — Dodać winniśmy, iż wydawca p. Friedlein niczego nieszczędził, aby dzieło to wyrównało najozdobniejszym, a oraz ekonomicznym, jak na książkę naukową przysto', wydaniom Lipskim lub Paryzkim.

— W téjże drukarni *Czasu* wyszedł *Rocznik* XXXVIII Towarzystwa Dobroczynności miasta Krakowa z r. 1856. — Znajduje się w nim ciekawa historyczna wiadomość o starożytnym obrazie N. Panny w kaplicy Koletek, napisana przez Konst. Hoszowskiego b. senatora itd. a następnie inne szczegóły odnoszące się do administracyi funduszów Tow. Dobroczynności.

— Oprócz niemieckiego przekładu *Maryi* Malczewskiego przez Schrola wydanego w Krakowie, a który jest chwalonym przez niemieckie dzienniki, wyszedł inny przekład tegoż poematu u Breitkopfa w Lipsku.

— P. Tessarczyk wydał trzeci

zeszyt *Żywota* Cesarza Ludwika Napoleona — następnie ma wydawać żywot Cesarza Mikołaja. — *Czytelni Domowéj* Wildta wyszedł już V zeszyt zawierający dalszy ciąg romansu: *Dred.*

— W litografii *Czasu* wyszła litografia wykonana i komponowana przez młodego malarza p. Jaroszyńskiego, a przedstawiająca wyścigające się furmanki krakowskie.

— W Lahr wydano niemiecki poemat pod napisem: *Herr Luxus, eine polnische Volkssage* z godłem: „Zaczął złotem, skończył błotem". — Przedmiot ten wzięty jest z powieści gminnéj: *Pan Zbytek*, znajdującéj się w zbiorze pism szanownego Wójcickiego, z których przeniósłszy się do Wurzbachowego dzieła: *Die Sprüchwörter der Polen*, posłużył za temat nieznanemu poecie. Utwór ten zaleca się prostotą i płynnością wiersza w harmonii z treścią powiastki gminnéj.

— Alfred Arneth wydał po niemiecku „*Własnoręczną korespondencyą Karola III hiszpańskiego* (późniéj jako Karol IVty cesarz) z *kanclerzem czeskim hr. Wratislawem* († 1742)". W dziele tém jest i dla historyka polskiego niejedna rzecz nowa, która rzuca światło na dyplomacyę polską czasu wojen o sukcesyą hiszpańską. Listy te pisane były po niemiecku własnoręcznie, jako między poufałymi przyjaciołmi. Na próbę tu list jeden. Król Karol pisał 12 lutego 1710: „O Prusach będziecie już wiedzieć że zawarły szkodliwe przymierze ze Szwecyą i wciągają do niego Hanower, który marzy o koronie rzymskiéj; prócz tego słychać za rzecz pewną, że Polska (August Saski) chce swego syna zrobić katolikiem w nadziei ożenienia go z jaką małą arcyksiężniczką, aby tym sposobem dostać z czasem koronę rzymską: sami poznacie, jakieby z tego wynikneły następstwa, i spuszczam się na was, że będziecie mieli dobro swoje na uwadze, które całkiem w wasze ręce składam".

Hr. Wratislaw odpisał na to: „Nie jest też to bez ale, że Albani nalega na króla Augusta (polskiego), aby kazał syna wychowywać w wierze katolickiéj, i że król obiecał mu, i papieżowi jako głowie kościoła nieźleby wytłumaczyć, chociaż politycznie mówić o tém nawróceniu nie wypada zaprawdę domowi rakuskiemu, wszelako sumienie nasze nie dopuszcza abyśmy temu przeszkadzali. Rzeczony król August zamierza także z powodu swojego następcy związek z najstarszą z arcyksiężniczek cesarskich, staram się ten zamiar przewlec i usiłuję Cesarza w téj maksymie utrzymać, że lubo trzeba dawać dobre słowo, ale nie można się niczem wiązać, zwłaszcza, że pretendentów wielu, którzy obiecują tym co w to wierzą, że mogą dać przy tém zarobić więcéj niż stotysięcy złotych". We wrześniu 1711 raz jeszcze Karol mówi o zamiarach Augusta i pisze: Papież, jak słychać, bardzo skłonny dać koronę rzymską księciu Saskiemu (rzeczywiście August III ożenił się z córką Józefa cesarza).

Przemyśl. *Biblioteki Polskiéj* oddziału poetycznego, opuścił prasę czwarty zeszyt zawierający: *Wszystkie dzieła Jana Kochanowskiego.* Zdaje się że na siedmiu zeszytach skończy się ta pożądana i nad zwyczaj tania publikacya. Wydawca p. Turowski razem z nakładcą p. Dzikowskim chcą przyozdobić swoje wydanie portretem nieśmiertelnego poety Zygmuntowskiego. — Życzyćby należało żeby publiczność uwzględniała tyle starań, tém więcéj że

pisma Kochanowskiego będące wybornym wzorem czystości i mocy języka, składem myśli i uczuć wzniosłych religijnie, powinny się jak najwięcéj rozpowszechniać, aby każdy kto czytać umié, i ma jakie takie wykształcenie, czytał je, i kształcił na nich umysł i serce. W takim razie można zrobić niektóre odmiany w edycyi, dając jedną edycyę dla wyżéj wykształconych zupełną, a w innéj popularniejszéj wyrzucając niektóre drażliwe kawałki z Fraszek, w czém ile nam wiadomo, wydawcy przemyscy, dowiedli już swojéj oględności.

Warszawa. Biblioteka Warszawska na Kwiecień następującéj jest treści:

Nagrobek Bolesława Chrobrego rozpoznany przez Augusta Bielowskiego. Cyganie. Dramat w pięciu aktach wierszem przez J. Korzeniowskiego. Wycieczka na Litwę. Wspomnienia podróży, przez Ferdynanda Nowakowskiego.—O Mellonim i pracach jego, przez Hippolita Skrzyńskiego. Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Przyjęcie do Akademii pana Biot, i mowa Guizota. La Question d'argent, komedya Dumasa syna. Kometa Karola IV. Kurs antropologii professora Quatrefages. Sprawozdanie z podróży naturalistów odbytéj w r. 1854 do Ojcowa. O poezyi włoskiéj w średnich wiekach jako źródle do boskiéj komedyi Danta. Przekład z A. Fryderyka Ozanama. Kronika literacka. Miano słowiańskie w ręku jednéj familii od trzech tysięcy lat zostające, czyli nie Zendawesta, a Zędaszta, to jest życiodawcza książeczka Zoroastra. Tłumaczył z zędskiego języka Ignacy Pietraszewski. Berlin 1857. Przez J. Papłońskiego. Archiwa prowincyonalne w państwie pruskiém. Przez X. M. Przegląd muzykalny. Studya nad muzyką dramatyczną, czyli operą. Przez M. K. Wojciech Oczko, nadworny lekarz królów polskich, rodem z Warszawy. Przez J. T. L. Czas i dodatek miesięczny.

— Najświéższa, a zajmująca bez wyjątku wszystkich publikacya ulubionego rysownika prof. J. F. Piwarskiego, pod tytułem: *Kram malowniczy warszawski* wyszła w 3cim zeszycie, który mieści następujące cynkografie zalecające się staranném wykonaniem i trafnością pomysłu w chwytaniu scen z życia ludu naszego. 1. Portret Jana Siestrzyńskiego nauczyciela instytutu głuchoniemych i pierwszego założyciela litografii w Warszawie. 2. Usłużny faktor, czyli Kubuś się przeciera. 3. Jędrzéj Pietraszek kobziarż z Zawoja pod Babią górą. 4. Stanisław Radwan Służewski dawny towarzysz kawaleryi narodowéj. 5. Kolenda dla ubogich. 6. Po uczcie dla ludu. Cztery takie zeszyty obejmujące razem dwadzieścia kilka rycin i litografii formatu wielkiego arkusza kosztuje u nas 12 rs. Ta prawdziwie nasza publikacya, mogąca ozdobić ściany, o wiele przyzwoiciéj i stósowniéj, niż zwykłe obce litografie drogo płacone, zasługuje na najżywszy współudział publiczności.

— Biada temu, kto ma rozum. Komedya w czterech aktach wierszem napisana przez A. Grybojcdowa. Tłumaczył polskim wierszem Józef Lewart - Lewiński. Warszawa. Henryk Natanson. 1857. W 8ce.

— Jałmużna. Gawęda z podania ludowego. Warszawa. Nakładem Aleksandra Nowoleckiego księgarza. 1857.

— Katalog wy tawy starożytności i przedmiotów sztuki 1856 urządzonéj w p łacu JW. hr. Augustostwa Potockich w War-

szawie na Krakowskiém Przedmieściu, na korzyść Domu schronienia Opieki Najświętszéj Maryi Panny. Warszawa. W drukarni Józefa Unger. 1856.

— Najnowsza podróż po Danii, Norwegii i Szwecyi, przez Dra T. Tripplina. Wilno. Nakładem księgarni P. F. Rubena Rafałowicza. 1857. (Taki tytuł na okładkach: na karcie tytułowéj następny): Najnowsza podróż do Danii, Norwegii i Szwecyi, odbyta w r. 1855 przez skrzypka polskiego, opisana przez Dra T. Tripplina. Tomów dwa.

Biblio. Warsz. dostarcza nam następnych nowości:

— Kornel Kozłowski jeden z młodych a zdatnych pracowników na niwie historycznéj, syn znanego tłumacza pism Platona, napisał rozprawę p. n. „Rys pierwotnych dziejów gminu polskiego z uwagą na wyrobienie się ducha tegoż pod wpływem politycznego jego położenia“.

— Nakładem S. Orgelbranda księgarza wyjdą następne dzieła: J. K. Gregorowicza: „Dobry ekonom“ czyli popularnie przedstawiony, skrócony wykład z zastósowaniem się do potrzeb kraju polskiego, nauki o naturze i pokarmie roślin, własności i obsiéwie gruntu, o produkcyi i obchodzeniu się z nawozem: napisany w dwóch tomach.

— Eustachy Marylski obywatel ziemski, znany autor dzieła: „Wspomnienia zgonu zasłużonych w narodzie Polaków“ w r. 1820 wydanego, zamierza ogłosić drukiem rękopisma „Kuruty“ tłumacza polskiego języków wschodnich przy królu Stanisławie Auguście. Jeden obejmujący szczegółowy opis pobytu posła tureckiego w Warszawie: drugi, spisany ręką tegoż „Kuruty“ w języku francuzkim, po dyktowaniu samego króla, o porwaniu jego przez konfederatów barskich z Warszawy.

— Aleksander Osipowicz ma oddawna przygotowany do druku rękopism opisu statystyczno-historycznego gubernii augustowskiéj. Praca ta, któréj ogłoszenia drukiem jak najrychléj pragniemy, oznajomi nas z częścią kraju naszego, prawie zupełnie nieznaną.

— Henryk Natanson przygotował do druku i ogłosi w r. b. następne dzieła: J. I. Kraszewskiego „Dziwadła“ drugie wydanie. „Blada dziewczyna i improwizacye do zapalania fajek“ tegoż. Fr. Bremerowéj: „Ognisko domowe“. „Kłótnia i zgoda:“ „W Dalekarii.“ Irwinga: „Życie Mahometa“. Fenchtersleben'a: „Hygiena duszy: przekład Dra Thuguta z 18 wydania oryginału. Gasparin'a: „Agronomia“ — Natansona Jakóba: „Chemia organiczna“ — Masse'go: „Atlas anatomiczny“. Dra Szokalskiego: „O pijawkach“. Fullerton: Men Midleton, przekład Pauliny Wilkońskiéj. Łubieńskiego: „Nabożeństwo katolickie“ drugie wydanie.

— Wyszła z pod prasy Gazety Codziennéj: „Ikonografia (z archeologii ogólnéj) przez Józefa Łepkowskiego członka towarzystwa naukowego krakowskiego, wydziału archeologicznego, z trzema tablicami (w 8ce str. 92). Jestto oddruk z Biblioteki Warszawskiéj. — W r. 1856 w Gazecie Codziennéj czytaliśmy szkic historyczny Stefana Nowickiego: „Jędrzéj Frycz Modrzewski“. Szkic ten wyszedł w oddzielnych odbitkach. Jest to praca młodego badacza, który pięknie i szlachetnie rozpoczął swój zawód literacki, oddając cześć należną pamięci znakomitego męża.

— Przygotowują się pod prasę dzieła śp. Józefa Elsnera; składać się będą z dwóch tomów: pierwszy obejmie życiorys jego i prelekcye jakie miewał; drugi,

obiedwie części o metryczności języka polskiego. Autobiografią własnoręczną Elsnera, którą sam skreślił w języku niemieckim, przetłumaczył Kazimierz książę Lubomirski. Pod względem muzycznym przegląda manuskrypta starannie, znawca i artysta, Józef Krzyżanowski.

— Księgarz S. H. Merzbach ogłosił illustrowany prospekt na dzieła: „Księga świata", która coraz więcéj, jak zasługuje, znajduje upowszechnienie, i Historyą naturalną, systematycznie ułożoną przez ś. p. P. E. Leśniewskiego prof. nauk przyrodzonych. Ostatnia wyjdzie w 6 poszytach, które stanowić będą trzy grube tomy w 8ce, do 90 arkuszy druku z 48 kolorowanemi tablicami, i przeszło z 1000 drzeworytami. Piérwszy zeszyt o 244 stronnicach już wyszedł z druku z 8ma tablicami kolorowanemi, i może dać wyobrażenie o wartości dzieła, które w instrukcyi prywatnéj i wszędzie, wielką dać może pomoc i prawdziwą naukę. Tenże księgarz, w tymże prospekcie ogłosił przedpłatę na dzieło: „Dziwy świata pierwotnego czyli kolebka wszech-świata: historya popularna stworzenia i kształcenia się powierzchni kuli ziemskiéj z jéj roślinami i mieszkańcami, od początku aż do czasów obecnych, według wypadków badań i nauki ułożona przez Dra W. F. A. Zimmermana. Przełożył z 29 wydania oryginalnego F. Dziekoński z 237 drzeworytami w tekscie odbitemi".

— Słownika Malarzów polskich Edwarda Rastawieckiego wyszedł tom 3ci i ostatni, zamykający całość tego ważnego i sumiennie obrobionego dzieła. Obejmuje od lit. U do Z. Następnie przydatki i uzupełnienia do wszystkich 3ch tomów, do życiorysów malarzy; w końcu czytamy: Ustawy cechu malarzy w Krakowie; cech warszawski szklarzy ze stolarzami połączony i cech warszawski malarzy w połączeniu ze złotnikami i aptekarzami. Skorowidz dokładny obejmuje alfabetyczny spis wspomnianych malarzy w ciągu całego trzech tomowego dzieła.

— Opisu „Cmentarza powązkowskiego" pod Warszawą, K. Wł. Wójcickiego wyszedł zeszyt X i obejmuje życiorysy X. Kamieńskiego S. P. (dokończenie) wraz z obszerną biografią Kazimierza Brodzińskiego, Fryderyka Bystrzyckiego astronoma, Franciszka Ryxa, Ludwiki z Melinów Ryxowéj, Michała J. księcia Poniatowskiego prymasa korony polskiéj, Leona Tarnowskiego audytora generalnego wojska polskiego, Ludwika Metzel. Floryana Kąsinowskiego b. pułkownika, Franciszka G. Ledoux, Michała Chopin professora, Dominika Merliniego budowniczego, Franciszka i Jana Bohomolców, Jana Albertrandego, Edwarda Żółtowskiego generała wojsk polskich, X. Rafała Skolimowskiego professora. Do tego zeszytu dołączonych jest sześć rycin pomników grobowych: 1. Romualda księcia Giedrojc'a. 2. Jakóba Tatarkiewicza rzeźbiarza. 3. Antoniego Mianowskiego. 4. L. A. Dmuszewskiego. 5. Teodora Rudnickiego p. pułkownika. 6. Widok katakumb w perspektywie.

— Zabaw przyjemnych i pożytecznych dla młodego wieku, redagowanych przez Józefę Śmigielską, wyszedł ostatni zeszyt tomu trzeciego. Redaktorka rozpoczęła tu zajmującą: „Wędrówkę po kraju" od gubernii płockiéj. Myśl ta piękna i wielce użyteczna w piśmie poświęconém młodemu wiekowi, ma być w dalszych zeszytach rozwiniętą, i objąć opis Królestwa Polskiego wedle dzisiejszych na gubernie podziałów.

— Michał Gliszczyński przygotował obszerną monografią p. n. „Jan Hus“. Obejmuje ona dwa obszerne tomy i rzuca niemałe światło na właściwą epokę. Obecnie studyuje życie Sokratesa, które w równie obszernych ramach zamyśla podać do druku.

— Rozrywek dla młodocianego wieku pod redakcyą p. Seweryny z Żochowskich Pruszakowéj wyszło już cztery tomy; piąty i ostatni pierwszéj seryi wkrótce w trzech zeszytach opuści prasę drukarską. Druga *serya*, po ukończeniu pierwszéj, zaraz zacznie się drukować, do któréj redaktorka przygotowała już obfite a ważne i zajmujące przedmioty. Wkrótce obszerniejsze podamy sprawozdanie po wydaniu i ukończeniu 5go tomu: bo publikacya ta ze wszech względów zasługuje na uwagę, jak na współczucie czytającéj publiczności, swoją wartością rzetelną i dążnością.

Wilno. Pamiętniki komissyi archeologicznéj wileńskiéj. Część I Wilno. Drukiem Józefa Zawadzkiego. (Tekst polski i rossyjski obok). Zapiski wilenskoj archeologiczeskoj komissyi Czast 1. Izdanna pod redakcieju Adama Kirkora i Matwieja Gusewa. Pamiętniki komissyi archeologicznéj wileńskiéj. Część 1. Wydana pod redakcyą Michała Balińskiego i Ludwika Kondratowicza.

— Lud ukraiński przez Antoniego Nowosielskiego. (z godłem):

„L'Étonographie, après avoir rempli sa mission materiélle, sentira bientôt le besoin de s'élever à sa mission morale, de remonter des preuves physiques aux preuves intellectuelles et morales de cette origine.“

Matter.— *De l'influ. des moeurs sur les lois.*

Wilno. Nakład i druk Teofila Glücksberga. 1857. 2 tomy, w 8ce. Z popiersiem autora. Tom I. str. XII i 380. Obejmuje: 1. Mysteryozofią słowiańską. 2. Bajki ukraińskie. 3. Bajki słowiańskie u Herodota i Lucyana. Tom II. str. 282, ma inny napis: „Lud ukraiński, jego pieśni, bajki, podania, klechdy, zabobony, obrzędy, zwyczaje, przysłowia, zagadki, zamawiania, sekreta lekarskie, ubiory, tańce, gry itd., zebrał i stósownemi uwagami objaśnił Antoni Nowosielski“.

— Kronika warsz. podaje następujące nowiny z tegoż miasta. Już jest w druku nowy poemat Syrokomli: *Nocleg Hetmański* rzecz z czasów Zygmuntowskich; wchodzą tam na scenę, hetman Jan Tarnowski i rodzina staroszlachecka gajowych w któréj ów rodzaj służby utrzymywał się sukcessyjnie przez długie lata.— Wyjdzie wkrótce czwarty zeszyt: *Przechadzka po Wilnie* p. Kirkora bawiącego obecnie w Petersburgu. Jocher drukuje wstęp do oddziału nauk teologicznych, mający zakończyć trzeci tom: *Obrazu bibliograficzno-historycznego.* Znany tłumacz Bohusz Szyszko przekłada podróż Humboldta do Rossyi i Ameryki. Księgarz Zawadzki ukończył powtórną edycyą *Pamiętników Ochockiego* a zaczął wydawać: *Bibliotékę podróży i malowniczo-historycznych opisów różnych krajów;* ma też w druku *Mozajkę kontraktową* Aleksandra Grozy i *Opowiadania* z prawdziwych wydarzeń Autorki w Imie Boże.— U Orgelbranda wyjdą niezadługo: *Wycieczki Lekarza Polaka* po własnym kraju, i *Dziennik podróży po Litwie* Tripplina; u Rubena Rafałowicza: *Powrót z pod Berezyny* tegoż autora; tudzież tłumaczenie z francuzkiego dość ciekawe *Tajemnice* snu i magnetyzmu, doktora Debay.

Petersburg. B. M. Wolff nakładca i księgarz w Petersburgu, ogłosił drukiem: Rajnolda Hejdenstejna, dzieje Polski tłu-

maczenie Michała Gliszczyńskiego. Znakomici mężowie polscy Juliana Bartoszewicza tom trzeci. Poezye Lorda Byrona tom piérwszy: Wędrówki Czajld-Harolda przekład Michała Budzyńskiego. Publikacya ta ma objąć tłumaczenie wszystkich poezyj Byrona. Wyszedł także tom 12 Skarbczyka poezyi polskiéj: obejmuje poezye A. E. Odyńca, Antoniego Czajkowskiego i Teofila Lenartowicza. „Marya“ Malczeskiego zyskała tylko nowe gustowniejsze okładki, drzeworyty i druk te same jak w pierwszém wydaniu. Ołtarzyk mniejszy, zbiór nabożeństwa katolickiego. Do „Biblioteki zaściankowéj“ przygotowywa B. M. Wolff coraz nowe zasoby: oprócz powieści Fran. hr. Skarbka: „Pan Starosta“ „Pamiętniki Seglasa i Dodosińskiego“ oraz drobnych komedyi niedrukowanych dotąd, wciela do téj publikacyi: „Pamiętniki Paska“. Dziennik Franciszki Krasińskiéj, K. Hoffmanowéj. Przy starannym doborze i taniém wydaniu, Biblioteka zaściankowa może się spodziewać świetnego powodzenia.

— Doktor Edward Galli, znany w literaturze naszéj pod pseudonymem Edwarda Maryana, dawniéj uczeń lyceum krzemienieckiego i akademii wileńskiéj, osiadłszy na Wołyniu w téjże saméj wsi, w któréj mieszkał niegdyś Alojzy Feliński, studyuje „Zendawestę“ dzieło, w którém obejmuje dzieje mistycyzmu. Pracę tę już posunął daleko.

Lipsk. J. N. Bobrowicz znany z swoich ozdobnych wydań, a nadewszystko z wyboru dobrych dzieł które drukiem rozpowszechnia, wzbogacił piśmiennictwo nasze kilkoma nowościami, z tych *Amalia*, powieść moralna z życia wypisana dla życia przez Fel. Kozłowskiego w 2 tomach, jest pożądaném zjawiskiem w literaturze powieściowéj. Autor znany ze swoich utarczek z filozofizmem Trentowskiego, przeprowadza uczucia wiary i dogmaty objawionéj religii przez żywot domowy pol·kiego ziemianina. Jest to jakby dalszy ciąg, tylko z zastósowaniem do naszych czasów, Rejowego: Żywota poczciwego szlachcica.— Wyszły tam również: *Przygody starego żołnierza:* z IX pułku księstwa Warszawskiego, które według ustnego opowiadania zebrał i skreślił S. Baranowski.— Jest to opowiadanie prostego stróża o kampanii hiszpańskiéj i rosyjskiéj nie dość dokładne, aby miało jaką powagę, i niedość naiwno humorystyczne, aby bawiło oryginalnością swoją czytelnika. Wyszła także druga edycya w 6 tomach wybornego romansu J. Potockiego: *Rękopis znaleziony w Saragossie* — Halma trajedya: *Szermierz z Rawenny* w przekładzie F. A. i *Tłumaczenia* z klassyków łacińskich wierszem przez J. U. Niemcewicza z papierów jego pośmiertnych.

Wrocław. Nakładem W. B. Korna wyszło tu: *Zawiedzione Nadzieje.* Powieść niezmyślona. 2 tomiki, 2½ tal.

Utwór ten, jest to obraz osnuty na prawdach wewnętrznego życia, do których nieznajomy autor dobrał figury, które czytelnik mimowoli poznawać będzie w otaczającém go towarzystwie. Najrozmaitsze sytuacye, w których przeważają zacne charaktery. lekkie a zgrabne piórko skreśliło wybornie. Przedewszystkiém czytelnika ujmują charaktery Karola i ślicznéj Lodoli, którą autor nazwał „zwiastunką prawd żyjących w głębi duszy naszéj“.

— Wyszedł tu pierwszy tom Kodeksu dyplomatycznego szląskiego, wydawanego przez towarzystwo przyjaciół dziejów i starożytności szląskich w Wrocła-

wiu, zawierający dyplomata klasztoru Norbertanek w Czarnowąsie niedaleko Opola. Wydawcą jest Dr. W. Wattenbach, przełożony prowincyalnego archiwum szląskiego. Tytuł dzieła: *Codex Diplomaticus Silesiae*, herausgegeben vom Vereine für Geschichte und Alterthum Schlesiens. Erster Band. Urkunden des Klosters Czarnowanz. Namens des Vereins für G. u. A. Sch. herausgegeben von Dr. W. Wattenbach. Breslau. Josef Max et Comp. 1857. 4to. str. 181. Tom ten obejmuje 163 dyplomatów łacińskich i niemieckich od 1223 - 1499. Może i Towarzystwo przyjaciół nauk w Krakowie zajmie się wydawaniem kodeksu dyplomatycznego krakowskiego, obejmującego nietylko dyplomata miasta Krakowa, biskupstwa krakowskiego, ale i wszystkich klasztorów dyecezyi krakowskiéj. Oddawna wyglądamy Tynecianów, do druku przygotowanych przez p. Batowskiego.

Rzym. *Kontynuacya roczników kardynała Baroniusza.* Jak było zapowiedziane, uczony ksiądz Augustyn Theiner, bibliotekarz Watykanu ogłosił część kontynuacyi prac Odoryka Raj olda i Laderchiusza. Dzieło drukowane wspaniale in folio nosi tytuł: Quos post Caesarem S. R. E. Card. Baronium, Oderium Raynaldum ac Jacobum Laderchium presbyteros congregationis oratorii de urbe ab anno MDLXXII ad nostra usque tempora continuat Augustinus Theiner ejusdem congregationis presbyter, consultos S. S. congregationum indicis librorum prohibitorum, episcoporum et regularium, ac S. officii, Socius collegii theologorum archigymnasis romani, academiae pontificiae archeologiae et academiae herculanensis, tabulariorum S. R. E. praefectus etc. etc. etc. tom I, II et III. Wydanie odpowiada zupełnie wydaniu arcybiskupa Manzi z Lucca z r. 1747 i lat następnych. Co wyszło obejmuje jedynie panowanie Grzegorza XIII ma być jeszcze tomów 12 do Piusa VII włącznie. Ksiądz Theiner odszukał pełno nieznanych pomników, które in extenso podaje; są tam listy monarchów i sławnych osób, między innemi listy Zygmunta Augusta, Henryka Walezyusza i Stefana Batorego. Rzeź ś. Bartłomieja, uwięzienie i śmierć Maryi Stuart wyjaśnione są na podstawie nowych dokumentów.

Antoni Kłobukowski Redaktor odpowied.— Antoni Czapliński Rząd. Druk.

SPROSTOWANIE OMYŁEK DRUKU

w Tomie V. Zeszycie 15 Dodatku miesięcznego do Czasu, w ustępie Wiadomości Numizmatycznych.

---

str. 620 *zamiast* PACTHCA (Rastiol;...
czytaj PACTHCA (Rastisl;...
„ 622 *zamiast* ΠΕΝΑΖΕ, *czytaj* ΠΕΝΑΖΕ
zamiast ᗡOLEILADIV (BOLEZIA
czytaj ᗡOLE☰LADIV (BOLEZLA
„ 623 *zamiast* ꟼIAVNIA *czytaj* ꟼ☰AVNIA
zamiast JRAOMCUMIᗡ⊣ (CRAOW CYWID⊢
czytaj ƆRAOMCYMIᗡ⊣ (CRAOW CYWID⊢
„ 624 *zam.* Babtista, *czyt.* Baptista.
„ 631 *zam. znaków*)( ), *połóż* 8 8
„ 632 *zam.* 16 str. G. *połóż* R. 16. 17) str. G. *Wyrażenia* R. 1. — R. 2, — R. 3, *i t.d. oznaczające* Rysunek 1szy, *i t.d. winny być na boku, zewnątrz kolumny druku umieszczone, nie zaś razem z liczbami porządkowemi* 1) — 2) — 3) *it.d.*

str. 634 wiersz 5 *zam.* Wreszcie że literą, *czyt.* Wreszcie że literę.
w przypisku zam. Pray,a *czyt.* Praya.
zam. Vojvoda *czyt.* Vajvoda.
zam. diserteudo, *czyt.* divertendo.
zam. proestando, *czyt.* praestando.
zam. Vilnie, *czyt.* Vilnae.

str. 635 *zam.* znaków ⚜ *połóż* *.

„ 636 *przed wyrazami:* Pieniądz miedziany Jana Alberta, *dodać liczbę porządkową* 23.
w przedost. wierszu *zamiast* znaków ⚜, *połóż* gwiazdki *.

„ 637 *w wier. 3 i 4 zam.* znaków ⚜, gwiazdki *.
przy liczbie porządkowej 27 *opuścić* R, *gdyż rysunek tej monety nie dołącza się.*

„ 638 *przy liczbie 28 podobnież opuścić* R.
zam. a szyja popiersia wchodzi wśród napisu, *czyt.* a szyja popiersia przedziela napis.

„ 640 *zam.* pod L. 415, *czyt.* pod L. 415 a.

SPIS PRZEDMIOTÓW
w zeszycie kwietniowym zawartych.

Przedpłata na **Dodatek miesięczny** „Czasu" wraz z dziennikiem:

dla miejscowych	rocznie 26,	półrocznie 13,	kwartalnie 7	złr. mk.
zamiejscowych wraz z przesyłką	„ 30,	„ 15,	„ 8	„ „

Dodatku miesięcznego *osobno* prenumerować nie można.

Dodatek miesięczny wychodzi w zeszytach od 12 do 15 arkuszy druku z dniem ostatnim każdego miesiąca.

☞ Dla zagranicznych pojedynczy zeszyt **Dodatku miesięcznego** sprzedaje się w Biórze Administracyi „Czasu" po złr. 2 mk.

Egzemplarzy *gratis* Dodatku miesięcznego nie daje się.